

Małżeństwo- święta budowla

**Wzór Dla Par
Mażeńskich I
Poradnictwa**



Lawrence J. Crabb, Jr.

MAŁŻEŃSTWO - ŚWIĘTA BUDOWLA

**WZÓR DLA PAR
MAŁŻEŃSKICH I
PORADNICTWA**

Lawrence J. Crabb, Jr.



Printed for BEE International, Vienna, Austria
by Editeurs de Litterature Biblique

05.15.21-2/91

Originally published in the U.S.A. under the title

THE MARRIAGE BUILDER

©1982 by the Zondervan Corporation, Grand Rapids, Michigan

Translated and produced by permission of Zondervan Corporation.

©1991 by BEE International, Polish translation

Spis treści

Wstęp	5
CZĘŚĆ I. CEL MAŁŻEŃSTWA	
Rozdział 1. JEDNOŚĆ: Czym jest i dlaczego jest tak ważna	15
Rozdział 2. JEDNOŚĆ DUCHA: Kto zaspokoi moje potrzeby?	23
Rozdział 3. JEDNOŚĆ DUSZY: I - Manipulacja czy służba?	45
Rozdział 4. JEDNOŚĆ DUSZY: II - Porozumiewanie się, czyli „Co mam robić kiedy jestem zły?”	63
Rozdział 5. JEDNOŚĆ CIAŁA: Cieleśna przyjemność o osobowym znaczeniu	85
CZĘŚĆ II. WZNOSZENIE BUDOWLI	
Wstęp	103
Rozdział 6. Element 1: ŁASKA	105
Rozdział 7. Element 2: SZCZERE ODDANIE	113
Rozdział 8. Element 3: AKCEPTACJA	125

Wstęp

Salomon pisał: „Czy jest coś, o czym można by powiedzieć: 'Oto jest coś nowego'? Dawno to już było w czasach, które były przed nami” (Kazn. Sal. 1,10).

Oto jeszcze jedna książka o małżeństwie. Czyż może w niej być coś nowego? Czy nie czas już przestać pisać książki, które stare prawdy ubierają w nowe szaty i po prostu dalej żyć według zasad, które już znamy? Czy skarga Salomona nie jest odpowiednim epitafium dla dyskusji o małżeństwie?

Nieraz wyobrażałem sobie mądrego, lecz znużonego króla Izraela powolnym krokiem przemierzającego zakątki nowoczesnej chrześcijańskiej księgarni i szukającego czegoś, co pomogłoby mu rozwiązać jego liczne małżeńskie problemy. Wyobrażam sobie jak po wielu godzinach kartkowania niezliczonych książek pokrytych grubą warstwą kurzu, książek obiecujących „rewolucję w twoim małżeństwie”, stary Salomon ze zwieszoną głową idzie powoli w kierunku drzwi i wzdycha: „Pisanie wielu ksiąg nie ma końca, a nadmierne rozmyślanie męczy ciało” (Kazn. Sal. 12,12).

Takie wyobrażenia zmuszają mnie do wyjaśnienia dlaczego napisałem jeszcze jedną książkę, nad którą Salomon mógłby westchnąć.

W mojej praktyce poradniczej ogarnia mnie często niepokój gdy widzę małżonków trzymających się utartych wzorców postępowania, które niweczą wszelką nadzieję na rozwinięcie dającej głęboką satysfakcję bliskości w ich małżeństwach. Za każdym razem gdy stoję przed ludźmi zebranymi w niedzielny poranek w kościele, aby wygłosić kazanie, patrzę na wiele dobrze ubranych par śpiewających z jednego śpiewnika chwałę Panu za Jego dar pełnego i wiecznego życia i podejrzewam, że niewielu z nich doświadcza prawdziwej wzajemnej bliskości. Chociaż przeważająca większość tych ludzi to praktykujący chrześcijanie, którzy powiedzieliby, że robią wszystko, by budować swe małżeństwo na biblijnych zasadach.

Dlaczego więc tak często małżeństwa pełne są napięcia, zgorzknienia, dystansu, płytkiej satysfakcji, rutyny i szybko wygasających momentów romantyczności? Dlaczego czasami spotykam się z problemami w moim własnym małżeństwie i po szczerzej modlitwie i radykalnej samokrytyce nadal nie wiem, jak mam postąpić wobec mojej żony by jedność między nami została pogłębiona?

Czy istnieją rozwiązania, które prowadzą do prawdziwej bliskości? Czy też musimy ograniczyć się do wygłaszania na zewnątrz słusznych maksym, o tym jak Bóg chciał aby małżeństwo funkcjonowało, podczas gdy w duszy zastanawiamy się czemu te święte zasady nie działają? Wielu z nas przeczytało dziesiątki książek o rodzinie. Słuchaliśmy wykładów „najlepszych”

chrześcijańskich mówców na temat życia rodzinnego. Przyniosło nam to wiele błogosławieństwa i dużo nam pomogło. Mimo to jakaś zasłona nie została usunięta. Ciągłe jest coś, co wymyka się nam spod kontroli. Dlaczego?

Myślę, że odpowiedź na te niepokojące pytania można po części znaleźć w niektórych niebezpiecznych, głęboko wpojonych wzorcach myślenia o małżeństwie chrześcijańskim. Wzorce te zawierają dosyć prawdy aby zamaskować swe zdradzieckie błędy. Duża część Chrześcijan, jak się wydaje, podświadomie przyjęła pewne przekonania, które w subtelny sposób osłabiają wpływ zdrowej biblijnej nauki o rodzinie. Kiedy rozmawiam w mojej poradni z małżonkami, którzy zaskoczeni są tym, że nie potrafią zbudować dobrej relacji małżeńskiej, zwykle spostrzegam u nich działanie wpływu jednego (lub więcej) z czterech błędnych przekonań.

1. Wzorcem myślenia, który mnie może najbardziej niepokoi, jest założenie, że *Biblia sprowadza skomplikowane sprawy do paru łatwych do rozwiązania problemów*. Żyjemy w czasach błyskawicznych rozwiązań. Jedna mała pigułka zmienia nerwową bezsenność w spokojny sen. Programy telewizyjne ukazują kłopoty życia rodzinnego, które zawsze zostają pokonane przed ostatnim wydaniem dziennika. Ciekaw jestem ilu spośród nas zaczęło już oczekiwać szybkich i prostych rozwiązań w naszych małżeńskich problemach i szukać sposobów, które raz-dwa-trzy ulecą nasze chore związki.

Tym, co przyczyniło się do tego zbyt łatwego podejścia do sprawy jest pelen dobrych intencji ale przesadzony bunt przeciwko wielu zawodowym doradcom, którzy tłumaczą życie w grzechu złożonością psychiki człowieka. Godzien pożałowania jest fakt, że wielu chrześcijańskich psychologów więcej mówi o takich sprawach, jak podświadome motywacje czy urazy emocjonalne, niż o grzechu i odpowiedzialności. Bezpośrednim rezultatem takiego podejścia jest osłabienie wpływu nauki biblijnej, która mówi, że powinniśmy wybierać dobro. Pewna część chrześcijan - do których i ja się zaliczam - sprzeciwia się z całą stanowczością każdemu pogładowi, który usprawiedliwia grzeszne zachowanie jako zupełnie zrozumiałą konsekwencję działania sił psychicznych. Reakcja ta dała początek rozbiciu na dwa przeciwstawne obozy: jedna grupa, zajęta tylko głębokimi procesami ludzkiego zachowania, utrzymuje, że grzeszne życie jest nie tyle skutkiem buntowniczej niewiary, co objawem zaburzeń emocjonalnych. Druga grupa koncentruje się na świadomych, celowych decyzjach i z całym przekonaniem twierdzi, że problemy życiowe można wyjaśnić jedynie w sferze rozmyślnie popełnianych grzechów.

Według tego drugiego poglądu, jeśli mąż krytykuje swą żonę, to sprawa w gruncie rzeczy sprowadza się do kwestii, czy zechce on porzucić dawnego człowieka i przyoblec się w nowego, który odznacza się miłością i łagodnością. Jeśli nie traktuje swojej żony jak przystało na Chrześcijanina, uważa się, że nie cierpi na zaburzenia emocjonalne, ale że z uporem grzeszy. Zwolennicy pierwszego poglądu zaczęliby najprawdopodobniej doszukiwać się poczucia bezsilności, wrogości w stosunku do kobiet oraz innych czynników psychicznych jako leżących u źródeł tego niewłaściwego zachowania.

Jestem stanowczo przeciwny każdemu rozumowaniu, które podważa pojęcie osobistej odpowiedzialności i w zasadzie zgadzam się z tą grupą, która twierdzi, że ludzie sami odpowiedzialni są za to, czy w Boży sposób reagują na sytuacje życiowe. Obawiam się jednak, że nasz nowy nacisk na dokonywanie odpowiedzialnych wyborów może przyczynić się do powierzchownego spojrzenia na grzech. Grzech definiuje się wyłącznie w kategoriach zachowania. To, co *robimy* stanowi istotę naszego grzechu. Jeśli nasze postępowanie jest największym problemem, to rozwiązanie trudności (na przykład konfliktu małżeńskiego) jest proste: zobacz co robisz źle, i zacznij to robić dobrze. Postępuj inaczej; przestań żyć w sposób niebiblijny, a zacznij żyć w sposób biblijny.

Prawdą jest, że wzrost chrześcijański nie jest możliwy bez posłuszeństwa. Położenie nacisku na posłuszeństwo i odrzucenie psychologicznego myślenia, które zaniedbuje potrzebę posłuszeństwa, właściwie odzwierciedla prawdę biblijną. Lecz jeśli zajmujemy się jedynie *przejawami* posłuszeństwa wpływającymi ze świadomego wyboru, nie bierzemy pod uwagę złożoności życia ludzkiego, ukazanej w Biblii. Jeżeli w naiwny sposób żąda się od ludzi, aby robili to, co powinni, to możliwość pozornej, zewnętrznej tylko zmiany postępowania bez rzeczywistej przemiany serca sama się narzuca (zob. II Kron. 34,33; 7,3-4). Wzrost chrześcijański nie polega tylko na zmuszaniu się do właściwej reakcji. Są jeszcze inne aspekty osobowości człowieka wymagające naszej uwagi jeśli chcemy zachęcić kogoś do posłuszeństwa.

Ponieważ każda cząstka naszej ludzkiej natury skażona jest grzechem, dzieło uświęcenia nie jest tylko kwestią powiedzenia „nie rób tego tak, jak ty chcesz, ale jak Bóg chce”. Grzech przeniknął nie tylko to, co robimy, ale także to, jak myślimy, jakie stawiamy sobie cele, co myślimy o sobie i o innych. Zmiana samego tylko postępowania nie zmienia naszej istoty. Lekarstwo na egoizm i strach, które w tak dużym stopniu wpływają na to, co robimy, nie może być sprowadzone do powierzchownych rozwiązań; musimy poznać mechanizmy naszego zwodniczego umysłu. Musimy zrozumieć niewłaściwe cele, które sobie wytyczamy, szczerze przyznać się do tego, co czujemy i podchodzić do naszych grzesznych i bolesnych uczuć w sposób, który odzwierciedla naszą ufność w bezwarunkową Bożą akceptację. Nie wystarczy same tylko naiwne nakazy, by robić to, co powinniśmy. Gotowe recepty na szczęśliwe życie rodzinne leczą rany tylko powierzchownie, nie usuwając przyczyn choroby.]

2. Drugim błędem w naszych poglądach na chrześcijańskie małżeństwo (i na życie chrześcijańskie w ogóle) jest *położenie dużego nacisku na dążenie do szczęścia i satysfakcji*. Nasze pełne entuzjazmu piosenki o radosnym chrześcijaństwie nie wspominają nic o potrzebie rozwinięcia pełnego świętości i posłuszeństwa życia duchowego bez względu na to, jakie osobiste cierpienie stałoby się naszym udziałem. W umysłach wielu Chrześcijan wiodącą rolę odgrywa (być może nieświadome) dążenie do naśladowania Chrystusa w celu osiągnięcia pełnego obfitości życia składającego się z przyjemnych, dających zadowolenie przeżyć i satysfakcjonujących, budujących możliwości.

W ostatnim dziesięcioleciu nadaliśmy płytkiemu sloganowi „do szczęścia i dobrego samopoczucia” nieco szlachetniejszą formę zastępując go chrześcijańsko brzmiącym hasłem dążenia do „pełnego życia” i do „samorealizacji”. Radość i pokój, które Chrześcijanin może osiągnąć, zostały pomyłone z podobnie brzmiącym, ale zupełnie co innego oznaczającym pojęciem samorealizacji. Zostało ono wykorzystane przez naszą grzeszną naturę i zinterpretowane w ten sposób, że najważniejsze jest subiektywne doświadczenie tej głębokiej radości, a drugorzędną sprawą jest to, czy droga do tej samorealizacji zgodna jest ze świętym charakterem Boga ukazany w Piśmie Świętym.

W niektórych środowiskach ludzie tak ciepło wyrażają się o samorealizacji w naszych relacjach, że cudzołóstwo, rozwody i homoseksualizm są do przyjęcia jeśli mają one pozytywny wpływ na nasze poczucie własnej wartości. „Muszę być szczęśliwy, muszę wyrazić to, kim jestem. Nie skazuj mnie na życie o ograniczonej samorealizacji. Nie wciskaj mnie w ramki twojej legalistycznej moralności. Pozwól mi być Sobą. Muszę robić to, co jest najlepsze dla Mnie. Bóg chce, żebym się stał kompletną osobą, a nie mogę być kompletny w granicach tradycyjnej moralności”.

Tak przyzwyczailiśmy się oceniać nasze postępowanie według tego, jaki rodzaj uczucia ono w nas wywołuje, że rozwinęła się nowa forma relatywistycznej etyki, którą można by nazwać *Moralnością Samorealizacji*. „Samorealizacja” stała się ważniejsza i cenniejsza od „posłuszeństwa”. Psycholodzy wyrządzają wiele szkody propagując takie odwrócenie priorytetów.

Czy samorealizacja występuje w biblijnym myśleniu? Oczywiście. Każdy z nas poświęca wiele troski swojej własnej osobie i tak też powinno być. Pragnę osiągnąć coraz większe poczucie samorealizacji i przyznaję się do tego pragnienia bez obawy, że jest ono grzeszne. Najważniejsze jest nie to, czy powinniśmy starać się o własne dobro, ale co według nas, temu dobru najlepiej służy. Podążanie tą drogą, która daje najgłębsze natychmiastowe poczucie wewnętrznej satysfakcji, wydaje się być w miarę rozsądnym sposobem dojścia do samorealizacji. Jednakże Biblia uczy nas, że jest droga, która - choć komuś *wyda* się słuszną - w końcu prowadzi do zguby: do tragedii osobowej pustki i osamotnienia. Kiedy Pismo mówi o obumarciu dla siebie, znalezieniu życia tracąc je, ukrzyżowaniu siebie razem z Chrystusem i życiu tylko dla Chrystusa, to stwierdza przez to jasno, że osiągnięcie prawdziwej samorealizacji zależy nie od tego, jak bardzo się staramy dojść do samorealizacji, ale od tego, jak bardzo staramy się poznać Boga poprzez całkowite poddanie się Jemu.

Innymi słowy, szlak samorealizacji nie zaczyna się od znaku „Najpierw przyjemność” ani „Jeśli to wydaje się zaspokajać twoje potrzeby to idź dalej”. Jedyna pewna ścieżka prowadząca do prawdziwej i trwałej radości jest stromą, wyboistą drogą oznaczoną jako „Posłuszeństwo”.

Dopuszciliśmy już do tego, że nasze naturalne dążenie do osobistej satysfakcji przekształciło się w system etyczny, który mówi, że to, co wydaje się prowadzić do szczęścia, jest dobre. Pewna zameźna kobieta powiedziała mi niedawno: „Chcę żyć według zasad biblijnych, ale nie wiem, czy mogę być szczęśliwa w tym małżeństwie. On po prostu nie jest tym typem mężczyzny, którego mogłabym kochać”. Kiedy zaczęliśmy rozmawiać o tym, co jest potrzebne do życia według zasad biblijnych, okazało się, że dla niej Bóg myśli na temat jej problemu były kłopotliwą wiązką potępiającego moralizmu. Mnóstwo ludzi skwapliwie zamyka Biblię, a następnie ufnie stwierdza, że „Bóg chce, żebym był szczęśliwy i rozwijał się, ale ani jednego, ani drugiego nie osiągnę utrzymując to małżeństwo”. Jak trudno jest nam wierzyć, że kochający Bóg mając na celu nasze najwyższe dobro, konsekwentnie wskazuje nam drogę bolesnego zastosowania się do nakazów Jego Słowa!

3. Trzecia niepokojąca mnie tendencja jest blisko związana z drugą. *Potrzeby psychiczne stały się centralnym punktem w dyskusji nad rolą mężczyzny i kobiety w małżeństwie.* Biblia została zredukowana do niezobowiązującego poradnika w zakresie zaspokojenia naszych potrzeb emocjonalnych. W rezultacie, ocenianie naszych zamiarów („Może powinnam odejść od męża”, czy „Nie będę w ogóle zaczynał - lepsze to, niż sprzeczka”) nie opiera się na wierności Pismu, ale na tym, jaki jest, dostrzegalny przez nas, wpływ takiego planu na ludzkie potrzeby i emocje. Kwestia autorytetu jest przy tym całkowicie odsunięta na bok. Przyjęcie planu działania na podstawie jego możliwości zaspokojenia naszych potrzeb oznacza zastąpienie autorytetu nieomyślniej Biblii humanistycznym systemem wartości. Porady poparte takim argumentem, jak „To jest dobre dla waszej wzajemnej relacji”, czy „Takie działanie pogłębi twoje poczucie własnej wartości”, mają większą siłę przekonania, niż porada poparta dowodem, że „Tak mówi Biblia”. Stopniowo zastąpiliśmy autorytet Biblii nowym fundamentem myślenia.

Z tego humanistycznego fundamentu wypływają dwie fałszywe doktryny:

- a. Potrzeby ludzkie są najważniejsze;
- b. Nauka chrześcijańska zawarta w Biblii przydatna jest do zaspokojenia tych potrzeb.

Na pierwszy rzut oka takie poglądy wywołują tylko niewielki niepokój. Chrystus przecież rzeczywiście przyszedł na ziemię po to, żeby zaspokoić nasze potrzeby. Błąd w rozumowaniu jest ledwo uchwytny, ale poważny. Przy takim sposobie myślenia na środek sceny wychodzą ludzie z ich potrzebami i na nich skupiają się światła reflektorów i uwaga wszystkich, podczas, gdy Bóg z Biblii pozostaje za kulisami i doradza kierunek w ich poszukiwaniach szczęścia. W biblijnym chrześcijaństwie osoba Jezusa Chrystusa jest tym, co przyciąga światło reflektorów, a On w swojej łaskawości zaprasza publiczność do wiecznego szczęścia przez zatracenie się w Jego chwale. Paweł dobrze zrozumiał warunki Chrystusa, na jakich możliwe jest szczęście ludzkości, kiedy pisał „Dla mnie życiem jest Chrystus” (Fil. 1,21).

4. Ostatnią niepokojącą mnie sprawą jest nasze *fragmentaryczne podejście do problematyki rodziny*. Jest wiele dobrych książek mówiących o tym, jak Chrześcijanin powinien wypełniać rolę męża i ojca. Istnieją pomocne książki, które w sposób taktowny i praktyczny zajmują się biblijnym spojrzeniem na seks. Kobietom udzielono wskazówek dotyczących każdej dziedziny życia - od macierzyństwa przez poddanie się mężowi do liberalno-ewangelicznego stylu prowadzenia kuchni na chwałę Chrystusa. Ale stosunkowo niewiele podjęto w ostatnim czasie wysiłków w kierunku ukazania całościowego, Bożego modelu małżeństwa. Brak jasnego obrazu całości łatwo prowadzi do niewłaściwego zrozumienia i przekręcenia określonych dziedzin odpowiedzialności w małżeństwie. Na przykład poddanie mężowi jest często w uproszczony sposób definiowane jako „rób co ci mąż każe” i nie bierze się pod uwagę całościowej Bożej koncepcji relacji małżeńskiej ani tego, jakie miejsce zajmuje w niej poddanie. Podobnie też mężczyźni rozumieją nieraz to, co Biblia mówi o roli głowy rodziny jako możliwości wysuwania żądań i nie zwracają uwagi na fakt, że pełne miłości przewodnictwo jest Bożym sposobem umacniania u ich żon poczucia bezpieczeństwa.

Wielu parom małżeńskim, którym udzielałem porad, pomogłoby uświadomienie sobie jaki jest biblijny całościowy obraz małżeństwa. Jest on na tyle ogólny, że pozwala jasno zrozumieć na czym właściwie polega małżeństwo i na tyle praktyczny, że zawiera szczegółowe wskazówki jak realizować Boży plan wzajemnej bliskości.

Chciałbym teraz podsumować te cztery budzące niepokój tendencje, które, według mnie, mają duży wpływ na to, jak obecnie myśli się o rodzinie.

1. Problemy rodzinne są często uważane za proste, niezłożone trudności, które można od razu rozwiązać bez potu i bólu stosując gotowe recepty.

2. Wiele tytułów książek przyciąga wzrok obietnicami szczęścia, powoli osłabiając w nas gotowość znoszenia trudności (zwłaszcza trudności lub braku akceptacji w naszych rodzinach) przez posłuszeństwo Chrystusowi.

3. Utrzymywanie stanu wygodnej równowagi w małżeństwie tak, aby obydwójce partnerzy byli zadowoleni a ich względne potrzeby zaspokojone, staje się powoli ważniejsze niż to, by robić to, co Bóg każe w przekonaniu, że posłuszeństwo Jego Słowu przyniesie zaspokojenie potrzeb osobowych.

4. Dostępne nam książki zajmują się często jedynie małymi fragmentami naszej małżeńskiej układanki. Całościowy obraz Bożego planu zostaje zamazany przez to, że skupiamy uwagę na poszczególnych detalach układanki.

Wydaje mi się, że zamęt w naszych poglądach na sprawę odpowiedzialności rodzinnej jest przynajmniej po części skutkiem wpływu jednej z tych czterech tendencji. Książka ta stanowi próbę rozważenia problematyki małżeństwa z perspektywy przeciwstawnej do wyżej wymienionych. Cztery podstawowe tezy zawarte są w tych rozważaniach o małżeńskiej relacji:

1. Fakt przeczytania tej książki nie jest gwarancją radykalnej i natychmiastowej przemiany życia. Wzrost chrześcijański jest długotrwałym i często trudnym procesem. Książka ta nie zawiera żadnych łatwych rozwiązań ani wypróbowanych recept na pozbycie się wielu problemów jakie stwarza bliskie obcowanie z drugim grzesznikiem. Poddanie Chrystusowi jako Panu i zaakceptowanie autorytetu Pisma da nam potrzebną motywację i siłę do życia w sposób odpowiedzialny. Odpowiedzialne życie chrześcijańskie przyniesie zaś stopniowo rezultaty w postaci głębokiej radości i niepodważalnej nadziei.

2. Kiedy podejmujemy szczerze wysiłki aby żyć według nakazów Biblii, okazuje się to nieraz trudne, skomplikowane, lub przynosi nam rozczarowanie. Posłuszeństwo Bogu narazi Cię prawdopodobnie na ból, którego dałoby się uniknąć, lub przynajmniej złagodzić, gdyby Twoim priorytetem było dobre samopoczucie. Kiedy staję przed wyborem: bolesne posłuszeństwo lub wygodny kompromis, przychodzą mi nieraz na myśl słowa Piotra „Panie! Do kogo pójdziemy? Ty masz słowa żywota wiecznego” (Jan 6,68).

Mamy do wyboru posłuszeństwo Bogu lub robienie tego, na co sami mamy ochotę.

3. Postanowienie, że będziemy żyć według Bożych nakazów, nie daje gwarancji udanego małżeństwa. Twój partner może po prostu odmówić współpracy. Może się nawet zdarzyć, że Twój mąż czy żona cieplej odnosiłaby się do Ciebie gdybyś złagodził pewne swoje chrześcijańskie zasady. Kiedy przeżywamy trudności małżeńskie powinniśmy jednak *nie* zastanawiać się nad tym, jak polepszyć relację wzajemną w małżeństwie, ale zadać sobie pytanie „Co nakazuje mi Biblia?” Słowo Boże musi mieć pierwszeństwo przed tym, co według mnie najlepiej zaspokoi moje potrzeby.

4. Jeśli chcemy osiągnąć pełny obraz małżeńskiej relacji, musimy uznać Biblię za ostateczny autorytet przy określaniu zasad postępowania. Musimy odrzucić oparte na kulturowych argumentach interpretacje Biblii, które ograniczają stosowność na przykład twierdzeń Pawła o małżeństwie do naszej współczesnej sytuacji. Zaakceptowanie takiej „kulturyzacji” Pisma jest skutecznym sposobem wyparcia Bożej mądrości przez mądrość ludzkiego, nieobiektywnego myślenia. Ta książka zakłada zarówno nieomyślność Biblii jak jej ponadkulturowy autorytet.

Kiedy to piszę stają mi przed oczyma twarze ludzi, którzy rozmawiali ze mną o swoich małżeńskich kłopotach. Modłę się, żeby ta książka przemówiła w sposób jasny i pomocny do mężów i żon, którzy pragną zbudować bliską relację małżeńską na biblijnym fundamencie.

Część I.

Cel małżeństwa

1

Jedność

Czym jest i dlaczego jest tak ważna

Kilka miesięcy temu, lecąc do Nowego Jorku, pracowałem nad ogólnym zarysem tej książki. Stewardesa zauważyła słowa „Cel małżeństwa” na okładce żółtego brulionu leżącego przede mną na rozkładanym stoliku. Zapytała co piszę. Kiedy jej powiedziałem, że właśnie zaczynam pisać książkę o małżeństwie, powiedziała: „O, to bardzo dobrze. Mocno wierzę w małżeństwo. Po sześciu latach życia z mężczyzną postanowiłam, że chcę wyjść za mąż. Ponieważ facetowi, z którym żyłam, bardzo odpowiadała nasza luźna relacja, znalazłam kogoś innego, kto nie bał się związać i pobrałiśmy się dwa miesiące temu. Jak na razie jest wspaniale!”

Zapytałem, dlaczego wołała wyjść za mąż niż po prostu żyć z mężczyzną. Pomyślała przez chwilę i powiedziała: „Myślę, że chciałam bardziej pewnej relacji. Wyszłam za mężczyznę, który wydaje się szczerze mnie kochać i który chce pracować nad rozwojem naszego związku. Przedtem nie czułam się nigdy na tyle bezpieczna, żeby się otworzyć i próbować zbliżyć się do mężczyzny, który nie chciał się do niczego zobowiązywać”.

Ta rozmowa wywołuje dwa pytania: (1) Co było celem tej kobiety, kiedy zdecydowała się porzucić chłopaka, z którym żyła aby zastąpić go mężem? (2) W jaki sposób chciała osiągnąć swój cel?

Rozważmy inny przykład.

Pewien mąż, niewiele po trzydziestce, skarżył się przede mną, że jego żona rozczarowała go. Była ładna i miła, dobrze gotowała, i była wspaniałą matką dla ich dwojga małych dzieci, ale te wszystkie zalety były przyćmione przez jej ciągłe narzekanie, niecierpliwe upomnienia i jej negatywne podejście do wszystkiego. Nie podobało się jej nic, co on robił, a przecież, dodał z nutką melodramatycznego zawodu w głosie, był mężem, o jakim wiele kobiet mogłoby marzyć.

Jego żona wpatrywała się zniechęcona w podłogę przez cały czas, kiedy on mówił. Kiedy skończył, odezwała się nie podnosząc głowy: „To prawda, co on mówi. Jestem okropną zrzedłą i rzeczywiście często narzekam. Czuję się po prostu taka niekochana przez Jimmy’ego”.

Kiedy podniosła głowę, w oczach jej był gniew. „Nieraz tak na mnie naskakuje i wyzywa od najgorszych. Nie chce się nigdy ze mną modlić. To prawda, że często się do mnie uśmiecha i myśli, że przez to jest wspaniałym mężem, ale ja wiem, że on tak naprawdę mnie nie akceptuje. Jego uśmiechy przechodzą zawsze w natarczywe dopominanie się o seks. A kiedy ja odmawiam, jest zdumiony i urażony”.

Pomyślmy nad sytuacją tej pary i zadajmy sobie te same dwa pytania: (1) Czego oczekiwało każde z nich od swego partnera? (2) W jaki sposób chcieli to osiągnąć?

Zastanówmy się nad jeszcze jednym przykładem.

Małżeństwo w średnim wieku - chrześcijanie, mili ludzie, utalentowani, dobrze sytuowani, aktywni członkowie kościoła - stwierdzili, że ich małżeństwo jest zagrożone.

„Czuję się taką hipokrytką” - powiedziała żona. „Gdyby pan kazał ludziom z naszego kościoła zrobić listę dziesięciu najszczęśliwszych małżeństw w okolicy, to nasze nazwisko byłoby pewnie na każdej liście. Mamy dużo znajomych, często gościmy ludzi z naszego kościoła w naszym przepięknie urządzonym domu i śpiewamy razem w chórze. Świetnie odgrywamy naszą rolę, ale nasz związek nie jest szczęśliwy.

Żyjemy ze sobą - ale na odległość. Nie mogę mu nigdy powiedzieć co naprawdę czuję w danej sytuacji. Wpada w gniew i wyskakuje na mnie albo nie odzywa się do mnie przez parę dni. Myślę, że nasz związek nie był nigdy naprawdę bliski”.

Jej mąż odpowiedział: „Nie sędzę, że jest aż tak źle. Wiele świadczy na naszą korzyść: dzieci dobrze sobie radzą, żona uczy w Szkole Niedzielnej, Pan błogosławi mojemu przedsiębiorstwu. *Lepiej nam się wiedzie, niż wielu ...*”

Przerwałem. „Jak wiele mówi pan o sobie swojej żonie - o swoich uczuciach, nadziejach, marzeniach?”

„No cóż” - odpowiedział - „kiedy próbuję coś powiedzieć, ona zwykle nie wydaje się zbyt zainteresowana, więc daję spokój”.

„Słuchałabym, gdybyś naprawdę chciał ze mną się czymś podzielić” - wypaliła jego żona - „Ale według ciebie dzielenie się to robienie mi wykładu na temat tego, jak wszystko powinno wyglądać. Kiedy próbuję ci powiedzieć co czuję, zawsze mówisz coś w rodzaju: „Nie mam pojęcia dlaczego tak to odbierasz”. Myślę, że nasze porozumiewanie się jest okropne”.

Jeszcze raz rozważmy te same dwa pytania: (1) Czego tych dwoje uczuciowo rozwiedzionych ze sobą ludzi oczekuje od swego małżeństwa, ale do tej pory nie udało im się rozwinąć? (2) W jaki sposób starają się osiągnąć to, czego oboydwoje głęboko pragną?

POTRZEBA BLISKOŚCI

Zajmijmy się pierwszym pytaniem: *Do czego dążył każdy z tych ludzi?*

Jasne jest, że stewardesa wyszła za mąż w nadziei, że relacja oparta na wzajemnym zobowiązaniu da jej poczucie bliskości, którego brakowało w pożyciu z jej chłopakiem.

Zawiedziony mąż pragnął poczucia jedności ze swoją żoną, ale sądził, że jej krytyczne i odpychające nastawienie stało temu na przeszkodzie. Czuł do niej złość, podobnie jak ja czułbym w stosunku do kogoś, kto, podczas gdy ja od paru dni nie miałem nic w ustach, blokuje mi drogę do zastawionego stołu. Jego żona czuła się niezdolna do ciepłej reakcji wobec mężczyzny, który wydawał się raczej ją wykorzystywać niż akceptować. Bardzo pragnęła poczucia bliskości, ale ogarniał ją strach na myśl zbliżenia się do mężczyzny, który być może tak naprawdę wcale jej nie kocha.

Para małżeńska, której relacja była pięknie zapakowanym, ale pustym pudełkiem, czuła się kompletnie niezdolna do nawiązania ze sobą kontaktu emocjonalnego. Brak prawdziwej bliskości wytworzył próżnię między nimi - do której ona z łatwością i goryczą się przyznawała, a którą on ignorował koncentrując swoją uwagę na zewnętrznych oznakach rodzinnych sukcesów.

Świeżo upieczona mężatka - stewardesa, wybuchowy mąż i jego narzekająca żona, a także para, która nie umiała się ze sobą porozumieć, wszyscy oni dążyli do tego samego nieuchwytnego celu: *Głębokiego poczucia osobowej bliskości w relacji z osobą odmienną płci.*

Nic nie wywiera tak głębokiego wpływu na ludzką osobowość, jak relacja z drugim człowiekiem. Nauka biblijna utkana jest od Księgi Rodzaju do Apokalipsy wątkiem relacji:

- *Doskonała relacja wzajemna* Trójcy Świętej;
- *Zerwana relacja* między Bogiem a człowiekiem, Adamem a Ewą, Kainem a Ablem;
- *Pełna miłości relacja* pomiędzy Akwilą a Pryscyllą, Rut a Noemi, Jezusem a Janem;
- *Przeciwstawna relacja* między Izebel a Eliaszem, Jezusem a Faryzeuszami;
- *Napięta relacja* między Abrahamem a Lotem, Pawłem a Janem Markiem.

Pismo ukazuje również w obrazowy sposób jakie uczucia powstają w relacjach międzyludzkich:

- *Rozpacz utraconej relacji* - Dawid oplakujący Absaloma, Jezus wołający „Boże mój, czemuś mnie opuścił?”;
- *Gorzki żal po zasmuceniu ukochanej osoby* - Piotr, kiedy po raz drugi zapiał kogut;

- *Radość z odzyskania ukochanej osoby* - Jakub spotykający Józefa w Egipcie, córka Jaira przywrócona swemu ojcu;

- *Pełna spokoju i odprężenia relacja między dobrymi przyjaciółmi* - Chrystus w domu Marii i Marty.

Lista ta nie ma końca. Jak widać, opowieść biblijna ukazuje relacje międzyludzkie w całej ich dramatyczności.

Dlaczego właśnie ten temat odgrywa taką ważną rolę w Słowie Bożym? Ponieważ najgłębsze potrzeby ludzkiej osobowości mogą być zaspokojone tylko w kontekście relacji.

Ludzie w każdym zakątku ziemi pragną bliskich relacji. Wszyscy potrzebujemy mieć kogoś bliskiego. Nie musisz się usprawiedliwiać ze swego silnego pragnienia bliskości z drugim człowiekiem, nie jest ono ani grzeszne, ani egoistyczne. Nie odpychaj od siebie tej potrzeby koncentrując się na drugorzędnych źródłach zadowolenia, jak na przykład sukcesie towarzyskim czy zdobywaniu wiedzy. Ignorowanie swego pragnienia relacji i twierdzenie, że jest się „ponad to”, jest tak samo naiwne, jak twierdzenie, że bez jedzenia też można żyć. Nasza potrzeba relacji jest rzeczywista i Bóg sam ją w nas zaszczepił.

Bóg stworzył nas na Swoje podobieństwo, osobowe istoty niepodobne do żadnego innego stworzenia, i podobne do Niego pod względem naszych szczególnych zdolności zawierania relacji. Jako zależne istoty osobowe, nie możemy funkcjonować w pełni według planu Stwórcy bez bliskich relacji. Według mnie, Pismo uczy nas, że głęboka relacja niesie ze sobą dwa elementy niezbędne do życia według Bożego planu: (1) *Bezpieczeństwo* płynące z faktu, że ktoś nas prawdziwie kocha i akceptuje, i (2) *Poczucie własnej wartości* płynące z faktu wywierania istotnego, trwałego, pozytywnego wpływu na drugą osobę.

Są to bardzo realne potrzeby, które muszą być zaspokojone zanim będziemy mogli podjąć w pełni biblijne działania. Nie ma sensu nawoływać ludzi, których potrzeba bezpieczeństwa i własnej wartości nie jest zaspokojona, do odpowiedzialnego życia przed Bogiem. Miałoby to taki sam skutek, jak nakazywać komuś, kto cierpi na zapalenie gardła, żeby głośniej mówił. Jeśli kobieta nie ma poczucia bezpieczeństwa, ani żadnej nadziei na zdobycie go, nie może być taką żoną, jak nakazuje Biblia. Dobrowolne poddanie mężczyźnie, który jest egoistyczny i gruboskórny, otwarcie się przed mężem, który na skutek swej słabości lub obojętności nie chce okazać jej miłości, wymaga jakiegoś już istniejącego poczucia bezpieczeństwa.

Wytrwale okazywanie miłości kobiecie, która przejawia brak szacunku wobec poglądów swego męża i która przez ciągłą krytykę, złość i odpychającą postawę utrzymuje dystans między sobą a nim, jest niemożliwe dla mężczyzny, który nie ma ugruntowanego poczucia własnej wartości. Nie możemy funkcjonować zgodnie z Bożym planem, jeśli wpierv nie zaopatrzymy się w potrzebne do tego Boże zasoby.

PROBLEM UCZUĆ

Chciałbym uniknąć wszelkich nieporozumień i jasno stwierdzić jedną rzecz: do prawidłowego funkcjonowania nie jest nam koniecznie potrzebne, byśmy *czuli się* ważni czy akceptowani. Nawet jeśli nie *czuję się* ważny i akceptowany, to nadal muszę wierzyć w to, co mówi Bóg. Jego Słowo zapewnia, że w Chrystusie jestem zarówno bezpieczny w Jego miłości, jak i ważny dla realizacji Jego planu. Żona, która *czuje* rozpaczliwy brak akceptacji, może całkowicie poddać się swemu mężowi, jeśli *wierzy*, że jest bezpieczna w Chrystusie. Mąż, który *czuje się* zagrożony odpychającą postawą swej żony, powinien okazywać jej pełną miłości akceptację, ponieważ może *wierzyć*, że jest wartościowym chrześcijaninem niezależnie od reakcji jego żony.

Dzięki Chrystusowi jestem bezpieczny i wartościowy. Jest to prawda niezależnie od tego, co *czuje*. Bóg każe mi wierzyć, że moje potrzeby już zostały zaspokojone i dlatego powinienem żyć - wolny od egoizmu - troszcząc się jedynie o potrzeby innych. Im bardziej jako podstawę mego działania przyjmuję to, co Chrystus już dla mnie zrobił, tym mocniej zaczynam doświadczać jak rzeczywiste jest bezpieczeństwo i wartość, które mam w Nim.

Grzech wypaczył wszystko. Pierwotny plan Boga był taki, by mężczyzna i kobieta żyli w przyjaźni z Nim i w bezinteresownej relacji wzajemnej, opartej na obustronnym dawaniu. W takiej relacji moja miłość do żony tak by ją poruszała, że doświadczałbym głębokiego poczucia własnej wartości widząc jaką radością napelnia ją moja miłość. Rozkoszowałbym się też bezpieczeństwem, które zapewnia mi jej miłość. Moja żona zaś widziałaby jak wielką rolę odgrywa w zaspokajaniu moich najgłębszych potrzeb, co dawałoby jej poczucie własnej wartości i cieszyłaby się z bezpieczeństwa, jakie daje jej moja miłość.

Coś się jednak popsło w naszym małżeństwie. Nie wierzę już, że moje potrzeby zostały zaspokojone. Sądzę, że moja żona musi mi dać poczucie bezpieczeństwa i własnej wartości, a *dopiero wtedy* ja będę mógł postąpić tak, jak powinienem. Teraz *czekam*, aż ona spełni moje oczekiwania, żeby *potem* dać jej coś z siebie. Jeśli jej postawa nie przemówi do mnie w sposób zadowalający, wycofam się lub zaatakuję. Będę wobec niej otwarty i kochający w zależności od tego, na ile sądzą, że ona mnie całkowicie akceptuje. Tylko, że teraz moja miłość do niej zależy od jej miłości do mnie. A ona podchodzi do naszej relacji dokładnie tak samo, jak ja. *Jeśli* ja okazuję jej miłość w taki sposób, że ona *czuje się* bezpieczna, to *wtedy* ona decyduje się na pełne miłości poddanie. Jeśli jest inaczej, to wytwarza taki dystans między nami, który pomaga jej znieczulić ból wywołany moim odrzuceniem.

Wytwarza się sytuacja nie do zniesienia. Ponieważ prosiłem moją żonę o zaspokojenie moich potrzeb, ona może mi teraz odmówić tego, co potrzebuję i w ten sposób mnie zniszczyć. Do naszej relacji wkraśl się *strach*. Zaczęliśmy

się bać siebie. Bawimy się w kotka i myszkę. Żadne z nas nie znajduje w naszej relacji tego, czego tak bardzo potrzebujemy, ponieważ się boimy.

A jednak Bóg chce, żebym się zjednoczył z moją żoną w relacji, która zaspokaja jej potrzebę bezpieczeństwa. A ona ma zjednoczyć się ze mną w sposób, który odpowiada moim pragnieniom pocucia własnej wartości. Według Bożego planu nasze małżeństwo ma się stać bliską relacją wzajemną, która pozwoli nam doświadczać tego, że nasza najgłębsza osobowa potrzeba własnej wartości i bezpieczeństwa została rzeczywiście zaspokojona w Chrystusie. Kiedy Bóg przyprowadził Ewę do jej męża, Biblia mówi, że stali się oni jednym ciałem, to znaczy w pełni doświadczyli relacji *jedności*. Celem małżeństwa jest rozwijanie takiej właśnie relacji.

Postawienie sobie za cel małżeństwa jedności może nas niemal przerazić, jeśli zdamy sobie sprawę z tego, że nie leży to wcale w zamiarach Boga, aby osobowe potrzeby mojej żony i moje zostały zaspokojone w naszym małżeństwie. Bóg chce także, aby nasza relacja była wobec świata zewnętrznego żywym ucieleśnieniem twierdzeń chrześcijaństwa - przykładem mocy zbawczej miłości Chrystusa w pokonywaniu dzielących ludzi skutków grzechu. W Ew. Jana 17,21 Jezus otworzył swoje serce przed Ojcem: „proszę ... aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojcze, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni w Nas jedno byli, aby świat uwierzył, że Mnie posłałeś”. Nasze relacje z wszystkimi wierzącymi były przedmiotem Chrystusowej modlitwy o jedność. Małżeństwo, dające nam szczególną możliwość wzajemnej bliskości, może stać się przekonywającą ilustracją potęgi miłości Chrystusa, która umożliwia ludziom doświadczanie prawdziwej relacji wzajemnej.

Teraz możemy już dać pełniejszą odpowiedź na pierwsze z naszych dwóch pytań. Czego pragnęła stewardesa i tamte dwie nieszczęśliwe pary? Relacji, w której naprawdę zaspokojone byłyby ich najgłębsze potrzeby - potrzeba bezpieczeństwa i potrzeba własnej wartości.

Teraz drugie pytanie: w jaki sposób chcieli rozwinąć podobną relację?

Wszystkie sposoby, jakie te dwie pary stosowały, były żałośnie nieskuteczne. Nie sądzę też, aby stewardesa miała bardziej skuteczny plan osiągnięcia upragnionej przez nią jedności.

Na czym polega więc skuteczna metoda osiągnięcia dobrej relacji małżeńskiej? Czy powinniśmy zacząć od mówienia sobie o wszystkich naszych uczuciach? Może musimy zrobić listę pomysłów „jak być miłym w tym tygodniu” i włożyć wszelkie staranie w jej realizację? Czy dałoby nam coś wcześniejsze wstawanie i spędzanie więcej czasu z Bogiem w czasie skupienia? A może czyjaś porada lub jeszcze jeden wykład o małżeństwie sprawią, że powiemy: „to jest to!” Czy rozwiązanie problemu polega po prostu na wyznaniu przed Bogiem naszego egoizmu i obiecaniu Mu, że teraz naprawdę postaramy się wykonać naszą część roboty?

Nie ma prostych odpowiedzi. Jednak odpowiedzi istnieją - trudne do przyjęcia, bo tną w poprzek włókien naszej upadłej ludzkiej natury i

jednocześnie autorytatywne, bo pochodzące ze Słowa Bożego. Pozostała część tej książki jest właśnie próbą ich sformułowania.

Rozdziały 2-5 wyjaśniają pojęcie jedności, po to, abyśmy jasno widzieli przed sobą cel, do którego dążymy. W drugiej części, zatytułowanej „Wznoszenie budowli” (rozdziały 6-8), omawiam warunki konieczne do osiągnięcia naszego celu. Następna moja książka (część III, „Dążenie do celu”) będzie dotyczyć szczegółowych zadań każdego z partnerów w budowaniu bliskiej relacji jedności, tak, aby ich najgłębsze potrzeby mogły być zaspokojone.

2

Jedność Ducha

Kto zaspokoi moje potrzeby?

Pewien mężczyzna po czterdziestce skarżył się, że jego żona jest oziębła w stosunku do niego, ciągle się złości i kłóci. Przerwałem mu to wyliczanie jej błędów mówiąc: „Z tego, co pan mówi można by sądzić, że ponieważ żona tak pana zawiodła, swój zgorzkniały stosunek do niej uważa pan za usprawiedliwiony. Biblia jednak nakazuje panu kochać żonę, choć jest ona może bardzo nieprzyjemna, kochać ją tak samo, jak Chrystus ukochał swój lud”.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

„Chwileczkę! Może powinienem ją kochać - na pewno powinienem. Ale ja także potrzebuję trochę miłości i szacunku. U niej znajduję tylko krytykę i oziębłość, a pan mi mówi, że mam ją kochać. A kto zaspokoi *moje* potrzeby?”

Tego pytania nie wolno nam zlekceważyć przez nawoływanie do zaprzestania egocentrycznych narzekania i wezwanie do wiary, że Pan uleczy wszystkie since emocjonalne, jakie zrobiła mu jego żona. Prawda zredukowana do poziomu sloganu („Ufaj Panu”, „Módl się o to”, itd.) nie zachęca do wiary w uleczenie. Mężczyzna ten ma rzeczywiste potrzeby, które domagają się zaspokojenia i nie ucichną pod wpływem gładkich upomnień, że przecież „Jezus jest wszystkim, czego nam potrzeba”. Ten mężczyzna został doprowadzony do szału i złości, ponieważ jego żona go nie kocha. Jego relacja małżeńska nie zaspokaja jego potrzeb emocjonalnych. Według niego, rozwiązanie problemu było proste: tak zmienić jego żonę, żeby zechciała zaspokajać jego potrzeby.

Proszę sobie wyobrazić przed jakim dylematem stoi doradca małżeński. Przypuśćmy, że miałby powiedzieć żonie tego mężczyzny, że powinna okazywać swemu mężowi więcej miłości. Co ona odpowie? „Ale ja też mam swoje potrzeby i ja także nie czuję się za bardzo kochana. Kto zaspokoi *moją* potrzebę miłości i ciepła?”

Aby zrozumieć, jak Bóg chciał, aby wyglądała relacja małżeńska, musimy zacząć od tego, że zarówno mężowie jak i żony mają zupełnie naturalne, osobowe potrzeby, które domagają się zaspokojenia.

POTRZEBY
OSOBOWEPOTRZEBY
OSOBOWE

Te *osobowe* potrzeby są tak samo rzeczywiste, jak nasze potrzeby *fizyczne*. Nasze efektywne funkcjonowanie jest niemożliwe, jeśli nie są one zaspokojone. W tym rozdziale staram się ukazać, że żadne małżeństwo nie może żyć według biblijnego wzoru, dopóki każde z partnerów nie doświadczy zaspokojenia swoich potrzeb osobowych na najgłębszym poziomie. Potrzeby mogą zostać zaspokojone jedynie w kontekście relacji. Nikt nie jest w stanie zaspokoić swoich własnych potrzeb.

PROBLEM POTRZEB

Z takiego stanu rzeczy wyłania się pewien problem. Zarówno moja żona, jak i ja, mamy realne potrzeby osobowe, które muszą być zaspokojone, jeśli mamy odnosić się do siebie wzajemnie tak, jak powinniśmy. Wynika z tego, że nie mogę mojej żony w pełni kochać, dopóki nie czuję, że sam jestem ukochaną, wartościową osobą. Wynika z tego także, że ona nie może mnie prawdziwie kochać, dopóki nie będzie miała przeświadczenia, że sama jest w pełni bezpieczna. Cóż nam więc pozostaje?

Czy mam prawo robić żonie wyrzuty i nakazywać jej, żeby się lepiej starała? Przecież nie mogę oczekiwać od niej, żeby mnie właściwie traktowała, dopóki sama nie czuje się kochana. Ja jednak nie jestem w stanie dać jej miłości, jakiej *ona* potrzebuje, dopóki ktoś nie zaspokoi *moich* potrzeb. Taka sytuacja męża i żony podobna jest do sytuacji dwóch zbankrutowanych przedsiębiorców. Każdy z nich czeka na pożyczkę od drugiego, żeby móc założyć nową spółkę.

A może trzeba, aby każde z nas zaczęło liczyć wyłącznie na to, że Pan we właściwy sposób zaspokoi nasze pragnienia. Taka odpowiedź brzmi bardzo rozsądnie, ale także niesie ze sobą pewne trudności. Duchowa dojrzałość potrzebna do tego, by doświadczać nieustającej miłości Chrystusa w sytuacji, kiedy cierpimy z powodu dotkliwego bólu emocjonalnego, jest dla wielu chrześcijan niedoścignionym ideałem. Pan wydaje się nieraz być bardzo daleko od rzeczywistości naszych natarczywych, ludzkich potrzeb.

Pewna 35-letnia kobieta, od lat ozięble traktowana przez męża, ma, zupełnie zrozumiale, trudności z odrzuceniem mężczyzny oferującego jej ciepły, bliski związek, z relacją seksualną włącznie. Pocieszanie jej słowami o niewyczerpanej Bożej miłości wydaje się być tym samym, co pokazywanie umierającej z głodu kobiecie - aby ją podnieść na duchu - zdjęć suto zastawionego stołu. Nakazywanie jej, by pozostała posłuszna Słowu Bożemu może wyglądać na lekceważenie jej całkiem naturalnego i zrozumiałego głodu.

Ale załóżmy, że postanowimy całkowicie zaufać Chrystusowi, że zaspokoi nasze potrzeby. Jaką rolę ma w takim razie do spełnienia nasz partner? Czy moja żona ma być tylko życzliwym obserwatorem, który z daleka patrzy jak ja walczę o pogłębienie mojej relacji z Panem? Czy jej wysiłki zbliżenia się do Boga miałyby być tak osobistą i intymną sprawą, że ja mam być pozbawiony udziału w tym, co dotyczy jej najgłębszej, emocjonalnej sfery życia? Jak mamy w praktyce osiągnąć tę głęboką jedność?

Zanim odpowiemy na te pytania musimy poznać dokładniej istotę potrzeb osobowych.

POTRZEBY OSOBOWE

Człowiek jest czymś więcej niż tylko materialnym ciałem. Biblia stwierdza jasno, że nasza skóra, kości, włosy i narządy stanowią tylko tymczasową siedzibę naszego „ja”. Kiedy nasze serca przestaną bić, a ciała ulegną rozkładowi, ta określona cząstka, którą nazywam „ja”, nadal będzie istnieć w sposób świadomy i osobowy. Kto to jest ten „ja”?

I Mojż. 1,27 mówi, że rodzaj ludzki został stworzony na podobieństwo Boga. Bóg jest jednak istotą bezcielesną, to znaczy, że nie posiada ciała fizycznego (chyba że, oczywiście, poprzez wcielenie Drugiej Osoby Boga). Jego istotą nie jest materia. Dlatego też nie można szukać naszego podobieństwa do Boga w ciele i kościach. Moja *fizyczna* istota nie jest podobna do Boga.

Ale jestem też istotą *osobową*, a ta jest podobna do Boga. Bóg jest kochającą, świadomie działającą osobą, która myśli, dokonuje wyborów, posiada uczucia. Ja także jestem osobą, która potrafi kochać, świadomie działać, która myśli, wybiera i odczuwa. Biblia używa różnych określeń osobowego charakteru człowieka - na przykład *duża, rozum, serce i wola*. Jednakże biblijne określenie „*duch*” wydaje się odnosić do najgłębszej części istoty człowieka jako osoby. Kiedy myślę o najgłębszej części mnie, tej, która jest w stanie zbliżyć się do Boga - myślę o moim duchu. Zastanówmy się jakie cechy ma ta osoba, ten duch, który przebywa w ciele.

Niedawno poprosiłem pewną grupę osób, by zamknęli oczy i przez chwilę zastanowili się nad następującymi pytaniami: Czego chcę tak naprawdę? Jakie są moje najgłębsze pragnienia? Spełnienie którego z moich marzeń sprawiłoby mi największą przyjemność? Kiedy już nad tym pomyśleli, poprosiłem, aby

wybrali jedno słowo, które najlepiej wyraża ich pragnienia. Wśród podanych przez nich słów były: *akceptacja, sens, miłość, cel, wartość*.

Większość z nas, jeśli spojrzymy w głąb siebie, stwierdzi silne pragnienie kochania i bycia kochanym, akceptowania i bycia akceptowanym. Kiedy czujemy, że komuś naprawdę na nas zależy, lub jeśli w nas samych zauważamy głębokie współczucie dla kogoś, to poruszona zostaje najgłębsza część naszej istoty. Myślę, że pragnienie miłości reprezentuje ten zespół naszych potrzeb, który częściowo stanowi odpowiedź na pytanie: Co to znaczy, że jesteśmy osobami, czyli istotami duchowymi?

Jeśli dłużej pomyślimy nad naszymi wewnętrznymi pragnieniami, możemy zauważyć coś jeszcze. Czy masz może to nieuchwytne poczucie spełnienia, uczucie energii i pełni, kiedy robisz coś, co jest dla ciebie ważne? Zmywanie naczyń czy skopywanie grządek może nas nudzić, ale podejmowanie decyzji o poważnych konsekwencjach, czy niesienie komuś pomocy w nagłym wypadku porusza jakieś głębsze warstwy naszej osobowości. Wyczuwamy wtedy niezwykłą wagę tego, co robimy - może szarpie nam to nerwy, ale jest ważne. Tak więc nasze osobowe istnienie niesie z sobą jeszcze drugi zespół potrzeb - potrzebę znaczenia i wartości.

Kiedy robię studium biblijne o różnych osobach występujących w Biblii ciągle zadziwia mnie realność tych dwóch zespołów potrzeb. W ósmym rozdziale Listu do Rzymian wydaje się, że entuzjazm Pawła piszącego o nieustającej miłości Chrystusa przekroczy granice języka. Innym przykładem jest Job - niemal całkowicie przepelniony tęsknotą za żyjącym Wybawcą, który pewnego dnia ukaże się jego oczom (Job 19,25-27). Apostoł Jan pochłonięty jest myślą o miłości Pana dla Swych dzieci (zobacz zwłaszcza I Jana 3,1). Rut była do Noemi przywiązana siłą mocniejszą od więzów kulturowych. Coś we wnętrzu tych ludzi głęboko poruszone było *miłością*. Jako osobowe, duchowe istoty, stworzone na obraz Boga, który jest miłością, wszyscy oni zdolni byli kochać. Zanim człowiek popadł w grzech zdolność ta znajdowała ciągle i doskonale swój wyraz w bezpośredniej relacji z Bogiem. W momencie, gdy człowiek został oddzielony od Boga przez grzech, jego *zdolność* kochania nie znajdowała już swej realizacji i dlatego zaczęła być odczuwana jako *potrzeba* - potrzeba miłości, lub lepiej można powiedzieć - *potrzeba bezpieczeństwa*.

Abraham nie zawahał się porzucić swego domu i wyruszyć w długą podróż, ponieważ szukał miasta o silnych fundamentach, którego architektem i budowniczym jest sam Bóg (Hebr. 11,8-10). Jego podróż miała *cel*, który stanowił dla niego motywację. Jeremiasz zniósł ciągle prześladowania i pozostał wiernym nawet w chwili rozpacz, ponieważ *cel* jego posługi - dawanie świadectwa temu, co wiedział, że jest prawdą - zapadł mu głęboko w duszę i trawił jego serce jak ogień (Jerem. 20,9). Paweł zgodził się odłożyć swoje wejście do nieba, ponieważ zdawał sobie sprawę jak ważna była jego dalsza posługa na ziemi (Fil. 1,21-24). Każdy z tych świętych kierował się

przeświadczeniem, że to co robi jest bardzo ważne. Jako osobowe istoty byli oni zdolni odczuwać celowość i wartość ich życia. Zanim Adam zgrzeszył, jego czynny udział w realizacji Bożego planu całkowicie odpowiadał jego zdolności do prowadzenia życia, które ma sens. Jednak po odrzuceniu Bożego planu jego zdolność uświadamiania sobie znaczenia tego, co robi, zaczęła być odczuwana jako potrzeba - potrzeba *ważności*.

Ta nieuchwytna cząstka mojej istoty, którą nazywam „ja”, ma więc dwie realne i głębokie potrzeby, które są niezależnymi, osobowymi rzeczywistościami, i których nie można sprowadzić do biologicznej czy chemicznej analizy. Istnieją one w sposób osobowy, niezależnie od ciała fizycznego, a ich istnienie stanowi najważniejszy element naszej odpowiedzi na pytanie: co to znaczy być duchem.

Te dwie potrzeby są odbiciem obrazu Boga. Bóg jest istotą osobową, która w samej swej naturze jest *miłością* i która, jako Bóg planu i celu, jest autorem *znaczenia*. My także jesteśmy istotami osobowymi, ale w przeciwieństwie do naszego nieograniczonego, samowystarczalnego Boga, jesteśmy ograniczeni, zależni i upadli. Bóg jest miłością, a my *potrzebujemy* miłości. Wszystko, co Bóg robi, jest ważne, a my *potrzebujemy* *robić* coś, co jest ważne.

Potrzeby te można w ten sposób podsumować:

Bezpieczeństwo: Pełna przekonania świadomość, że jestem bezwarunkowo i całkowicie kochany, że nie potrzebuję się zmienić, aby zdobyć tę miłość; kochany miłością ofiarowaną z wolnej woli, na którą nie można zasłużyć i której z tego względu nie można też stracić.

Wartość: Świadomość, że wykonuję zadanie lub pracę, która jest rzeczywiście ważna, której rezultaty nie znikną z biegiem czasu, ale mają wieczną trwałość; zadanie, które w pierwszym rzędzie oznacza wywieranie znaczącego wpływu na drugą osobę, zadanie, do spełniania którego jestem w pełni zdolny.

Tak więc fakt, że jestem osobą (czyli duchem), jest nierozdzielnie związany z posiadaniem tożsamości, która do efektywnego funkcjonowania wymaga bezpieczeństwa i wartości. Kiedy obie te potrzeby są zaspokojone, czujemy się *wartościowymi* ludźmi.

Moja żona też jest istotą duchową, a więc ona także potrzebuje bezpieczeństwa i wartości. Jeśli jako małżeństwo, mamy osiągnąć jedność na poziomie naszego ducha - to, co nazywam Jednością Ducha - to musimy znaleźć sposób, by się zjednoczyć na poziomie naszych najgłębszych potrzeb.

Tylko jak? I w ten sposób powracamy do pytania, które postawiliśmy na początku tego rozdziału: Jak mąż i żona mogą dojść do głębokiej jedności na poziomie swych osobowych potrzeb? Wydaje się, że jeśli chcemy zaspokoić

nasze osobowe potrzeby w małżeństwie, to mamy przed sobą cztery podstawowe możliwości działania. Możemy:

1. Zignorować nasze potrzeby;
2. Szukać satysfakcji w sukcesach zewnętrznych;
3. Szukać zaspokojenia naszych potrzeb u swego partnera;
4. Polegać na Panu, że zaspokoi nasze potrzeby.

Możliwość 1: Zignorować nasze potrzeby.

Pierwszą możliwość można od razu odrzucić. Jeśli (według mnie) Pismo naucza, że te osobowe potrzeby są tak rzeczywiste jak nasze potrzeby fizyczne pożywienia, wody i schronienia, to ignorowanie ich prowadzi do katastrofy. Jeżeli nasze fizyczne potrzeby nie zostaną zaspokojone, czeka nas *śmierć fizyczna*. Gdy osobowe potrzeby bezpieczeństwa i wartości są zaniedbywane i niezaspokojone, czeka nas *śmierć osobowa*. Symptodem zbliżającej się osobowej śmierci jest między innymi poczucie braku wartości, rozpacz, chorobliwy strach, brak motywacji i energii, próba uśmierzania bólu umierania przez narkotyki, seks lub alkohol, oraz poczucie pustki i znudzenia. Zostaliśmy stworzeni z realnymi potrzebami osobowymi i jeśli mamy być wiernymi zarządcami naszego życia, to nie wolno nam ich ignorować.

Możliwość 2: Szukać satysfakcji w sukcesach zewnętrznych.

Działając poprzez upadły świat, szatan nauczył nas wierzyć kłamstwu. Nasza kultura każe nam mierzyć wartość człowieka jego osiągnięciami. Świat narzucił wielu Chrześcijanom przekonanie, że nasza potrzeba poczucia wartości może zostać zaspokojona bez wchodzenia w głęboką relację z żyjącym Bogiem.

W naszym społeczeństwie wartość mężczyzny jest z reguły określana przez wysokość jego zarobków; prestiż jego zajęcia; usytuowanie, wartość i wielkość jego domu; zalety towarzyskie i fizyczną atrakcyjność; samochód i ubrania; wykształcenie; talent sportowy lub muzyczny. W kontekście religijnym dodatkową rolę odgrywają takie zdolności, jak śpiew, organizowanie różnych zajęć w kościele, itd.

Jeśli chodzi o kobiety, to ich wartość często jest oceniana według ich pozycji towarzyskiej; stanowiska męża; osobistego uroku, zrównoważenia i taktu; stylu, marki i ceny ubrań, jakie nosi; urządzenia jej domu, a także jej towarzyskich talentów (elokwencja, przemawianie na zebraniach kobiet, itd.). Bardzo wiele małżeństw nieświadomie połknęło haczyk szatana. Możliwe, że ci „szczęśliwcy” - pobłogosławieni pieniędzmi, miłym wyglądem i talentem, mają pewną imitację poczucia własnej wartości, która daje im częściowe zaspokojenie ich potrzeb. Ponieważ ból ich niezaspokojonych potrzeb zostaje stłumiony, może nigdy nie podejmą oni trudnej walki o zdobycie prawdziwego bezpieczeństwa i wartości. Może wydawać się, że ich życie jest szczęśliwe,

dynamiczne i bezproblemowe - bez ciągłych zmagani z wewnętrznymi konfliktami. Jeśli zdarzy się, że nieprzyjemne myśli osiągną progu ich świadomości, ludzie ci zniczulają je przez zwiększoną aktywność, nowe zakupy, podróże, czy innego rodzaju przyjemności.

Ciekaw jestem ile chrześcijańskich małżeństw - dobrze sytuowanych, prowadzących urozmaicone życie, nie osiąga nigdy wzajemnego porozumienia na najgłębszym poziomie ich osobowości, ale zagrzebuje swe wewnętrzne pragnienie miłości i celu pod stertą zewnętrznych sukcesów. Jakież to smutne! Jakie puste! Lepiej jest już walczyć z czymś konkretnym, niż dla wygody zgodzić się na cień.

Wybór możliwości drugiej - szukanie satysfakcji w zewnętrznych sukcesach zamiast w zmaganiach, jakie niesie ze sobą głęboka relacja - prowadzi niezawodnie do wytworzenia powierzchownej relacji, która będzie może przyjemna, ale nie zjednoczy męża i żony na najgłębszym poziomie.

Możliwość 3: Szukać zaspokojenia naszych potrzeb u swego partnera.

Jeśli ignorowanie naszych potrzeb jest niebezpieczne, a szukanie zwodniczej satysfakcji w zewnętrznych sukcesach prowadzi do spłyconej relacji wzajemnej, to co mamy w takim razie zrobić z naszymi potrzebami? Przeważająca większość ludzi szuka u swego partnera odpowiedzi na to pytanie.

Pomyślmy, co się w rzeczywistości dzieje w momencie zawierania małżeństwa: Dwoje ludzi - każde z nich ma osobowe potrzeby, które domagają się zaspokojenia - ślubuje sobie, że będą jednością. Kiedy wypowiadają przysięgę, że będą się kochać i wzajemnie szanować, kierują nimi silne, choć ukryte motywacje. Gdybyśmy w jakiś sposób mogli podświadome zamiary tych dwojga nagrać na taśmę magnetofonową, to być może usłyszeliśmyby takie słowa:

Pan młody: Potrzebuję czuć, że jestem ważny i spodziewam się, że zaspokoisz tę potrzebę akceptując każdą moją decyzję, dobrą czy złą, szanując mnie bez względu na to, jak postąpię i popierając mnie we wszystkim, co będę robił. Chcę, żebyś mnie traktowała jak najważniejszego człowieka na świecie. Żenię się z tobą po to, żeby przez ciebie znaleźć moje poczucie wartości. Taki związek, w którym Bóg każe ci być mi poddana, wydaje mi się bardzo atrakcyjny.

Panna młoda: Nigdy dotąd nie czułam się tak kochana, jak tego wymaga moja natura. Spodziewam się, że ty zaspokoisz tę potrzebę, okazując mi czułą miłość, nawet wtedy, gdy będę opryskliwa; troskliwość i uwagę bez względu na to, czy zawsze będę wrażliwa w stosunku do ciebie oraz pełną akceptacji, romantyczną

wrażliwość na moje zmienne nastroje. Liczę, że mnie nie zawiedziesz.

Małżeństwo zawarte w celu wykorzystywania drugiej strony do zaspokajania własnych potrzeb (a mam, niestety wrażenie, że to właśnie stanowi podstawę większości małżeństw), można by słusznie określić jako relację „pchła na psie”. Podobnie, jak głodna pchła wczepia się w dostarczającego jej pożywienie gospodarza oczekując posiłku, tak też każdy z partnerów jednoczy się z drugim w oczekiwaniu, że znajdzie to, czego domaga się jego lub jej natura. I oczywiście najbardziej frustrujące jest w takim małżeństwie to, że są tam dwie pchły, ale ani jednego psa!

Niewątpliwie zdarzy się na przestrzeni lat, że mąż i żona będą mieli momenty porozumienia na głębokim poziomie. Pewna kobieta opowiadała mi jak bardzo czuła się zrozpaczona, kiedy lekarz wyszedł z sali operacyjnej żeby jej oznajmić, że jej czteroletnia córeczka właśnie zmarła. Czuła w tym momencie straszny ból, przenikający do głębi jej istoty. Kiedy rzuciła się w ramiona swego męża, ten odepchnął ją chłodno i wyszedł ze szpitala. Została sama w momencie, kiedy właśnie najbardziej potrzebowała odczuć, że życie nadal ma sens. Kiedy potrzebowała czyjejs miłości, jej mąż zawiódł ją. Nie ma większej tortury niż takie całkowite obnażenie swoich potrzeb i nie otrzymanie pomocy. A *każdy* mąż i *każda* żona, bez względu na to, jak bardzo wierząca, wiele razy zawiedli swego partnera nie dając mu tego, czego potrzebował.

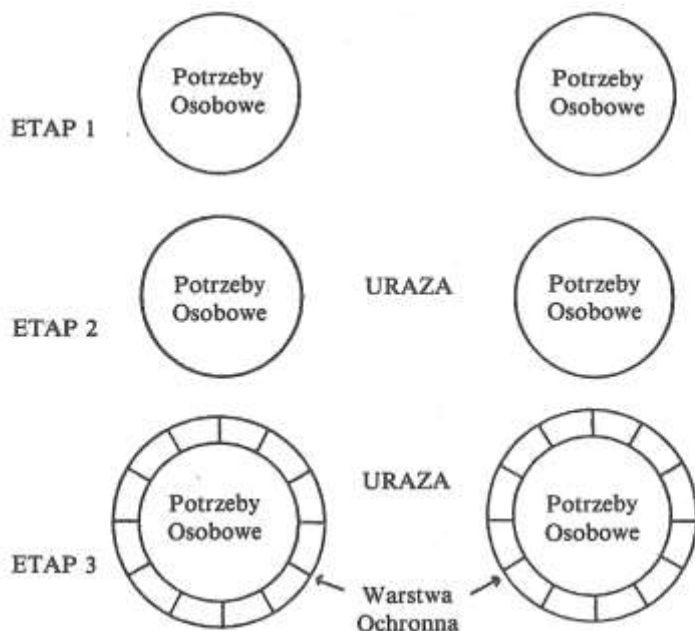
Zastanów się przez chwilę nad swoim własnym małżeństwem. Czy nie ma w tobie uczucia urazy, o którym nie chcesz otwarcie mówić ze swoim partnerem, czy może tematu (jak seks, czas spędzany razem, czy jakieś denerwujące przyzwyczajenia), którego starannie unikasz? Dlaczego? Czemu jest nam nieraz tak trudno powiedzieć naszemu mężowi lub żonie co czujemy czy co nas niepokoi?

Każdy żywy człowiek doświadczył kiedyś głębokiej urazy, został odepchnięty w momencie, gdy szukał akceptacji. Zawieramy małżeństwo mając nadzieję, że będzie inaczej, lecz bez wątpienia spotkamy się wkrótce z krytyką i odrzuceniem. Ból, jaki to ze sobą niesie jest tak ostry, że wprost *domaga* się ulgi. Tak więc chronimy się za murami obronnymi emocjonalnego dystansu, wściekli na naszego partnera za to, że nas zawiódł, i nie mając zamiaru próbować więcej porozumienia na poziomie głębokich potrzeb z obawy, że znowu doznamy przykrości.

Sytuację taką ilustruje następujący diagram. Warstwy ochronne mają na celu nie pozwolić, by odrzucenie, jakiego doznajemy, dotarło do „środku” - do miejsca, gdzie nas boli.

Najróżniejsze sposoby zachowania mogą służyć nam jako warstwy ochronne. Oto kilka najbardziej popularnych (omówimy je dokładnie w rozdziale 3):

- Niechęć do dzielenia się głębokimi uczuciami;
- Reagowanie złością, kiedy prawdziwe uczucia zostały urażone;
- Zmiana tematu kiedy rozmowa zaczyna być niebezpieczna;
- Wyłączenie się, milczenie lub inne manewry mające na celu uniknięcie odrzucenia lub krytyki;
- Wynajdowanie sobie tyle pracy, spotkań, rozrywek, zajęć w kościele, lub tyle nowinek do opowiedzenia, że głęboka rozmowa jest niemożliwa.



Raz jeszcze podkreślam: celem każdej z tych warstw ochronnych jest zabezpieczenie się przed możliwością doznania urazy ze strony naszego partnera.

Jestem przekonany, że obecnie większość małżeństw żyje za grubymi murami obronnymi emocjonalnego dystansu, które odbierają im wszelką nadzieję osiągnięcia rzeczywistej jedności na poziomie najgłębszych, osobowych potrzeb. Cóż więc robić? Czy nie powinniśmy nauczyć się jak być bardziej kochający i wrażliwi dla siebie nawzajem? Czy nie możemy pokonać tego, co nas dzieli akceptując się wzajemnie tak, jak Bóg nas zaakceptował ze względu na Chrystusa? Oczywiście, że powinniśmy to robić. Biblia nam to nakazuje, a więc leży to w zakresie naszych możliwości. Jednak nigdy nie będziemy w stanie akceptować się wzajemnie w sposób doskonały.

Nawet najbardziej akceptująca żona na świecie nie jest w stanie zaspokoić potrzeby własnej wartości swego męża. Ponieważ moja żona jest grzeszna, nie zawsze będzie tak się do mnie odnosić, jak powinna. A nawet gdyby to było możliwe, to nie może ona uczynić mnie zdolnym do dokonania czegoś nieprzemijającego - a jedynie to może mnie zadowolić.

Nawet najbardziej kochający mąż na świecie nie jest w stanie zaspokoić potrzeby bezpieczeństwa swojej żony. Każda nasza motywacja zabarwiona jest egocentryzmem. Jesteśmy zupełnie niezdolni do zapewnienia naszym żonom bezwarunkowej i bezinteresownej akceptacji, jakiej one potrzebują. Po prostu nie możemy sami sobie wystarczyć.

Chciałbym teraz krótko podsumować problemy, jakie niesie ze sobą możliwość trzecia. Jeżeli oczekuję od mojej żony zaspokojenia moich potrzeb, to nasza relacja zostanie nadszarpnięta przez (1) *próby manipulacji* w celu zdobycia tego, czego w moim odczuciu potrzebuję; (2) *strach*, że moja manipulacja nie da spodziewanych wyników; (3) *złość i ból*, kiedy nie odnosi ona sukcesu; i (4) dokuczliwe (być może nieświadome) poczucie *winy*, ponieważ moje podejście do małżeństwa jest z gruntu egoistyczne. Nieuniknionym skutkiem takiego podejścia będzie odsunięcie się od siebie poza warstwy ochronne, które blokują rozwój jedności.

Dlatego też zmuszony jestem stwierdzić, że jeśli moja żona i ja mamy stać się jednością na poziomie naszego ducha (najgłębszym poziomem naszego istnienia), to nie wolno nam oczekiwać od siebie wzajemnie zaspokojenia naszych osobowych potrzeb. Co mamy więc zrobić?

Możliwość 4: Polegać na Panu, że zaspokoi nasze potrzeby.

Nasze osobowe potrzeby bezpieczeństwa i wartości mogą być prawdziwie i w pełni zaspokojone tylko w relacji z Panem, Jezusem Chrystusem. Innymi słowy, wszystko, cokolwiek jest nam potrzebne do efektywnego funkcjonowania jako osobowe istoty (*a to nie zawsze oznacza uczucie szczęścia czy samorealizacji*), otrzymujemy w każdej chwili w relacji z Chrystusem poprzez to, co On zechce nam dać.

1. Mamy potrzebę bezpieczeństwa. On kocha nas miłością, na którą nie zasłużyliśmy, miłością, która widzi wszystko, co szpetne w nas, a jednak nas akceptuje, miłością, której nie możemy w żaden sposób zwiększyć ani zmniejszyć, miłością raz na zawsze dowiedzioną na Krzyżu, gdzie Chrystus swoją wylaną krwią zapłacił pełną cenę za nasze grzechy aby ofiarować nam dar pełnej wiecznej miłości relacji z Bogiem. W tej miłości jestem bezpieczny.

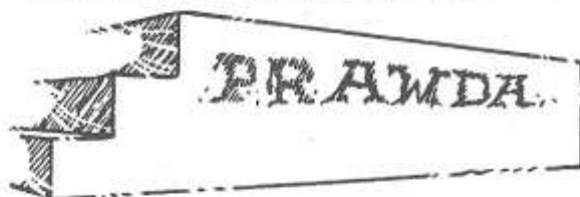
2. Mamy potrzebę własnej wartości. Duch Święty w swojej łasce i mocy uzdolnił każdego wierzącego do wzięcia udziału w realizacji wielkiego Bożego planu zjednoczenia wszystkich rzeczy w Chrystusie. Ciało Chrystusa buduje się przez to, że każdy członek służy mu swymi darami. Jesteśmy więc zdolni do wyrażania swojej wartości poprzez służenie innym, zachęcanie naszych żon

lub mężów, wychowywanie dzieci, znoszenie niesprawiedliwości bez szemrania i wierne robienie wszystkiego, aż do granic naszych możliwości, by przysporzyć chwały Bogu. Możemy żyć w ufności, że Bóg z góry przygotował dla nas dobre czyny, abyśmy je pełnili (Efez. 2,10) i że nasze posłuszeństwo przyczyni się do wypełnienia wiecznego Bożego planu. Prawdy te, kiedy je sobie dobrze uświadomimy i zaczniemy według nich postępować, dadzą nam z niczym nieporównywalne poczucie własnej ważności.

PLATFORMA PRAWDY

Naszą czwartą możliwością jest więc polegać na Panu co do zaspokojenia naszych potrzeb osobowych. Nie mamy właściwie innego rozsądnego wyjścia. Ale tu również pojawiają się problemy. Musimy z całych sił wyteżać nasze przytępienie oczy wiary aby utrzymać w zasięgu wzroku wyraźny obraz tych rzeczywistości duchowych. Niezwykle łatwo uciekają nam z głowy pojęcia, które wydawałyby się tak oczywiste dla niczym nieskażonej wiary. Prawdę duchową można porównać z równoważnią, wąską platformą, z której łatwo można spaść w jedną lub w drugą stronę. Podstawową prawdą, która stanowi platformę chrześcijańskiego małżeństwa i wszystkich innych chrześcijańskich relacji - jest to, że w Chrystusie jesteśmy w każdym momencie kochani wieczną miłością i naprawdę ważni.

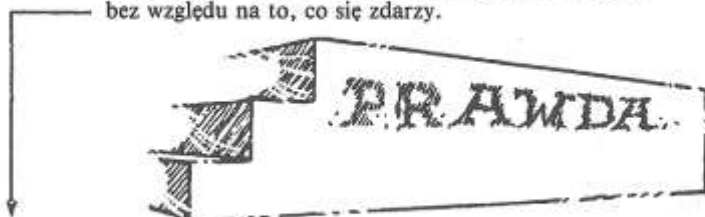
W Chrystusie jestem ważny i bezpieczny. Dlatego też mogę żyć w sposób odpowiedzialny przed Bogiem bez względu na to, co się wydarzy.



PLATFORMA PRAWDY

Bardzo często chrześcijanie spadają z tej platformy i popełniają błąd. Jeśli jakieś ważne dla nas relacje (małżeństwo, rodzina, przyjaźń), lub wydarzenia życiowe (praca, zdrowie, autorytet społeczny) nie dają nam *poczucia*, że jesteśmy bezpieczni lub ważni, może nam być trudno trzymać się faktu, że jesteśmy nadal wartościowymi ludźmi. Jeśli żona okazuje mężowi brak szacunku, lub jeśli mąż odsuwa się emocjonalnie od swojej żony, nie jest łatwo odrzuconemu partnerowi z ufnym przekonaniem uchwycić się prawdy o akceptacji i wartości, jakie mamy w Chrystusie.

W Chrystusie jestem ważny i bezpieczny. Dlatego mogę żyć w sposób odpowiedzialny przed Bogiem bez względu na to, co się zdarzy.



PLATFORMA PRAWDY

Błąd 1: Odrzucenie i porażka oznacza, że jestem mniej wartościowym człowiekiem.

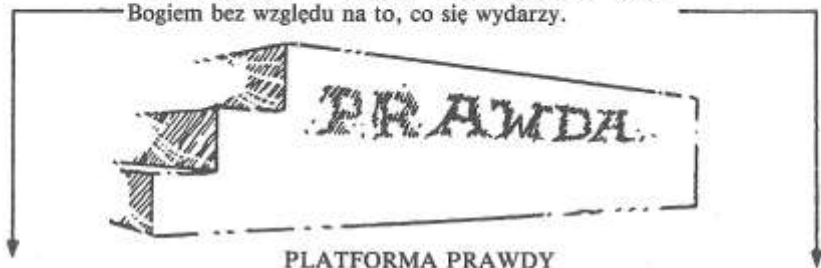
Odrzucenie i porażka może nas łatwo zepchnąć z platformy prawdy w błąd 1: *Ponieważ ktoś mnie odrzucił, lub ponieważ odniosłem porażkę, jestem mniej wartościowym człowiekiem.*

Możliwe jest również ześlizgnięcie się z platformy prawdy w błąd po drugiej stronie. Prawda, że „Chrystus jest wszystkim, czego mi potrzeba”, może nieraz zostać wynaturzona i przybrać formę pozy obronnej, która ma na celu uniknięcie urazy poprzez utrzymywanie bezpiecznego dystansu emocjonalnego w relacjach z innymi. Słyszałem kiedyś jak pewien samotny, dumny mężczyzna powiedział do swego chrześcijańskiego kolegi: „Ponieważ mam Jezusa, jestem wartościowy z tobą czy bez ciebie. Dlatego twoja krytyka w ogóle do mnie nie dociera. Ani też twoja akceptacja nie ma na mnie żadnego wpływu. Byłoby to oznaką braku wiary w Pana, gdybym ci pozwolił mieć wpływ na moje uczucia”. Popadł on po uszy w błąd 2: *Chowanie się za prawdą o naszej wartości w Chrystusie by uniknąć bólu w relacjach z innymi.*

Niezależnie od stopnia naszej dojrzałości duchowej, będziemy boleśnie odczuwać stratę i odrzucenie. I nie może być inaczej. Mimo, że naszą najważniejszą relacją jest relacja z Panem, powinniśmy wchodzić w relacje z innymi na tyle głęboko, żeby powodowały one ból w razie doznania zawodu. To, że Chrystus jest dla nas wystarczający we wszystkim, *nie znaczy*, że ma On funkcjonować jako rodzaj płyty azbestowej, która chroni nas od iskieł sypiących się w kontaktach międzyludzkich. Zamiast tego, korzystanie z Jego zasobów pozwala nam dalej postępować w sposób biblijny - pomimo wielkiego bólu, jaki odczuwamy - ponieważ ból, choć ogromny, nie będzie nigdy w stanie ograbić nas z naszego bezpieczeństwa i wartości. A do tego, by móc żyć w sposób chrześcijański - bez względu na okoliczności - potrzeba nam tylko jednego: bezpieczeństwa Jego miłości i własnej wartości poprzez uczestnictwo w Jego planie. Nie wolno nam nigdy twierdzić, że nasze relacje z innymi nie mają na nas głębokiego wpływu - mają! Ale zasoby jakie mamy w Chrystusie, wystarczają nam do życia.

Teraz już możemy uzupełnić nasz diagram:

W Chrystusie jestem ważny i bezpieczny. Dlatego też mogę żyć w sposób odpowiedzialny przed Bogiem bez względu na to, co się wydarzy.



Błąd 1: Odrzucenie i porażka oznacza, że jestem mniej wartościowym człowiekiem.

Błąd 2: Chrystus jest wszystkim, czego mi potrzeba, więc mogę unikać bliskich relacji z innymi.

Przez resztę tego rozdziału zastanowimy się jak chrześcijańska para małżeńska może osiągnąć jedność duchową poprzez utrzymanie się na platformie prawdy. Pomyślmy najpierw jak można uniknąć popełnienia pierwszego błędu.

Co mają zrobić chrześcijańscy mężowie i żony, kiedy dotkliwie odczuwają obojętność lub lekceważenie ze strony swoich partnerów? Co mają zrobić z przenikliwym bólem, kiedy czują brak bezpieczeństwa lub własnej wartości, bólem, który domaga się ulgi za ochronnymi warstwami dystansu emocjonalnego? Jak może mąż lub żona, która czuje ból, faktycznie trzymać się prawdy o swojej wartości w Chrystusie i w ten sposób uniknąć popełnienia pierwszego błędu?

Udzielałem kiedyś porady kobiecie, która uświadomiła sobie, że całymi latami szukała emocjonalnej satysfakcji u swoich dzieci. Jej mąż wykluczył ją ze swego życia i pozostawił głodną czułości i miłości. U dzieci znalazła to, czego szukała. Taka sytuacja wytworzyła w niej trwałą niechęć do okazywania mężowi miłości i ciepła, a źródłem tej niechęci był głęboko osadzony strach, że on odpowie chłodem na jej inicjatywy.

Powiedziałem jej, że oczekiwała od swego męża zaspokojenia swoich osobowych potrzeb i że jej relacja z mężem oparta była na egoizmie i manipulacji. Ona potrząsnęła głową i rzekła: „Wiem, że Bóg ma zaspokoić moją potrzebę miłości, ale co ja mam zrobić z tym ogromem bólu i strachu? Wierzę, że Bóg mnie kocha, ale jakoś nie może to mnie tak naprawdę poruszyć”.

Poradziłem jej, aby zrobiła trzy kroki, które pomogą jej mocno stanąć na platformie prawdy mówiącej, że ponieważ Chrystus ją kocha, może być posłuszna wszystkim nakazom Pisma.

Krok 1: W pełni wyznać wszystkie uczucia Bogu.

Chrześcijanie są często nauczeni udawać, że czują się radośni i szczęśliwi, kiedy naprawdę czują się okropnie. Ponieważ „nie powinniśmy” czuć się nieszczęśliwi, udajemy, że tak nie jest. Jednak List do Hebrajczyków uczy nas, że nasz Wielki Arcykapłan współczuje nam w naszych słabościach (4,15). Jakżeż niewłaściwe jest więc ukrywanie przed Nim naszych emocjonalnych słabości i odmawianie sobie pociechy, jaką daje nam czyjeś bezkrytyczne zrozumienie.

Staralem się zachęcić tę kobietę, aby w pełni wyznała swoją urazę i ból przed Bogiem, aby dosłownie i otwarcie wyraziła Mu to, co czuje. Często ludzie reagują na taką radę recytując pełnym skrucy głosem: „Panie, proszę wybaczyć mi, że czuję się urażony”. To jednak całkowicie mija się z celem. Nie chodzi o to, byśmy udawali *skrucę*, kiedy czujemy *urazę*. Kiedy gotuje się w nas od żalu, złości lub bólu, musimy z pokorą wyznać, to co naprawdę czujemy, przed Tym, który widzi wszystko. Moja rozmówczyni w końcu zaczęła się modlić tak: „Panie, czuję teraz taki ból, że chyba nie wytrzymam. Chce mi się krzyczeć, uciekać, kogoś uderzyć! Nie chcę tak się czuć, ale tak jest. Czuję się bezwartościowa, pusta, rozżalona i wściekła. Dziękuję Ci, że mnie kochasz właśnie taką, jaka jestem”.

Krok 2: Przypomnieć sobie prawdę o naszym bezpieczeństwie i wartości w Chrystusie.

Jedną z podstawowych prawd w życiu Chrześcijanina jest to, że nasze uczucia nigdy nie muszą mieć decydującego wpływu na to, w co wierzymy, lub co robimy. Powiedziałem tej kobiecie żeby sobie przypominała, że w Chrystusie jest w pełni kochaną i wartościową osobą, pomimo odpychającej postawy jej męża. Aby mogła sobie tę prawdę lepiej uświadomić, kazałem jej wyobrazić sobie, że jej umysł jest magnetofonem. Zauważyliśmy, że zawsze kiedy jej mąż w jakiś sposób okazał jej obojętność, „taśma magnetofonowa” w jej umyśle mówiła: „Kiedy mój mąż mnie odrzuca, moja potrzeba miłości nie może zostać zaspokojona. On musi mi dać poczucie, że jestem kochana”.

Przekonanie, że Chrystus nie wystarczy nam do zaspokojenia naszych potrzeb osobowych, jest kłamstwem wymyślonym przez szatana. Na kartce papieru zapisałem jej treść nowej „taśmy” i kazałem jej „puszczać” tę „taśmę” (powtarzać sobie w myślach jej treść) w momencie, gdy znowu zauważy obojętność u swego męża. Nowa taśma brzmiała tak: „Mój mąż może zachować się obojętnie wobec mnie. Sprawi mi to ból, jeśli tak się zachowa, nawet duży ból. Ale bez względu na to, jak on mnie traktuje, jestem w tym momencie w pełni i w cudowny sposób kochana przez Chrystusa. Ponieważ mam Jego miłość, jestem bezpieczna”.

Krok 3: Mocno postanowić sobie, aby otworzyć się na potrzeby naszego partnera, wiedząc, że jakakolwiek będzie jego reakcja, nie może ona nigdy pozbawić nas naszej wartości jako osoby.

Ponieważ wiara (puszczanie właściwej taśmy) jest martwa bez uczynków, ostatnim krokiem, który miał pomóc jej utrzymać się na platformie prawdy, było zachęcić ją, by wprowadziła w życie to, co mówi jej nowa taśma. Ponieważ jest rzeczywiście bezpieczna w Chrystusie, jest w stanie otworzyć się na swego męża. Fakt, że do tej pory tego nie zrobiła jest grzechem i musi być wyznany przed Bogiem jako grzech. Musi wytworzyć się u niej uczucie skruchy.

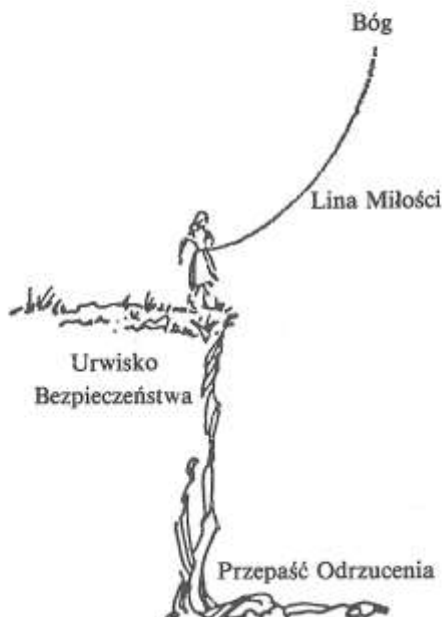
Poprosiłem, by wyobraziła sobie urwisko. Miała w swej wyobraźni stanąć na skraju urwiska i spojrzeć w dół, w przepaść. Przepaść jest symbolem odrzucenia przez męża, reprezentuje więc to, czego ona boi się, że ją zniszczy. Jak długo pozostaje ona na skraju urwiska, jest bezpieczna. Nie czuje głębokiego bólu jaki sprawia jej jego obojętność dopóki trzyma się na odległość. Za każdym razem, kiedy odsuwa się od niego, ostro mu odpowiada lub chowa się za murami ochronnymi, decyduje się pozostać na urwisku emocjonalnego bezpieczeństwa.



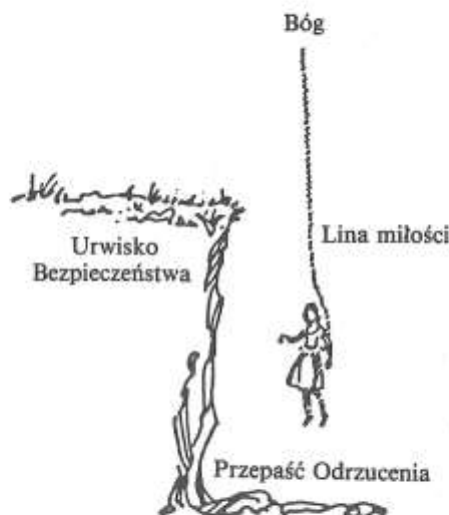
Omówiliśmy biblijny model małżeństwa, który wymaga od niej całkowitego oddania się mężowi, aby dać mu poczucie, że jest wartościowy i ważny. Posłuszeństwo Panu oznaczałoby więc, że musi zeskoczyć z urwiska bezpieczeństwa i dystansu i rzucić się w odpychające ramiona jej męża. Spojrzała na mnie z przerażeniem w oczach: „Jeśli otworzę się na niego, to on znowu zada mi ból. A ja już po prostu nie mogę znieść nowego odrzucenia!”

Kazałem jej więc wyobrazić sobie mocną linę bezpiecznie uwiązaną dokoła jej tułowia - linę, która symbolizuje Bożą miłość, a która jest trzymana przez

Pana znajdujacego sie w prostej linii nad przepascia. Dopoki kobieta pozostaje na brzegu urwiska, lina zwisa luzno, gdyz nie musi utrzymywac jej ciężaru. Podtrzymuje ja urwisko, a nie lina.

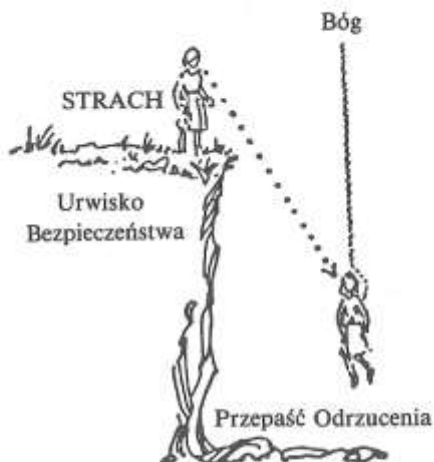


Dla mojej rozmówczyni bylo jasne, ze stojac na urwisku nie byla w stanie *poczuc* mocy tej liny. Aby wyksztalcić w sobie przekonanie, ze „miłość Chrystusa rzeczywiscie daje mi bezpieczenstwo”, musialaby zeskoczyć - opuscic urwisko bezpieczenstwa i postanowic sobie, ze bedzie zaspokajac potrzeby swego męża za wszelka cene. Nie moze w pelni powiedziec, ze ufa Panu co do zaspokojenia swych potrzeb dopoki nie zeskoczy z urwiska. Dopiero gdy zawisnie nad przepascia odrzucenia, podtrzymywana jedynie Boza mioscia - nie wczesniej - bedzie w pelni przekonana o tym, ze Chrystus moze zaspokoic jej potrzebe bezpieczenstwa. Strach przed odrzuceniem trzyma ja na urwisku. „Dokonalna miosc usuwa lek” (I Jana 4,18). Jednak nie poznamy nigdy tej miosci, jesli nie zawierzymy jej, ze uchroni nas przed zniszczeniem.



Moja klientka przyjrzała się rysunkowi. „Rozumiem bardzo dobrze co pan ma na myśli. Ale to nie usuwa strachu. Mnie przeraża sama myśl o takim skoku”.

Ta jej uwaga kazała mi wprowadzić do rysunku jeszcze jeden szczegół. Kiedy przepelniony strachem człowiek skacze z urwiska bezpieczeństwa, upływa pewien *okres czasu*, zanim lina miłości całkowicie się napręży aby podtrzymać jego ciężar nad przepaścią. Przypomina to sytuację skoczka spadochronowego. Kiedy skoczek opuszcza samolot, przez kilka chwil doświadcza jedynie samego spadania, a potem dopiero otwiera się spadochron. W przypadku przerażonego Chrześcijanina, który robi „skok wiary, chwile te - zanim doświadczy miłości Chrystusa jako rzeczywistego osobistego bezpieczeństwa - mogą trwać godzinę, dzień, tydzień, rok lub dłużej. Przez ten okres czasu pomiędzy skokiem a odczuciem pewności bezpieczeństwa w Chrystusie, chrześcijanin będzie prawdopodobnie czuł większy strach niż kiedykolwiek przedtem. W tym czasie absolutnie konieczne jest oparcie się na Słowie Bożym. „Schronem pewnym jest Bóg wiekuisty” (V Mojż. 33,27). „Chociaż ciało i serce moje zamiera, to jednak Bóg jest opoką serca mego” (Ps. 73,26).



Podsumujmy więc. Kiedy okresy próby prowadzą nas do zażartej walki wewnętrznej o zachowanie naszego poczucia wartości, łatwo jest stracić z oczu podstawę naszej wartości. Aby uniknąć błędnego myślenia, że jesteśmy mniej wartościowi, ponieważ ktoś nas odrzucił lub ponieśliśmy porażkę, musimy:

- Krok 1:* Otwarcie wyznać nasz ból i poczucie bezwartościowości przed Panem.
- Krok 2:* Ciągłe na nowo przypominać sobie prawdę, że w Chrystusie nasze bezpieczeństwo i wartość są na wieki nienaruszone.
- Krok 3:* Działać na podstawie tej prawdy stawiając otwarcie czoła temu, co napędza nas strachem (odrzućcie, porażka, ośmieszenie się, dezaprobata, itd.), ufając, że silna miłość Boga pomoże nam przezwyciężyć strach.

UTRZYMYWANIE DYSTANSU EMOCJONALNEGO

Zastanówmy się teraz jak możemy uniknąć popadnięcia w drugi błąd. Jeśli ześlizgniemy się z platformy prawdy w drugą stronę („Ponieważ Chrystus jest wszystkim, czego mi potrzeba, mogę się od Ciebie odsunąć emocjonalnie”) zniszczymy wszelką nadzieję dojścia do Jedności Ducha. Choć jest to prawda, że nasze potrzeby są w pełni zaspokojone w Chrystusie, prawdą jest także, że zwykle Pan używa mężów i żon jako Swoich instrumentów by wyrobić w każdym z nas świadomość własnej wartości. Jedynie Chrystus jest tym, który

zapewnia nam bezpieczeństwo i znaczenie, ale często (nie zawsze!) nasi małżonkowie są tymi, którzy pomagają nam *czuć*, że jesteśmy wartościowymi ludźmi.

Bóg nakazuje mężom i żonom aby byli sobie poddani, to znaczy, aby *potrzeby* swego partnera stawiali na pierwszym miejscu. Ja powinienem tak zaspokajać najgłębsze potrzeby mojej żony, aby ona wiedziała co to znaczy być głęboko kochanym i szanowanym.

W takim razie, jeśli mamy dobrze wykonywać swoje zadanie, to musimy zbadać, jaki wpływ ma nasze zachowanie na poczucie bezpieczeństwa i poczucie własnej wartości naszego partnera. Będziemy musieli odsłonić przy tym bardzo osobiste aspekty naszej osobowości. Nic nie daje mi głębszego poczucia jedności z moją żoną, niż dzielenie się z nią niektórymi moimi zmaganiem - rozczarowaniami, urazami, strachem, niespełnionymi pragnieniami.

Świadomość, że ona wie o moich najintymniejszych zmaganiach wywołuje we mnie najpierw niesamowity strach: stoję przed nią zupełnie obnażony. Może ona zlekceważy moje problemy? Może mnie wyśmiej lub skrytykuje? Jeśli rzeczywiście mnie odrzuci, muszę polegać na miłości Chrystusa jako podstawie mojego poczucia wartości. Ale jeśli będzie słuchać - naprawdę słuchać - i zaakceptuje mnie z moimi problemami i frustracjami, to osiągniemy taką bliskość wzajemną, która może mi pomóc odzyskać równowagę i wierzyć, że jestem rzeczywiście wartościowy w Chrystusie. Ta bliskość, która jest wynikiem odsłonięcia przed żoną mojego wnętrza, którego nie odsłaniam przed nikim innym, jest głównym elementem Jedności Ducha.

Aby utrzymać się na platformie prawdy i osiągnąć taką jedność, małżonkowie muszą zacząć traktować swoje problemy nie jako powód do odsunięcia się od siebie, ale jako okazję, by nauczyć się jak lepiej służyć sobie wzajemnie. Chciałbym zilustrować tę prawdę przykładem z mojego życia.

Kilka tygodni temu, kiedy moja żona i ja wsiedliśmy do samochodu po studium biblijnym, żona powiedziała głosem pełnym gniewu i bólu: „Poczułam się dziś naprawdę urażona, kiedy powiedziałeś ... , a teraz jestem taka wściekła, że nawet nie mogę o tym mówić”.

I jak przejść teraz od takiego początku rozmowy do duchowej jedności? Zastanów się nad kilkoma możliwościami, jakie się przede mną wyłaniały, i wybierz tę, która według ciebie najlepiej służy osiągnięciu wzajemnej bliskości.

1. Mogłem ją zignorować, wiedząc, że do rana wszystko jej przejdzie i zacznie uprzejmie się do mnie odnosić, a następnego wieczora będzie pewnie znowu miła i kochająca. Po co wdawać się w dyskusję, która tylko przekształci się w kłótnię i wszystko jeszcze bardziej pogorszy? W końcu, uraziłem ją czy nie, Chrystus nadal mnie akceptuje.

2. Mogłem zacząć się bronić: „Cokolwiek powiedziałem, nie miałem zamiaru cię urazić”. Lub mogłem ją zaatakować: „Ty też mnie uraziłaś” lub

„Jesteś okropnie przewrażliwiona. Powinnaś bardziej zaufać Panu” lub „No dobrze. Powiedz mi o co jesteś taka wściekła”.

3. Mogłem skrócić bolesną rozmowę, która miała nastąpić, szybkimi przeprosinami.

Jeśli wybrałeś jedną z tych możliwości jako niezły krok w kierunku polepszenia swego małżeństwa, to bardzo potrzebujesz przeczytać tę książkę.

Ja, choć znam takie sytuacje, wybrałem - niestety - możliwość drugą - obronę i atak. Rozmowa tak się potoczyła:

Ja: Cóż ja takiego znowu zrobiłem? (Ostrożna krytyka jej przesadnej wrażliwości)

Ona: Poniżyłeś mnie przed całą grupą kiedy powiedziałeś ...

Ja: Ależ kochanie, to nie było żadne poniżenie. Zupełnie źle mnie zrozumiałaś! (Obrona i atak)

Milczenie przez 3 sekundy

Ona: A jednak bardzo mnie to uraziło i jestem wściekła.

Ja: No dobrze, przepraszam! Co mam jeszcze powiedzieć? (Przejście do możliwości trzeciej: kończące rozmowę przeprosiny)

Milczenie przez 30 minut

W czasie tego drugiego, dłuższego milczenia jasno zdałem sobie sprawę z tego, że zboczyłem gdzieś z drogi do Jedności Ducha. Ani moja żona, ani ja nie mieliśmy głębokiego poczucia własnej wartości w Chrystusie, które pozwalałoby nam być wrażliwymi na potrzeby drugiego. Pomyślałem przez chwilę nad tym, że rzeczywiście jestem wartościowym człowiekiem, ze względu na Bożą miłość i plan dla mnie, niezależnie od tego, czy jako mąż odnoszę sukcesy, czy nie. Pomyślałem też nad tym, że moja wartość w Chrystusie powinna wyrażać się nie ucieczką, ale próbą służenia mojej żonie. Zwróciłem się do niej ponownie, teraz jednak *inny* był mój *cel*. Przedtem starałem się uniknąć bólu stosując taktykę obronną. Teraz postanowiłem lepiej zrozumieć co się stało, w jaki sposób ją uraziłem, po to, by móc lepiej troszczyć się o nią w przyszłości. Nasza druga rozmowa potoczyła się tak:

Ja: Kochanie, bardzo cię dzisiaj uraziłem. Myślę, że nie rozumiem dlaczego to, co powiedziałem, było dla ciebie takie bolesne, ale chciałbym to zrozumieć. Czy możesz porozmawiać o tym ze mną?

Ona: Nie wiem, czy jestem w stanie o tym rozmawiać. Jest to dla mnie nadal bardzo bolesne.

Ja: Rozumiem to. Chciałbym, abyś mogła bardziej czuć, że jesteś kochana. Bardzo cię dzisiaj zawiodłem i chcę wyciągnąć z tego wnioski na przyszłość.

Ona: Wiem, że mnie kochasz i że chcesz, żebym to czuła, ale czasami wydaje mi się, że jesteś taki niewrażliwy. Myślę, że bardzo chciałbym czuć, że ...

I przez prawie godzinę rozmawialiśmy o naszych najgłębszych potrzebach i o tym, jak zamiast zadawać sobie ból, możemy być przez Boga używani dla dobra drugiego. Rozmowa ta była krokiem w kierunku Jedności Ducha - takiej głębokiej bliskości wzajemnej, jaka jest wynikiem porozumienia się na poziomie najgłębszych potrzeb.

WNIOSKI KOŃCOWE

Podsumujmy teraz główne myśli tego rozdziału.

1. Wszyscy mamy głębokie osobowe potrzeby bezpieczeństwa i własnej wartości, które mogą być zaspokojone jedynie w relacji z drugą osobą.
2. Wielu ludzi niewłaściwie podchodzi do swoich potrzeb
 - a - ignorując ich istnienie i szukając zaspokojenia *osobowych* potrzeb w *fizycznych* przyjemnościach;
 - b - zadowalając się imitacją osobistej satysfakcji w formie osiągnięć, uznania, dostatku materialnego, itp., która w żaden sposób nie może zapewnić nam prawdziwego bezpieczeństwa i wartości;
 - c - szukając swego bezpieczeństwa i wartości u swoich partnerów w małżeństwie. Rezultatem takiego postępowania jest relacja oparta na manipulacji i mająca na celu wykorzystywanie swego partnera dla osiągnięcia osobistej satysfakcji. Ponieważ żaden partner nie jest w stanie w pełni zaspokoić potrzeb drugiej osoby, taka eksploatująca wzajemna relacja dąży nieuchronnie do konfliktu.
3. Jedynie Chrystus może zaspokoić nasze potrzeby, to znaczy zapewnić nam wieczne bezpieczeństwo i prawdziwe znaczenie. Dlatego też musimy Jemu zawierzyć, że On da nam to, czego domaga się nasza osobowa natura.
4. Trudno jest nam do głębi zrozumieć fakt, że jesteśmy wartościowi w Chrystusie. Abyśmy byli osobiście i w pełni przekonani o tym, że jesteśmy bezpieczni i ważni w Chrystusie, musimy:
 - a - zawierzyć na tyle Jego miłości, żebyśmy mogli całkowicie skoncentrować się na potrzebach naszego partnera i nie ustawać w wysiłkach zaspokojenia tych potrzeb bez względu na to, jak on odnosi się do nas.
 - b - uczciwie zbadać, jaki wpływ wywieramy na samoakceptację naszego partnera jako w pełni wartościowej osoby.

Jedność Ducha można określić jako relację pomiędzy mężem a żoną, w której każdy z partnerów:

44 *Matężństwo - święta budowla*

1. Całkowicie zawierzył Panu co do zaspokojenia swoich osobowych potrzeb oraz
2. Postanowił służyć drugiemu i realizować Boży zamiar dotyczący życia jego partnera, oraz otwarcie zbadać jaki wpływ wywiera na subiektywne pocucie bezpieczeństwa i własnej wartości swego partnera.

3

Jedność Duszy

I. Manipulacja czy służba?

Do pewnego pastora i jego żony zwrócili się starsi ich kościoła z problemem budzącym głęboki niepokój. Od prawie roku wśród wiernych dawały się słyszeć odgłosy niezadowolenia z wyników pracy pastora. Było jasne, że coś nie szło tak, jak trzeba, ale nikt nie potrafił dokładnie wskazać gdzie leży trudność. Jednakże przez ostatnie miesiące przywódcy kościoła zaczęli dochodzić do niepokojącego przekonania, że problemy te mają jakiś związek z małżeństwem pastora.

Kiedy starsi zboru zebrali się by przemyśleć sytuację, doszli do wniosku, że żonę pastora coraz bardziej pochłaniała jej praca z nastolatkami mającymi problemy. Zastanawiali się, czy przypadkiem nie wyczerpywało to tak jej energii, że niewiele miała już zapasu, by spełniać zadania żony. Wydawało się, że im więcej czasu poświęcała nastolatkom, tym więcej jej mąż miał spotkań, zajęć administracyjnych i rutynowych obowiązków. Bezpośrednią konsekwencją tego zdawał się być fakt, że pastor tracił rzeczywisty kontakt z ludźmi, który był mu potrzebny, by służyć kościołowi w sposób efektywny. Chociaż nikt nie potrafił dokładnie powiedzieć w jaki sposób zaniedbanie przez pastora zadań duszpasterskich związane było z zaangażowaniem się jego żony w poradnictwo dla nastolatków, starsi kościoła byli zgodni co do tego, że coś w tym małżeństwie wymagało szczególnej uwagi. Kiedy wyrazili swój niepokój pastorowi i jego żonie na specjalnym zebraniu obydwaj byli oburzeni. Sytuacja była przez chwilę bardzo napięta i dopiero po zdecydowanym napomnieniu ze strony starszyny kościoła zgodzili się odwiedzić poradnię małżeńską.

W kilka tygodni później weszli do mojego gabinetu próbując ciepłymi słowami powitania zamaskować swe zdenerwowanie. Zaczęłam od oznajmienia im, że starsi kościoła napisali do mnie list, w którym opisali swoje obserwacje i niepokój. Pastor oświadczył z całym przekonaniem, że nie zgadza się z sugestiami starszych i zapewnił mnie, że jego małżeństwo jest mocne jak zawsze, a jego punktem centralnym jest Chrystus. Jego żona powiedziała, że głęboko kocha swego męża i że zawsze stawiała dom ponad swymi innymi obowiązkami.

Nasza dalsza rozmowa wykazała, że para ta była szczerze przeświadczona o swej miłości dla Pana. U obydwójga można było zauważyć mocne przekonanie o tym, że bezwarunkowa miłość Chrystusa jest podstawą ich bezpieczeństwa i o tym, że odwieczne plany Chrystusa są platformą, która jest podstawą ich wartości. Lecz choć ich przeświadczenie o tej prawdzie sięgało o wiele dalej, poza tylko rozumowe uznanie tego faktu, wyczułem, że w ich relacji brakowało czegoś istotnego. Nie było między nimi ani iskierki serdeczności, żadnej spontaniczności, ciepła, w najlepszym razie sztywna, wystudiowana uprzejmość.

Udzielając porad, proszę zwykle parę, która do mnie przychodzi, żeby porozmawiali ze sobą o jakimś niedawnym wydarzeniu z ich życia, abym mógł zaobserwować ich wzajemne reakcje. Pastor opowiedział o tym, jak niedawno przyjemnie spędził z żoną wyjątkowy wieczór: poszli razem na obiad do ulubionej restauracji. Kiedy jedli obiad, żona pastora została wezwana do dziewczyny, która uciekła z domu, i właśnie została odnaleziona przez policję. Zapytałem pastora co czuł, kiedy jego żona odeszła od stołu, aby zająć się tym nagłym wypadkiem.

Uśmiechnął się i powiedział: „Ona ma naprawdę wiele serca dla tych dzieciaków. Bóg powierzył jej szczególne i ważne zadanie”. „Zastanawiam się, - mówiłem dalej - czy nie chciałby pan nieraz, żeby pana żona po prostu się odprężyła spędzając z panem wieczór, nie zajmując się niczym, co wiąże się z jej pracą i poświęciła panu całą swoją uwagę?”

„O, z pewnością - odpowiedział - ale jestem przekonany, że to, co ona robi jest naprawdę ważne. A my obydwie postanowiliśmy poświęcić swe życie każdej służbie, jaką Bóg nam powierzy.”

W tym momencie żona pastora zdenerwowała się: „Nie zgadzam się z tym, do czego pan zmierza. Mój mąż jest dla mnie ważniejszy niż cokolwiek czy ktokolwiek inny, poza Bogiem i pracą dla Niego. Wierzę w to, że Bóg dał nam siebie jako współpracowników w służbie dla innych. Mój mąż jest pastorem kościoła, a ja pomagam tak, jak mogę, dzieciom, które Bóg do mnie prowadzi. Niechże mi pan powie, cóż jest w tym złego!”

Czy w ich małżeństwie coś jest nie tak? Czy ich małżeństwo realizuje Boży plan jedności? Wydają się rozumieć, że ich potrzeby są zaspokojone w Chrystusie i służą Mu z całym poświęceniem. A jednak ich relacja wzajemna wydaje się być odsunięta na dalszy plan. Co jest nie w porządku?

POJĘCIE JEDNOŚCI DUSZY

Wiele chrześcijańskich par małżeńskich potrafi mniej więcej wymienić podstawowe założenia Jedności Ducha: Chrystus jest wszystkim, czego mi potrzeba w zakresie mego bezpieczeństwa i wartości i dlatego nie potrzebuje szukać u mego partnera zaspokojenia moich potrzeb i mogę poświęcić swoje życie bezinteresownemu dawaniu, wierząc, że pan uzupełni moje zasoby, kiedy

się wyczerpią. Niektóre pary rozumieją, że mając Boże obietnice mogą zeskoczyć z urwiska bezpieczeństwa w przepaść odrzucenia, licząc jedynie na to, że lina miłości Chrystusa ochroni ich, kiedy inni ich zawiodą.

Prawdopodobnie większość Chrześcijan wie o tym wszystkim tylko w teorii. Często małżonkowie nie zastanawiają się nad tym, jak radykalne konsekwencje mają te pojęcia dla relacji małżeńskiej a ponieważ nie przenoszą ich z teorii do praktyki, prawdy te nigdy nie stają się dla nich rzeczywistością. Jedynie te prawdy wchodzą w końcu Chrześcijaninowi w krew, które konsekwentnie stosuje w swym życiu.

Stosowanie w praktyce założeń Jedności Ducha jest naturalną i pewną drogą do relacji małżeńskiej, którą cechuje to, co nazywam „Jednością Duszy”.

Kiedy Biblia mówi o ludziach korzystających ze swoich możliwości wchodzenia w relację z Bogiem, często mówi o nich jako o *duchowych* istotach, lub mówi o *duchowej* naturze ludzkości (n.p. zobacz Jan 4,24). Ale „kiedy słowo dusza użyte jest do określenia niematerialnej istoty człowieka, zwykle odnosi się ono do człowieka i jego związku z ziemską sytuacją”¹

Wyjaśniając pojęcie Jedności Ducha moja uwaga koncentruje się głównie na indywidualnej relacji każdego z partnerów z Bogiem i na tym, jak ta duchowa relacja wpływa na potrzebę bezpieczeństwa i własnej wartości tej osoby. Ale kiedy nasza uwaga przechodzi na relację wzajemną męża i żony, wtedy Jedność Duszy wydaje się odpowiednim określeniem.

Według mnie, Jedność Ducha jaką mogą cieszyć się małżonkowie, ma według Bożego planu prowadzić do dalszej międzyosobowej jedności (jedności duszy). Jedność ta wyrasta ze *świadomego i zupełnego oddania się obu partnerów Bogu, by być Jego instrumentem w wywieraniu głębokiego wpływu na osobowe potrzeby naszego partnera, w niepowtarzalny, skuteczny i znaczący sposób*. Jeszcze prościej, jeśli podstawą Jedności Ducha jest to, że każde z małżonków zawierzy Panu co do zaspokojenia swych potrzeb osobowych, to podstawą Jedności Duszy jest to, że każde z małżonków robi wszystko by zaspokajać osobowe potrzeby swego partnera.

Podobnie jak wiele innych chrześcijańskich par, pastor i jego żona nie mieli jasnego obrazu relacji opartej na wzajemnej służbie. Przy bliższej analizie okazało się, że tak naprawdę ich relacja oparta była na podstawowej przesłance, którą nie jest służba sobie wzajemnie, ale takie manewrowanie sobą, żeby ich związek przynosił im jak najmniej bólu emocjonalnego. Żadne z nich nie było świadome ani tego, że (1) pod maską dobrej kondycji duchowej jego partnera kryją się jego głębokie potrzeby, ani że (2) posiadają olbrzymi potencjał i możliwości, by skutecznie te głębokie potrzeby zaspokajać.

Pomiędzy tym dwojgiem ludzi wyrósł mur: całkowicie zablokowali rzeczywisty kontakt między sobą. Mur ten przypominał szybę dzielącą parę, która chce się pocałować: wszystkie ruchy są prawidłowe, ale brakuje

podniecenia - dotyczą tylko chłodnej szyby. Tylko świadome przejście od wyrafinowanej *manipulacji* do przemyślanej *decyzji służenia sobie* może zburzyć ten mur i otworzyć drogę do pełnej, bliskiej i dającej zadowolenie relacji - Jedności Duszy. Zobaczmy co to oznacza.

JAKI JEST TWÓJ RZECZYWISTY CEL?

Wszystko, co robimy, ma cel. Nie jesteśmy zaprogramowanymi zwierzętami, które reagują automatycznie i bezmyślnie odruchami warunkowymi. Nie jesteśmy także nieszczęsnymi ofiarami wewnętrznych sił psychicznych, które pchają nas bezlitośnie w niepożądanym przez nas kierunku. Chociaż nieraz możemy *odczuwać*, że robimy rzeczy, których tak naprawdę nie chcemy robić, prawda jest taka, że wszystko, co robimy odzwierciedla nasze wysiłki osiągnięcia celu, który jakoś (być może na poziomie podświadomości) nie jest nam obcy.

W naszej naturze zakorzenione są pewne przekonania co do tego, jak stać się wartościowym, czy jak uniknąć zranienia naszej miłości własnej, jak być szczęśliwym, czy jak uniknąć bólu. Jako dzieci formułujemy swe poglądy na życie obserwując naszych rodziców (co daje im radość, dlaczego czują się źle), naszych nauczycieli, oglądając telewizję, itp.

Ponieważ szatan jest księciem tego świata i ponieważ nasza upadła natura jest w naturalny sposób skłonna do prowadzenia życia, które ignoruje plany Boga, wszyscy nieuchronnie wytwarzamy w sobie *mylne przekonania*, co do tego, jak znaleźć osobistą wartość i miłość, której potrzebujemy. A przekonanie o tym, czego mi potrzeba, określa cel, do którego będę dążyć. Jeśli jestem *przekonany*, że potrzebuję pożywienia aby żyć, to postawię sobie *za cel*, aby pójść do sklepu spożywczego. *Przekonania określają nasze cele*.

Wyobraźmy sobie chłopca wychowywanego przez rodziców, którzy nie mają nigdy dla niego czasu i zajmują się tylko swoimi sprawami. W chłopcu tym może wykształcić się przekonanie, że nie ma nikogo, kto zechciałby zwrócić uwagę na jego potrzeby. To błędne przekonanie może stać się przyczyną tego, że będzie starał się *polegać tylko na sobie*. Stanie się to dla niego celem, który będzie starał się osiągnąć, aby uniknąć osobowego bólu.

W wyniku urazów odniesionych w dzieciństwie rozwijają się błędne przekonania, które niezwykle trudno jest wykorzenić. Zastanówmy się, co się dzieje, kiedy mała dziewczynka widzi, jak jej matka płacze, bo tatuś nie wrócił na noc do domu. Ta nieszczęsna dziewczynka może wytworzyć w sobie przekonanie, że mężczyźni zadają kobietom ból. Może więc (podświadomie) postawić sobie za cel, by nigdy nie otworzyć się emocjonalnie przed mężczyzną. Kiedy wyjdzie za mąż, ten cel będzie stanowił dla niej bodziec, by trzymać się na odległość, nigdy nie odprężyć się przy mężu, nigdy nie powierzyć mu siebie całkowicie.

Chłopiec, którego ojciec pochłonięty jest swoją karierą zawodową, najprawdopodobniej wytworzy w sobie przekonanie, że drogą do dobrego samopoczucia (lub by czuć się ważnym) jest rozmach w życiu.² Jego celem stanie się wtedy osiągnięcie prestiżu i pozycji. Kiedy się zakocha, jego grzeszny cel każe mu wybrać kobietę, która będzie dla niego pomocą w jego wspinaczce na szczyt.

Podsumujmy moje dotychczasowe rozumowanie:

1. Wszyscy wytwarzamy w sobie błędne *przekonanie*, co do tego, jak stać się bezpiecznym i wartościowym (lub jak uniknąć braku bezpieczeństwa i braku własnej wartości).
2. Przekonania te wytyczają *cel*, który motywuje nas, by robić to, co robimy. Cel ten staje się zasadą życiową, na której opierają się wszystkie nasze wysiłki.
3. To, dlaczego robimy to, co robimy, najłatwiej jest zrozumieć kiedy zadamy sobie pytanie: „Co chcę osiągnąć lub czego uniknąć?”, albo „Co jest moim celem?”. Kiedy przekonamy się, jakie są nasze cele, możemy rozpoznać i starać się zmienić błędne przekonania, które są podłożem naszych celów.

Zauważmy, w jaki sposób pojęcie celów odnosi się do małżeństwa. Przyjrzyjmy się następującym sytuacjom:

Sytuacja 1: Kiedy dzieci poszły już spać, mąż kładzie rękę na udzie swej żony i mówi: „Kochanie, jesteś naprawdę wspaniała i bardzo cię kocham”.

Sytuacja 2: Kiedy mąż odchodzi od stołu po kolacji i zaczyna upychać do swej aktówki papiery, które przyniósł z pracy, jego żona pyta: „Czy naprawdę musisz znowu dziś wieczorem pracować?”

Sytuacja 3: Po uciążliwym dniu z trzema małymi dziećmi, matka niecierpliwie krzyknęła na najstarsze, które nie wykonało tego, co mu kazała. Ojciec spogląda znad gazety i mówi: „Kochanie, jeśli będziesz tak na niego wrzeszczeć, to i tak nic to nie pomoże”.

Wyobraźmy sobie, że zapytalibyśmy każdą z osób zabierających głos w opisanych sytuacjach jaki jest cel lub zamierzony skutek jego lub jej wypowiedzi. Romantycznie usposobiony mąż z sytuacji 1 powie pewnie: „Okazać żonie, że ją kocham”. Rozczarowana żona w sytuacji 2 może odpowiedzieć: „Chcę po prostu, by on był bardziej częścią naszej rodziny”. A usłużny mąż z sytuacji 3 prawdopodobnie powie: „Chcę pomóc jej spojrzeć perspektywnie na to co robi. Uważam to za część mego zadania duchowego przewodnika mojej żony, pomóc jej, by była jak najlepszą żoną i matką”.

Kiedy chcemy zrozumieć jakie powinny być nasze motywacje w relacji z naszym partnerem, musimy pamiętać, że nie możemy ani tego jasno zrozumieć, ani właściwie zastosować płynących z tego wniosków bez pomocy Ducha Świętego. Bez tej nadprzyrodzonej pomocy zakłamanie naszych serc czyni nas niezdolnymi do trafnego rozpoznania naszych prawdziwych celów. Upadła ludzka świadomość jest świetnym narzędziem okłamywania samego siebie. Może ona dopuszczać do siebie tylko te motywy naszego działania, które zachowują wypielegnowany obraz nas samych, jako dobrych i życzliwych ludzi, a wypierać, lub przynajmniej ukrywać przyziemne, egocentryczne cele, do których naprawdę dążymy. Tylko Duch Boga ukazując nam Swoją prawdę objawioną w Piśmie Świętym może dokonać przekroju naszych zakłamanych serc i odsłonić nasze egoistyczne motywacje. Dlatego musimy wciąż otwierać się na Jego oświecające działanie - inaczej umknie nam to, co jest zamiarem tego rozdziału: odsłonić ukryte, zgubne cele, które warunkują wzajemny stosunek tak wielu par małżeńskich.

Pomyślmy nad tymi trzema sytuacjami. W sytuacji 1 sens wypowiedzi rozkochanego męża jest prawdopodobnie jasny dla jego żony: „Seks!” Gdyby powiedzieć mu o tym, zacząłby bronić swego celu popierając go nakazem Pawła, by małżonkowie nie unikali jedno drugiego (I Kor. 7,1-5). Może odwołałby się do swego naturalnego pragnienia, by mieć rozumiejącą, czułą żonę. Jeśli jednak odkrylibyśmy jego motywacje aż do samego rdzenia, to okazałoby się, że jego celem jest taka manipulacja żoną, by zareagowała tak, jak *on* tego chce. Mniej ważna, lub odsunięta na dalszy plan, jest troska o to, by *ona* czuła się kochana i doceniana, a nie przymuszana i wykorzystywana.

Pewien mąż tak mi na to odpowiedział: „Ale moja żona nie ma żadnego powodu, by czuć się odrzuconą czy niekochaną. Przecież ja ją kocham! Chcę tylko, żeby była dla mnie bardziej czuła. Czy jest w tym coś złego.”

Nie ma absolutnie nic złego w ciepłej, zmysłowej, fizycznej relacji wzajemnej. Nie ma nic złego w tym, że ktoś pragnie współżycia seksualnego i ma nadzieję, że jego żona odniesie się do niego czule - ani w tym, że komunikuje on swoje pragnienia żonie. Ale jeśli *głównym celem* naszego działania jest wywołanie u partnera reakcji, która ma zaspokoić nasze własne pragnienia (choć są one może jak najbardziej naturalne), jest to pogwałceniem miłości i dlatego jest złe. Miłość można najprościej określić jako troskę o potrzeby *drugiego*. Głównym celem oddziaływań partnerów na siebie powinno być zaspokajanie potrzeb drugiej osoby - potrzeby bezpieczeństwa i potrzeby własnej wartości. Całkiem naturalne może być moje pragnienie, żeby moja żona w określony sposób się zachowała. Lecz jeśli moja partnerka z jakiegokolwiek powodu nie spełni moich oczekiwań, to moim celem musi nadal pozostać służenie jej, akceptując bez uskarżania się czy przymuszania żonę, która mnie rozczarowała. Akceptacja ta będzie wypływać ze świadomości jej głębokiej potrzeby miłości i z mojej woli zrobienia wszystkiego w kierunku zaspokojenia tej potrzeby.

¶ Kiedy mąż zamiast troski o dobro żony obiera sobie za cel manipulację na swoją korzyść, to winny jest poważnego niezrozumienia tego, czym jest miłość Chrystusa dla Swej oblubienicy.]

Rozważmy sytuację 2. Kiedy żona łagodnie pyta: „Czy naprawdę musisz znowu dziś wieczorem wrócić do biura?”, co jest według ciebie jej prawdziwym celem? Nietrudno odgadnąć, że jej zamiarem jest w jakiś sposób przekonać męża, by został w domu. Kiedy dąży ona do tego celu, zauważmy, że jej uwaga koncentruje się nie na jego potrzebie szacunku i akceptacji, ale na tym, by on zaspokoili jej pragnienia.

„Ale - żona odparuje zarzut doradcy małżeńskiego - on jest tak rzadko w domu z dziećmi. Dzieci okropnie za nim tęsknią i powiedziały mi to! Chyba się pan z tym zgodzi, że ojciec powinien spędzać czas z dziećmi, które są tak zgłodniałe jego obecności? Czy nie wchodzi to w zakres jego chrześcijańskiej odpowiedzialności?”

Oczywiście, odpowiedź brzmi: Tak. Nie o to jednak chodzi. Żona powinna zastanawiać się nie nad tym, „Co powinien zrobić mój mąż?”, ale „Jaki powinien być mój główny cel, kiedy z nim rozmawiam?” Kiedy prosi męża, by został w domu, jej zamiar sięga dużo dalej, poza proste wyrażenie swego pragnienia. Prawdziwym celem tej kobiety jest tak manipulować mężem, by zrobił to, co według niej powinien. Zatem interesuje mnie jej motywacja, a nie to, czy reakcja, jakiej wymaga od męża, jest właściwa. Usiłując przekonać go, by zrobił to, co wydaje się jej najlepsze, nie kieruje się pełną poświęcenia troską o zaspokojenie jego potrzeby poczucia, że dobrze spełnia swoje zadania i potrzeby szacunku. Dlatego też jej motywacja jest zła, a jej działania oddala to małżeństwo jeszcze bardziej od Jedności Duszy.

Mąż w sytuacji 3, który strofuje żonę za to, że ostro odezwała się do ich dziecka, wydaje się być świadomy tylko jej *błędu*, a nie zwracać uwagi na jej *potrzeby*. Jego celem było najwyraźniej skorygowanie jej błędu, a nie służenie jej. Gdybyśmy nagrali jego myśli na taśmę magnetofonową, kiedy przysłuchiwał się, jak jego żona strofuje ich chłopaka, nie wydaje mi się bardzo prawdopodobne, byśmy usłyszeli: „Sądzę, że moja żona niewłaściwie odnosi się do naszego dziecka, ale nie chciałbym okazać ani odrzucenia, ani krytyki wobec niej. Chcę przede wszystkim, żeby wiedziała, że ją kocham”.

Ponieważ nie miał świadomych zamiarów służenia swej żonie, jego prawdziwym celem było okazanie jej swego niezadowolienia w nadziei, że ona zacznie łagodniej odnosić się do dziecka. Zawsze, gdy głównym celem naszego działania jest zmienić drugą osobę - niezależnie od tego, czy jest to zmiana na dobre, czy na złe - postępujemy niewłaściwie. Jak długo naszym celem nie jest okazywanie naszemu partnerowi miłości w oparciu o naszą świadomość jego potrzeb, zajmujemy się manipulacją, a nie służbą. *Kluczem do osiągnięcia Jedności Duszy jest obrócić sobie za nasz główny cel zaspokajanie najgłębszych potrzeb naszego partnera i niewzruszenie trzymać się tego celu.*

ZASADA SŁUŻENIA SOBIE

Paweł nakazuje nam w Liście do Efezjan 4,29: „Niech żadne nieprzyzwoite słowo nie wychodzi z ust waszych, ale tylko dobre, które może budować, gdy zajdzie potrzeba, aby przyniosło błogosławieństwo tym, którzy go słuchają”.

Słowo przetłumaczone tutaj jako „nieprzyzwoite”, oznacza coś bezwartościowego, coś, co gnije i rozkłada się. Paweł przeciwstawia bezwartościowemu słowu słowa, które trwają, ponieważ mają one określony cel - zaspokajanie potrzeb innych.

Sądzę, że Paweł ustala tutaj podstawową zasadę, jaka powinna rządzić relacjami wszystkich Chrześcijan między sobą. Z całą pewnością, reguła ta odnosi się również do tych, którzy żyją ze sobą w intymności małżeństwa. Nie powinienem mówić nic, co w jakikolwiek sposób naraża na szwank realizację mego podstawowego celu: zaspokajania potrzeb osoby, do której mówię. Kiedy wypowiadam słowa *w tym celu*, by zmienić drugą osobę, nie mając na oku przede wszystkim i w świadomy sposób jego lub jej dobra, moje słowa są bezwartościowe. Nie służą one wiecznemu celowi i czeka je rozkład.

W małżeństwie słowa, które nie są całkowicie podporządkowane celowi służenia, nie mieszczą się w Bożym planie i nie zaowocują wzrostem Jedności Duszy. Romantycznie usposobiony mąż może namówić swą żonę, by poszła z nim do łóżka; nieszczęśliwa żona może przekonać męża, by został w domu; strofujący mąż może osiągnąć to, że jego żona nigdy nie podniesie głosu na dziecko w jego obecności - ale to, co osiągną, nie prowadzi do jedności. Nastąpi zmiana, która może się wydawać zmianą na lepsze, lecz nie wykształci się tak upragnione poczucie wzajemnej bliskości.

Chciałbym teraz pełniej sformułować zasadę służenia sobie, na której opiera się Jedność Duszy:

Mężowie i żony powinni uważać małżeństwo za możliwość, by służyć drugiemu człowiekowi w niepowtarzalny i niezwykle sposób, być narzędziem Boga w zapewnianiu swemu partnerowi większego poczucia własnej wartości jako osobie, która jest bezpieczna i wartościowa w Jezusie Chrystusie.

Zauważmy istotny punkt tej zasady: to Chrystus jest tym, który zapewnia nam bezpieczeństwo i wartość. Moja miłość do żony nie może niczego dodać do faktu, że jest ona w pełni i na wieki bezpieczna w miłości Chrystusa. Również brak mojej miłości nie pomniejszy w niczym faktu, że jest bezpieczna. Ale moja namacalna, dotykalna, fizycznie obecna miłość może jej dać *głębszą, na osobistym doświadczeniu opartą świadomość tego, co to znaczy być kochaną*. Nie mogę niczego dodać do *faktu* jej bezpieczeństwa, ale mogę powiększyć jej *poczucie bezpieczeństwa*.

Podobnie też, pełen poddania szacunek mojej żony dla mnie nie zwiększa mojego znaczenia jako sługi Chrystusa, ale pogłębia on we mnie świadomość

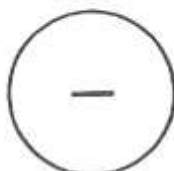
tej wartości, którą Pan mnie już obdarzył. Przypomina to rolę człowieka, który odkrywa, że pod moją działką znajduje się ropa naftowa. Człowiek ten nie czyni mnie bogatym. Byłem już bogaty zanim on znalazł ropę naftową, ale dopiero, kiedy mówi mi o tym zaczynam doświadczać mego bogactwa. Mężowie nie dają żonom bezpieczeństwa; żony nie czynią mężów wartościowymi. Tylko Chrystus może tego dokonać. A On dokonuje tego w momencie, gdy ktoś zaufa Mu jako swemu Zbawicielowi i Panu. Mężowie jednak i żony mogą pomóc przekonać swych partnerów o ich wartości i dać im większą radość z bogactw, jakie posiadają w Chrystusie.

Pary małżeńskie, które osiągają rzeczywistą Jedność Duszy, wiedzą, jak fascynujące może być słuzenie sobie w małżeństwie. Możliwość wywierania głębokiego wpływu na drugiego człowieka w taki sposób, że zyskuje on świadomość swej pełni w Chrystusie, jest czymś zapierającym dech w piersiach. Wszechwładny Bóg wybrał właśnie mnie spośród wszystkich bilionów mężczyzn, którzy kiedykolwiek chodzili po ziemi, do służby, do której nie powołał nikogo innego: obdarzania mojej żony szczególną, pełną oddania miłością męża. Przykro pomyśleć, że zadania męża czy żony mogłyby być tylko uciążliwym obowiązkiem, czy powinnością!

ZASADA MANIPULACJI **(jak niszczy ona Jedność Duszy)**

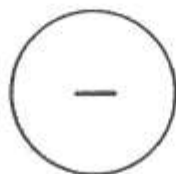
Żeby lepiej zrozumieć dlaczego zasada słuzenia sobie jest niezbędnym fundamentem rozwijania pełnej jedności małżeńskiej, rozważmy przykład, jak jej przeciwieństwo (zasada manipulacji) może ją zniszczyć.

Rodzice Marii rozwiedli się, gdy miała siedem lat. Jej ojciec odszedł od nich i potem rzadko ją odwiedzał, okazywał jej też bardzo mało miłości i troski. Matka Marii nigdy nie przyszła całkowicie do siebie po tym rozwodzie i przez większość lat, w których Maria dorastała, zajęta była całkowicie wiązaniem końca z końcem i szukaniem przyjemności, które dawałyby jej poczucie, że jej życie jest jeszcze coś warte. Zrozumiałe więc, że Maria nigdy nie czuła się kochana. Wytworzyło się w niej przekonanie, że aby znaleźć szczęście, które ominęło jej matkę, musi wyjść za mąż za silnego, kochającego ją mężczyznę, który z całym poświęceniem zatroszczy się o nią. Gdzieś pod tą potrzebą miłości odzywał się w niej cichy, lecz dokuczliwy niepokój: „Czy znajdę kiedykolwiek miłość, której potrzebuję?” Zakreślmy koło przedstawiające Marię jako osobową istotę, którą w głębi duszy przenika dojmujący strach. Minus oznacza jej strach i niepewność.



MARIA

Ojciec Jana był znanym adwokatem, który zrobił dużą karierę. Jego sposób spędzania czasu świadczył o tym, że ponad wszystko cenił sobie pozycję i prestiż społeczny. W oczach małego Jana stanowisko ojca dawało mu wiele zadowolenia. Kiedy Jan patrzył na to, wytworzyło się w nim przekonanie, że życie człowieka jest wartościowe, jeśli osiąga on sukcesy. Poprzez wszystkie lata w szkole i na wyższej uczelni trawił Jana wewnętrzny strach, że może nie osiągnąć swego celu - niezwykłych sukcesów finansowych i społecznych. Narysujmy koło przedstawiające Jana. Minus w środku oznacza jego strach, że może nie osiągnąć swego celu.



JAN

Rozważmy raz jeszcze stan psychiczny tych dwojga ludzi, którzy pewnego dnia się pobiorą. Maria jest przeświadczona, że aby osiągnąć bezpieczeństwo potrzeba jej relacji z silnym, wiernym mężczyzną, przeciwieństwem jej ojca. Zatem jej celem jest znaleźć takiego mężczyznę i poprzez niego zdobyć poczucie bezpieczeństwa. Jan jest przekonany, że jego wartość zależy od jego sukcesów, ale nie jest pewny, czy będzie w stanie osiągnąć sukces, jaki sądzi, że mu potrzeba. Jego celem jest więc najpierw zdobycie przekonania, że jest w stanie osiągnąć sukces, a następnie oddać się swej karierze.

Kiedy Maria i Jan „chodzili ze sobą”, Maria uszczęśliwiona, że Jan poświęca jej tyle uwagi, wsłuchiwała się uważnie w każde jego słowo, śmiała się przekonywająco z każdego jego dowcipu i okazywała podziw dla wielu pozytywnych cech jego charakteru. Jan wydawał się Marii silnym, pewnym siebie i swoich celów, kochającym mężczyzną. Jan czuł się dobrze przy Marii, doszedł więc do wniosku, że się zakochał. Lecz to, co Jan mylnie nazwał miłością, było jedynie pociąganiem do kobiety, która umacniała w nim poczucie, że jest w stanie osiągnąć sukces. Maria niewłaściwie zinterpretowała sympatię i zainteresowanie okazywane jej przez Jana jako szczerą miłość i zaczęła uważać Jana za środek do osiągnięcia swego bezpieczeństwa - bezpieczeństwa, którego od tak dawna pragnęła i bała się, że już nigdy nie znajdzie. Poczucie bliskości w jej relacji z Janem opierało się wyłącznie na tym, co jej zdaniem, Jan robi dla niej, a nie na oczekiwaniu, że będzie mogła wywrzeć pozytywny wpływ na jego życie.

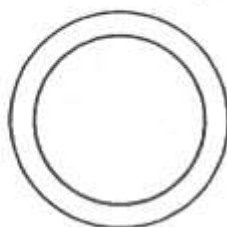
Ponieważ każde z nich spodziewało się, że drugie zaspokoi jego lub jej osobowe potrzeby, ich relacja typu „pchła na psie” nie mogła prowadzić do Jedności Ducha. A ponieważ ich motywacje były egocentryczne, opierali oni swoją relację nie na zasadzie służenia sobie, lecz na zasadzie manipulacji.

Zobaczmy jak ich manipulacyjne motywy działania zablokowały Jedność Duszy.

W ciągu pierwszych miesięcy małżeństwa Maria, jak wszystkie młode mężatki, została parę razy urażona przez męża. Wyszukany posiłek, który przygotowała, nie otrzymał spodziewanej pochwały. Jego negatywne podejście do pomagania jej w gospodarstwie domowym wydawało się być lekceważeniem jej pracy. Jej pragnienie, żeby Jan ją po prostu przytulił, miało często swój finał - na żądanie Jana - w sypialni. Zadrapany blotnik samochodu stał się powodem jego miazdzącej uwagi. Każde takie raniące wydarzenie wgrzyzło się głęboko w jej osobowe koło i odżył drzemiający tam strach przed odrzuceniem: „Czy ta relacja sprawi mi ból? Nie będę w stanie już znieść takiego zawodu, gdyby moje nadzieje na znalezienie miłości tak szybko miały wygasnąć”.

Aby zmniejszyć narastający strach, Maria osłoniła się warstwami ochronnymi, które miały ją zabezpieczyć przed nowym zranieniem. Zaczęła coraz więcej uwagi poświęcać swoim własnym potrzebom i nie miała najmniejszego zamiaru zaspokajać potrzeb Jana. Zaczęła tak myśleć: „Gdybym tylko mogła wpłynąć na niego, żeby był dla mnie bardziej czuły, lub gdybym potrafiła utrzymać odpowiedni dystans między nami, tak że jego odpychająca postawa nie będzie sprawiać mi takiej przykrości, to może wtedy uda mi się zmniejszyć ten ból do minimum.” I tak jej celem stało się sterowanie ich relacją w taki sposób, by zaspokojone lub zabezpieczone zostały jej potrzeby. Zasada manipulacji zaczęła w pełni działać. Maria zaczęła robić takie uwagi, jak: „Kochanie nieraz tak bym chciała, żebyś mnie po prostu przytulił, nie ciągnąc mnie przy tym od razu do łóżka”, lub „Ty mnie w ogóle nie doceniasz”, albo „Już nie traktujesz mnie tak, jak przed ślubem”. Pod tym „szczerym wyrażaniem swoich uczuć” (co jest błędną i niszczącą podstawą wielu nieduchowych prób zbudowania relacji), kryje się zamaskowany, lecz zdecydowany zamiar uniknięcia nowej urazy. Ich małżeństwo wygląda teraz tak:

Ochronna Warstwa
Manipulacyjnego
Sterowania Relacją

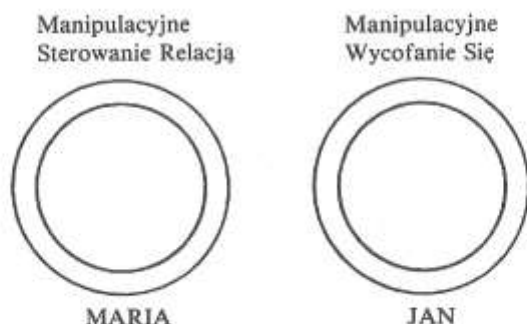


MARIA



JAN

Teraz kolej na Jana. Jego cel małżeństwa z Marią był także manipulacyjny: chciał zdobyć lepsze mniemanie o sobie i większe zaufanie we własne siły, którego potrzebował by odnieść sukces. Kiedy Maria zaczęła dawać mu do zrozumienia, że nie spełnia jej oczekiwań, jego ufność we własne siły zaczęła słabnąć, a zwiększał się strach, że może nigdy nie osiągnie celu, jaki sobie wyznaczył - sukcesu. Kiedy człowiek czuje ból, jego odruchową reakcją jest zrobić coś, co ból ten zmniejszy. Tak więc Jan zaczął zabezpieczać się przed przerażającą myślą, że jest nic nie wart - odsuwając się od Marii. Jego celem stało się wykluczenie możliwości nowego bólu. Jego gorączkowe zabiegi o zaspokojenie własnych potrzeb nie pozwoliły mu ani na moment pomyśleć o potrzebach Marii. Pożerał go strach. On także zaczął stosować zasadę manipulacji.



Rozpoczyna się błędne koło: im bardziej Jan się wycofuje, tym bardziej wzrasta strach Marii przed odrzuceniem. Im bardziej wzrasta jej strach, tym bardziej stara się manipulować Janem by ochronić siebie. Im bardziej stara się go zmienić, tym wyraźniej daje mu do zrozumienia, że nie spełnia on jej oczekiwań i Jan czuje się coraz bardziej bezwartościowy. Im bardziej wzrasta w nim to poczucie, kiedy jest przy Marii, tym bardziej się wycofuje. Im bardziej się wycofuje, tym bardziej wzrasta strach Marii. Ten smutny cykl powtarza się tak długo, aż dwoje samotnych ludzi stwierdzi, że znajdują się w więzieniu o grubych, własną ręką wzniesionych murach, które nie pozwalają im na żaden prawdziwy kontakt ze sobą. Najbardziej tragiczne w tym wszystkim jest to, że ludzie ci nie są tylko dwojgiem wprowadzonych w błąd dusz spragnionych wzajemnej bliskości; są oni także dwojgiem egoistów do tego stopnia hołdujących zasadzie manipulacji, że mury wokół nich pozostaną prawdopodobnie nienaruszone, aż do ich rozvodu lub śmierci. Żadnemu z partnerów nie przyjdzie nawet do głowy, że Bóg mógłby go lub ją użyć dla znacznego zmniejszenia strachu drugiego.

Istnieje tylko jedna droga ucieczki z tego własną ręką wzniesionego więzienia, a jest nią całkowita przebudowa relacji na zupełnie innych zasadach. Obydwoje partnerzy muszą wyznaczyć sobie inne cele: zamiast manipulacji - służba. A taka rewolucja w relacji wymaga nadprzyrodzonej interwencji. Inaczej nie może się powieść.³

ZMIANA CELÓW

Boża moc konieczna jest do tego, aby w gruntowny sposób zmienić czyjeś nastawienie. Jeżeli nie uświadomię sobie, że moje potrzeby zostały już zaspokojone w Chrystusie, to moja pustka wewnętrzna będzie mnie przynaglać do zaspokajania mych potrzeb. Kiedy przez ufną wiarę przyjmuję przelaną krew Chrystusa jako pełną zapłatę za moje grzechy, wchodzę w relację z nieskończoną Istotą, pełną miłości i celu, która całkowicie zaspokaja moje najgłębsze potrzeby - potrzebę bezpieczeństwa i potrzebę własnej wartości. Tak więc uwolniony jestem od egocentrycznego zaabsorbowania moimi własnymi potrzebami - są one już zaspokojone. Teraz mogę skoncentrować się na dawaniu innym z mojej pełni zamiast oczekiwać od innych wypełnienia mojej pustki. Po raz pierwszy w życiu mogę być wolny od egoizmu.

Rozważmy teraz w jaki sposób ta nadprzyrodzona zmiana może nastąpić, jeśli już położony został fundament usprawiedliwienia. Z ludzkiego punktu widzenia potrzebne są trzy elementy, aby przejść od manipulacji do służenia sobie:

Element 1. Zdecydowana i ciągła gotowość służenia drugiemu;

Element 2. Mocna świadomość potrzeb naszego partnera;

Element 3. Przekonanie o tym, że jestem przez Boga wybranym narzędziem zaspokajania tych potrzeb.

Element 1. Decyzja służenia.

Gotowość służenia drugiemu nie przychodzi sama z siebie. Aby rozwinąć w sobie właściwe motywacje nie wystarczy spędzać czas ze Słowem Bożym, na szczerej modlitwie, ani na czytaniu dobrych chrześcijańskich książek. Choć zdyscyplinowane życie duchowe jest niezbędne do tego, by przejście od manipulacji do służby było trwałe i gruntowne, to jednak by zrobić ten krok musimy dokonać świadomego wyboru, a raczej całego ciągu świadomych wyborów. Bezinteresowne motywacje nie tworzą się przez pasywne „niech będzie, co ma być”. Duch Boży porusza nasze umysły i naszą wolę, dając nam możliwość żalu za grzechy i życia w posłuszeństwie. Po pierwsze więc, muszę zgodzić się z Bogiem, że manipulacja dla zaspokojenia moich własnych potrzeb, jest grzechem. Muszę porzucić mój grzech wierząc, że dobry Bóg poprowadzi mnie po właściwych ścieżkach (żał za grzechy). Następnie muszę postanowić sobie, że pójdę drogą służby (posłuszeństwo).

Każdy z nas stoi codziennie przed kształtującymi nasz charakter decyzjami. Rozmawiając z moją żoną muszę świadomie *myśleć*: „Moim celem w tej chwili musi być pomoc jej tak, by uświadomiła sobie swoją wartość jako osoby. Co mogę zrobić aby to osiągnąć?” Moje wnętrze może w tym momencie krzyczeć gwałtownym pragnieniem bronięcia się, skrytykowania jej lub zareagowania jeszcze inną formą manipulacji. Pośród tego wewnętrznego zamętu muszę podjąć decyzję zrobienia tego, co pomoże jej czuć się kochaną. Kiedy podejmę tę decyzję Duch Boży daje mi moc wprowadzenia jej w życie - ale ja muszę dokonać wyboru.

Wrodzona niechęć do tego, by szczerze oddać się trosce o dobro drugiego, ma swoje korzenie w naszym uporczywym strachu, że jeśli naprawdę coś z siebie damy, bez żadnych manipulacyjnych zamiarów, to wyjdziemy z tego z jakimś uszczerbkiem. Nasze potrzeby nie zostaną zaspokojone. Doznamy w najlepszym wypadku zawodu, w najgorszym - zostaniemy zniszczeni.

Lecz Bóg jest wierny. Musimy zaufać jego doskonałej miłości i odrzucić nasz strach, wierząc, że jeśli poświęcimy się trosce o dobro naszego partnera w Jego imię, to On nas w cudowny sposób pobłogosławi świadomością swojej obecności. A On to robi. Może to jednak potrwać - może całe miesiące - zanim zauważymy Jego działanie. Gotowość bezwarunkowego dawania nie przychodzi przez to, że postanowimy sobie żyć bezinteresownie. Plama egocentryzmu dopiero po wielu gruntownych praniach przestaje zabarwiać nasze motywacje. Potrzeba wielu decyzji służenia i wiele czasu z Bogiem zanim zrozumiemy, co to znaczy *dawać*. Naszym zadaniem jest nauczyć się wierności i wytrwałości w posłuszeństwie, nie poddawania się rozczarowaniu ani znużeniu, wierząc, że Bóg zawsze nagradza świadome i wytrwałe oddanie się Jego służbie. Kiedy nasz partner zaczyna nas jeszcze bardziej krytykować, jeszcze więcej pije lub odrzuca nasze próby służenia mu, to powinniśmy wytrwać w posłuszeństwie wierząc, że naszym zadaniem przed Bogiem jest być posłusznym i ufać, że On zatroszczy się o dobre rezultaty.

Element 2. Świadomość potrzeb naszego partnera.

Powróćmy jeszcze raz do pastora i jego żony, których małżeństwo było pełne uprzejmości, ale nie przynosiło im ani wzajemnej bliskości, ani zadowolenia. Wiele czasu musiałem poświęcić na zachęcanie każdego z partnerów, by uświadomił sobie swoje własne palące potrzeby, a następnie odłonił je przed drugim.

Przekonany jestem, że większość mężów i żon nie jest świadoma pełnego tęsknoty wołania płynącego z serca ich partnera. Jeszcze zbyt często jedną z warstw ochronnych, za którymi ludzie się chowają, jest warstwa pozornego „trzymania się”, lub „ja dam sobie radę”, lub też „u mnie wszystko w porządku, u ciebie pewnie też”. Pewne siebie uśmiechy połączone z duchowymi banałami, że „wszystko współdziała dla naszego dobra”, często maskują głębokie pragnienie akceptacji. Bardzo chcielibyśmy, aby ktoś nas

poznał takimi, jacy jesteśmy - zmartwieni, rozbici, pełni strachu, złości, pożądania - i żeby nas mimo to zaakceptował.⁴

Dlatego uważam szczere dzielenie się z moim partnerem tym, kim jestem, za zgodne z zasadą służenia sobie. Nie o to chodzi, bym zaczął narzekać jak paskudnie się czuję, ale raczej o to, bym przypomniał sobie, że moje potrzeby zaspokojone są w Chrystusie i dzielił się z moim partnerem tym, jak czuję się w naszej relacji wzajemnej. Moim celem jest przy tym odsłonięcie się przed nim, żywiąc naturalne pragnienie - lecz nigdy nie domagając się - że zareaguje w sposób pełny miłości.

Co było przyczyną tego, że pastor bał się powiedzieć swojej żonie o prawdziwych uczuciach w stosunku do niej - tyle czasu pochłaniającej - pracy z nastolatkami? Bał się obojętnej, zdziwionej lub krytycznej reakcji. Jaki miał zatem cel w tym, że *nie* dzielił się swymi uczuciami? Zabezpieczyć się przed zranieniem. Troszczył się głównie o swoje własne potrzeby. Usprawiedliwiał się ze swojej niechęci do dzielenia się tym, co sprawiało mu przykrość, wmawiając sobie, że chodzi mu o to, by nie obciążać żony ani nie stawać na drodze jej ważnej pracy wśród nastolatków. W gruncie rzeczy jednak jego zasadnicza motywacja była ochronna i manipulacyjna. Przejście do modelu małżeństwa opartego na służeniu sobie oznaczało dla niego, że musi przyznać się do swoich uczuć i wyjawić je żonie. Ona również nie uświadamiała sobie swego strachu. Przez całe lata zaprzeczała swemu pragnieniu bliskiej relacji i zamiast tego zadowalała się namiastką satysfakcji, jaką dawała jej ważna działalność poza domem. Teraz więc bardzo trudno było jej rozpoznać swe rzeczywiste potrzeby. Kilka rozmów sondujących rany emocjonalne pomogło jej odkryć parę starych uraz i zapieczonych żalów. Potrzebna była jeszcze jedna rozmowa zanim zdecydowała się powiedzieć o swoich uczuciach mężowi.

Nakazywanie małżonkom, by zaczęły sobie służyć niewiele pomoże zanim nie uświadomią sobie, że tego potrzebują. Pewien mąż utrafił w sedno sprawy, mówiąc: „Moja żona jest tak silna i samowystarczalna, że oferować jej moją miłość to tak, jakby Rockefellerowi wciskać do kieszeni złotówkę. Ona po prostu nie potrzebuje tego, co jej mogę ofiarować”. Ponieważ wiele mężów i żon nie widzi nic, co wskazywałoby na to, że mogliby w jakikolwiek sposób pomóc swemu partnerowi, bardzo ważne jest, by wytworzyli w sobie świadomość najgłębszych potrzeb swego partnera. Możemy stworzyć klimat pozbawionej krytyki akceptacji tak, aby zachęcić naszego męża lub żonę do otworzenia się przed nami. [A jeśli mimo to nie zechce się otworzyć, musimy zdawać sobie sprawę z tego, że ponieważ jest on lub ona stworzona na obraz Boga, ma też głębokie potrzeby, nawet jeśli są one dobrze zamaskowane. Musimy modlić się o mądrość, by wiedzieć jak zaspokoić te potrzeby.

Element 3: Przekonanie, że Bóg wybrał mnie do służby memu partnerowi.

Tak wielu z nas walczy z poczuciem niezdadności i niekompetencji, że trudno jest wierzyć, że jesteśmy w stanie przynosić owoce w naszej

małżeńskiej służbie. Relacje międzyludzkie są bardzo skomplikowane. Ludzie są skomplikowani. Często zdarza się, że czujemy się głupio i nie wiemy, co właściwie mamy robić: „Cokolwiek zrobię, zawsze na jedno wychodzi”. „On jest dla mnie taką zagadką! Po prostu nie wiem, co mam robić, kiedy on zaczyna się tak zachowywać. Cokolwiek zrobię, nic nie pomaga”.

O zasadach słownego porozumiewania się napisano całe tomy książek. Ja sam przeczytałem parę z nich. A mimo to, wciąż stoję nieraz bezradny wobec problemów, które nie podpadają pod żadne reguły. Niezależnie od okoliczności, w jakich ludzie się pobrali, Bóg daje każdemu z partnerów niepowtarzalną możliwość służenia swemu towarzyszowi życia w bardzo szczególny sposób.

Pastor i jego żona byli zaszokowani, kiedy dowiedzieli się o potrzebach drugiego. Żadne z nich nie czuło się na siłach wypełnić zadania służenia, jakie stało przed nimi. Bali się, że ich wysiłki się nie powiodą, i że okaże się jak niewielkie są ich możliwości pogłębienia wzajemnej relacji. Jednak warunkiem efektywnej służby jest zaufanie Bogu, które wyrasta właśnie z poczucia niezdadności do wykonania tego zadania. Uznanie naszej słabości umożliwia nam trwanie w Chrystusie - pozwala nam ufać, że w Nim będziemy przynosić owoce (Jana 15,1-8).

Teraz więc, gdy dysponujemy wszystkimi trzema elementami potrzebnymi do zmiany naszych celów, możemy zacząć przechodzić od manipulacji do służby. Oto przykład, jak można to zrobić. Pamiętajmy, że dopóki nie postawimy sobie świadomie służby za cel naszego działania w każdym momencie dnia, to naszym naturalnym, odruchowym celem będzie zwykle manipulowanie naszym partnerem na naszą korzyść.

Jerzy wraca do domu po długim, męczącym dniu pracy. Jego odruchowym, niezaplanowanym i być może nieświadomym celem jest doznanie ciepłego przyjęcia ze strony Anny, jego żony - być może miłe słowo powitania, ciepły uścisk lub przygotowany obiad. Wyobraźmy sobie, że Anna wita go pytaniem: „Dlaczego tak późno? Miałeś być w domu przed szóstą, a jest już prawie siódma”.

Anna zablokowała cel Jerzego. Pomyślmy przez chwilę co *czują* ludzie, kiedy ich cel zostaje zablokowany? Najczęściej ogarnia ich złość, w każdym razie czują się rozczarowani. Jerzy czuje złość do żony. Musi przyznać, że najchętniej odciałby się jakąś zgryźliwą uwagą w rodzaju: „Dzięki za miłe powitanie! Jak to przyjemnie wracać do domu!”

Co powinien zrobić? Ma przed sobą takie możliwości: (1) okazać swój gniew, (2) usprawiedliwić swoje spóźnienie, (3) po prostu zignorować uwagę Anny i umyć ręce do obiadu, lub (4) uspokoić ją ciepłym uściskiem. Przypomnijmy sobie podstawową tezę tego rozdziału. Jedność Duszy zależna jest nie od tego, *co robimy*, lecz od *motywacji*, z jaką to robimy. Jerzy powinien więc zastanowić się nie nad pytaniem „Co mam zrobić?”, ale „Co jest moim celem?”

Złość powinna być dla niego silnym sygnałem ostrzegawczym, że jego cel był manipulacyjny. Żądał od żony reakcji, która w tym momencie zaspokoilaaby jego potrzebę. Jeśli Jerzy jest (1) zdecydowany żyć według zasady służenia, (2) świadomy, że jego żona jest kobietą pragnącą miłości, i (3) przekonany, że jest on Bożym narzędziem okazywania swej żonie w namacalny sposób miłości Chrystusa, to jest w stanie zmienić swój cel. Zmiana ta polega na zastąpieniu takich myśli, jak: „Czemu ona nie może być dla mnie miła kiedy wracam z pracy?”, myślą w rodzaju: „Moim celem jest w tym momencie dać jej odczuć, że jest ona kochaną i wyjątkową kobietą”.

Wyobraźmy sobie raz jeszcze, że nasz umysł jest magnetofonem. Automatycznie odgrywana „taśma” odzwierciedla nasz manipulacyjny cel, którym jest zmienienie naszego partnera: „Czemu ona nie może mnie serdeczniej powitać?” Aby zmienić nasz cel, musimy zdecydowanie wyjąć niewłaściwą taśmę, a zastąpić ją nową, to znaczy wybrać nową myśl, która odzwierciedla nasz nowy cel: „Chcę, żeby ona czuła się kochana”.

Zmiana taśm nie może być tylko mechanicznym zabiegiem. Kiedy zastępujemy nasze egoistyczne myśli altruistycznymi intencjami, musimy sobie przypomnieć, że z własnej woli decydujemy się służyć ponieważ wierzymy Bogu. I choć nasze uczucia nie od razu przechodzą od złości do współczucia, możemy ofiarować partnerowi pozbawioną krytyki akceptację, o ile służenie mu jest naszym z własnej woli przyjętym zamiarem.

Chodzi jednak o to, czy my rzeczywiście chcemy obrać sobie za cel w tym momencie służbę drugiemu. Im bardziej skłonni jesteśmy to zrobić, tym pewniejsze jest, że nasze małżeństwo będzie się przybliżać w kierunku dających nam zadowolenie poziomów Jedności Duszy.

PODSUMOWANIE

Jedność Ducha wymaga od każdego z partnerów, aby zaufał Chrystusowi co do zaspokojenia swych głębokich potrzeb osobowych i uważał małżeństwo za szczególną możliwość dzielenia z kimś swego życia w Chrystusie. Jedność Duszy jest dającą obustronne zadowolenie relacją, która rozwija się, gdy każdy z partnerów dostrzega możliwości, jakie niesie z sobą małżeństwo. Jedność Duszy można osiągnąć przez to, że będziemy pomagać naszym towarzyszom życia, by uświadomili sobie swoją podstawową wartość jako ludzie stworzeni na podobieństwo Boga i jako święci, którzy są prawdziwie bezpieczni i wartościowi w Chrystusie.

Jedność Duszy jest w subiektywny sposób odczuwana jako relacja tak bliska, że tylko stosunek płciowy może w pełni ją wyrazić. Taki rodzaj jedności może rozwinąć się jedynie wtedy, gdy obydwójce partnerzy gotowi są bez żadnych zastrzeżeń służyć zaspokajaniu potrzeb drugiego, żywiąc nadzieję (lecz nigdy się tego nie domagając), że ich partner odwzajemni się tym samym. Relacje oparte na manipulacyjnych wysiłkach, by zdobyć poczucie, że jesteśmy

kochani, lub by zabezpieczyć się przed nową urazą, nie dojdą nigdy do jedności, jaką Bóg dla nas zaplanował. Przejście od manipulacji do służenia sobie jest jedyną drogą do Jedności Duszy.

PRZYPISY

1. J. Oliver Buswell, *A Systematic Theology of the Christian Religion* (Grand Rapids: Zondervan, 1972), część II, str. 239-40).
2. Możliwe, że „kary za niegodziwość ojców przechodzą na synów i wnuków aż do trzeciego i czwartego pokolenia” (II Mojż. 34,6-7) kiedy rodzice przez swój przykład wyrabiają u swoich dzieci fałszywe przekonania co do tego, jak stać się wartościowym.
3. Poradnictwo małżeńskie, które nie przyjmuje za swą podstawę zmiany celów męża i żony - zastąpienie manipulacji służbą, i które nie odwołuje się do duchowych środków przy realizacji tego zadania, jest w gruncie rzeczy niczym więcej, niż udzielaniem ludziom wskazówek, jak mają sobą lepiej manipulować.
4. W naszej kulturze niektóre grupy ludzi czynią sobie fetysza z obnażania swych żalonych wnętrz. Nie ma wątpliwości, że należy unikać obu skrajności: strachliwego chowania się, jak i bezmyślnego ekshibicjonizmu.

4

Jedność Duszy

II. Porozumiewanie się, czyli „Co mam robić kiedy jestem zły?”

Większość badań nad konfliktami małżeńskimi wskazuje na porozumiewanie się jako na jeden z głównych pretendentów do miana najbardziej powszechnego problemu. Małżonkowie często sygnalizują następujące sytuacje:

- „Nie możemy zacząć rozmawiać o niczym istotnym bez wdawania się od razu w kłótnię”.
- „Za każdym razem, gdy chcę jej powiedzieć co czuję, wydaje mi się, że jej to zupełnie nie interesuje, a często jeszcze mnie krytykuje”.
- „On po prostu unika wszelkiej rozmowy o nas. Możemy rozmawiać o planach wakacyjnych, o tym, gdzie posłać dzieci do szkoły, czy jaki samochód kupić, ale on za nic nie chce rozmawiać o naszej relacji”.
- „Ona jest strasznie emocjonalna. Ciągłe albo płacze, albo wrzeszczy, albo na coś narzeka. Po prostu jej unikam - tak jest najprościej”.
- „Obydwoje staramy się rozmawiać ze sobą o naszych problemach, ale nigdy przez to nie czujemy się sobie bliżsi. Zaczynamy się bronić albo tracimy cierpliwość i w rezultacie jesteśmy jeszcze dalej od siebie, niż na początku rozmowy. Coś jest nie tak”.

Wiele z naszych wysiłków porozumienia się nie przynosi rozwiązania problemów, a zamiast tego prowadzi do nowych napięć. Celem tego rozdziału jest zastanowienie się nad zasadami rozwijania skutecznego porozumiewania się - takiego, które prowadzi do Jedności Duszy.

Stwierdziliśmy już, że zasadniczym fundamentem biblijnej relacji małżeńskiej jest całkowite oddanie się realizacji naszego głównego celu - służenia sobie wzajemnie. Każdy z partnerów musi chcieć zaspokajać potrzeby drugiego, bez względu na to, z jaką reakcją się spotka. Choć nikt z nas nie wywiązuje się z tego w sposób doskonały, to musimy wciąż myśleć o tym, że naszym największym zadaniem w małżeństwie jest troska o zaspokajanie duchowych i osobowych potrzeb naszego partnera. Ze względu na naszą

uporczywą skłonność do manipulacji, oraz znakomitą umiejętność maskowania jej pod płaszczykiem dobrych zamiarów, musimy wciąż z całą świadomością otwierać się na działanie Ducha Świętego, który napomina nas zawsze, kiedy nieświadomie przechodzimy od służenia do manipulacji.

Służenie naszemu partnerowi nie jest sprawą wolnego wyboru. Nie o to chodzi, byśmy „rozważyli możliwość” takiego podejścia do małżeństwa. Bóg wyraźnie nakazuje nam wzajemne poddanie (Efez. 5,21) - poddanie naszym żonom miłując je i poddanie naszym mężom szanując ich. Zbyt wielu świadomych Chrześcijan czyta te nakazy i uznaje swoją odpowiedzialność, a następnie lekceważy je w swoim małżeństwie.

Problemy w porozumiewaniu się między małżonkami zwykle wynikają z ich niechęci służenia sobie, lub po prostu z niewłaściwych celów. Jest to diagnoza prosta, lecz nie uproszczona. Psycholodzy rozpatrują zwykle tak długo powikłania jakiejś oczywistej prawdy, aż prawda ta zatraci swoją prostotę. Na przykład, treningi psychologiczne zajmujące się porozumiewaniem się z innymi, uczą ludzi werbalnych sposobów przekazywania swoich uczuć i słuchania bez atakowania drugiej osoby i przyjmowania postawy obronnej, ale rzadko kiedy zwracają uwagę na podstawowy problem, jakim są nasze egoistyczne motywacje. Bardzo ważne jest umieć dzielić się swymi uczuciami i słuchać, lecz sądzę, że zamiast uczyć ludzi odpowiednich technik, lepiej by było nieraz skoncentrować nasze wysiłki na przekonaniu ich, aby przestali żyć w sposób egocentryczny i zastanowili się najpierw jakie są plany Boga. Nawet, jeśli nauczyciele technik porozumiewania się widzą, że chodzi tu o manipulację, nie mogą spowodować prawdziwego przejścia od manipulacji do służenia drugiemu, jeśli nie odwołają się do Ewangelii Chrystusa.

Biblijna interpretacja problemów porozumiewania nie jest ani uproszczona, ani oderwana od rzeczywistości. List Św. Jakuba mówi o tej sprawie z wielką wnikliwością natchnionego diagnosty.

„Skądże spory i skąd walki między wami? Czy nie pochodzą one z namiętności waszych, które toczą bój w członkach waszych? Pożądacie, a nie macie; zabijacie i zadróście, a nie możecie osiągnąć; walczyście i spory prowadzicie. Nie macie, bo nie prosicie. Proście, a nie otrzymujecie, dlatego, że źle prosicie, zamyślając to zużyć na zaspokojenie swoich namiętności” (Jak. 4,1-3).

Pismo jednoznacznie naucza, że problemy w komunikowaniu się są nieuniknione, kiedy ludzie dążą do egocentrycznych celów. Większość z nas wchodzi w życie małżeńskie z niemądrym, lecz rozsądnie brzmiącym przekonaniem, że *potrzebujemy* (nie pragniemy, lecz potrzebujemy) tego, by nasz partner odnosił się do nas w określony sposób, jeśli mamy być bezpieczni i wartościowi. Musimy do tego stopnia przekonać się o wystarczalności Chrystusa w zaspokajaniu naszych potrzeb, żeby nasze cele w stosunku do naszego partnera mogły się zmienić - by zamiast manipulacji postawić sobie za cel służenie.

Rozumowanie to jest na tyle proste, że można by je uznać za efektywny model małżeńskiej relacji. Jednak wprowadzenie go w życie jest już inną sprawą. Nie istnieje bardziej uporczywe przekonanie niż to, że mój partner powinien mnie w określony sposób traktować. Często znajdujemy biblijne argumenty usprawiedliwiające nasze żądanie, by nasz towarzysz życia inaczej się zachowywał. Często mamy może też rację sądząc, że Bóg chce, aby nasz partner się zmienił. Ale bardzo trudno jest nam zrozumieć, że ja nigdy nie mogę niczego żądać od mego partnera, i że moja gotowość służenia mu nie może być nigdy zależna od jego lub jej podejścia czy zachowania. Potrzeba wiary zdolnej przenosić góry, by wierzyć, że Chrystus wystarcza do zaspokojenia wszystkich moich potrzeb i że jestem w stanie troszczyć się o mego partnera bez względu na ból odrzucenia.

Biblia opisuje wiarę jako coś, co wzrasta. Wytwanie w służeniu w momencie, gdy nasz partner nas zawodzi, wymaga dojrzałej i silnej wiary. Wielu Chrześcijan nie osiągnęło jeszcze tego poziomu rozwoju duchowego, na którym cele ich konsekwentnie charakteryzują się miłością. Ja wciąż jeszcze reaguję irytacją kiedy moja żona nie zauważa, że chciałbym by okazała mi uznanie za coś, co zrobiłem. A kiedy jestem zirygowany (lub zraniony czy znieważony), trudno mi trwać przy moim właściwym celu, jakim jest służenie. Już sam fakt, że jestem zirygowany świadczy o tym, że mój cel był manipulacyjny: chciałem by żona mnie zauważyła. Większość z nas potrzebuje jeszcze więcej uświęcenia by móc konsekwentnie stawiać sobie służenie za cel działania.

W międzyczasie jednak, co nam pozostaje? Nam, niedoskonałym Chrześcijanom, pełnym frustracji, uraz i lęków, niezdolnym do zmiany naszych niewłaściwych celów na tyle szybko i na tyle gruntownie, by zniknęły wszystkie nasze negatywne uczucia? Jeśli powiemy o tych uczuciach naszym partnerom - przybliży nas to do Jedności Duszy, czy tylko przyniesie więcej bólu? A jeśli im nie powiemy, czy te stłumione uczucia nie stworzą dystansu między nami i nie oddalą nas jeszcze bardziej od jedności, której pragniemy?

Negatywne uczucia, które małżonkowie żywią w stosunku do siebie, są główną przeszkodą w rozwijaniu efektywnego porozumiewania się. Pytanie, które słyszę najczęściej, prowadząc seminaria małżeńskie, brzmi: „Co mam zrobić z moimi uczuciami? Czy powinniśmy mówić naszym partnerom o wszystkim, co czujemy? Czy całkowita otwartość jest zdrową, biblijną zaletą?

Aby rozwinąć taki rodzaj komunikacji, która prowadzi do Jedności Duszy, potrzeba dwóch rzeczy:

1. Gotowości służenia sobie wzajemnie;
2. Umiejętności radzenia sobie z negatywnymi uczuciami tak, by nie naruszać celu służenia, ani nie stwarzać dystansu między partnerami.

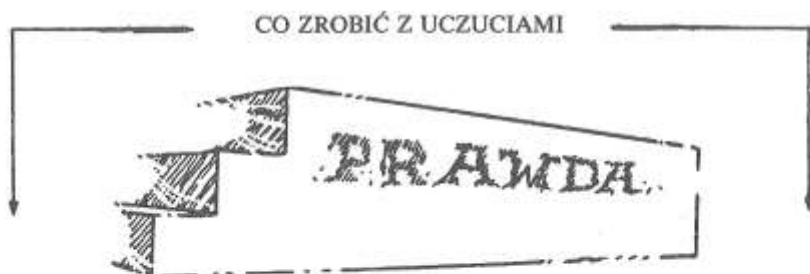
Rozdział 3 poświęcony został pierwszemu z tych elementów. W pozostałej części tego rozdziału zajmiemy się sprawą drugą.

CO MAM ZROBIĆ Z MOIMI UCZUCIAMI?

Ponieważ kładę taki nacisk na „służbę drugiemu”, można by sądzić, że wszelkie dzielenie się negatywnymi uczuciami uważam za pogwałcenie celu służenia, a więc za niewłaściwe. Wielu Chrześcijan wydaje się być przekonanych, że wyrażanie negatywnych uczuć jest zawsze grzechem. Takie nakazy, jak „Nie powinienes się nigdy złościć”, czy „Jeśli nie możesz powiedzieć nic miłego, to lepiej nic nie mów”, odzwierciedlają poglądy, które zamykają ludzi w ciasne formy zapierania się własnych uczuć. Małżonkowie udają jedno, kiedy czują coś innego. Ich maski trzymają się sztywno na swoich miejscach, mocno przyklejone przekonaniem, że chrześcijańska relacja zawsze składa się z miłych uśmiechów i czułych wyrazów miłości. W rzeczywistości maski te służą im do tego, by trzymać szczelnie zamkniętą puszkę Pandory - pełną ukrytych żalów i złości.

Niektórzy zwolennicy etyki materialistycznej, którzy nie przejmują się zbyt biblijnym nakazem, by odrzucić wszelką złość i być dobrymi i miłosiernymi dla siebie nawzajem, odpowiedzieli na tę tendencję do tłumienia uczuć twierdzeniem, że uczucia nie są ani dobre, ani złe, po prostu są. Według nich powinno się osądzać, czy wyrażanie emocji jest słuszne, czy nie, nie według zasad moralnych, lecz pragmatycznie: „Czy poczuje się lepiej, jeśli wyrażę swoje uczucia?”, albo „Mam prawo pokazać kim jestem przez to, że powiem ci, co czuję. I zrobię to, jeśli zechcę”.¹

Mamy więc przed sobą dwie możliwości: (1) możemy *upchać* swe uczucia wewnątrz nas, odwracając się od nich z duchowym wstrętem, lub (2) możemy, pewni swoich racji, *zrzucić* je na innych, mówiąc sobie przy tym, że „Mam prawo być sobą”. Według mnie, żadna z tych dwóch możliwości nie jest zgodna z Bożym planem rozwijania jedności poprzez komunikację.



Upchać je w sobie:

„Moje uczucia są straszne. Dlatego też ukryję je za przyjemną, chrześcijańską maską”.

PLATFORMA PRAWDY

Zrzucić je na innych:

„Moje uczucia są nieodłączną częścią mnie. Okażę je, jeśli zechcę”.

Przypomnijmy sobie pojęcie Platformy Prawdy z rozdziału 2. Biblijny pogląd na daną sprawę można często przedstawić jako wąską, śliską platformę, z której łatwo można spaść na jedną lub drugą stronę. Następujący rysunek ukazuje dwa niewłaściwe sposoby postępowania z uczuciami.

Jeśli więc nie powinniśmy ani zatrzymywać w sobie naszych uczuć, ani okazywać ich bez zastanowienia, to co mamy właściwie z nimi zrobić?

- Kiedy twój mąż powie coś takiego, że poczuje się zażenowana wobec zebranych znajomych, co masz zrobić z tym gniewem?
- Kiedy twoja żona reaguje na jakąś twoją propozycję łaskawym przyzwoleniem, co powinieneś zrobić z tą irytacją?
- Kiedy twój mąż karze dzieci zbyt surowo wyładowując na nich swoje własne frustracje, co powinnaś zrobić ze strachem i wściekłością, które czujesz?
- Kiedy żona mówi ci, że czuje pociąg do innego mężczyzny, jak masz postąpić z tą zazdrością i uraza?

Rozważmy przykłady wyżej wymienionych możliwości:

Upchać w sobie: Pomyśl o tym, że Bóg cię kocha i że wcale nie jest konieczne, żeby twój partner się zmienił. Uśmiechnij się więc czule do niego i postaraj się mu służyć pytając: „Co mogę zrobić, abyś czuł się bardziej kochany i ważny?”

Zrzucić na innych: Pomyśl o tym, że ponieważ Bóg cię kocha, jesteś wartościową osobą, która ma prawo do wyrażania swoich uczuć. Powiedz swemu partnerowi wszystko, co czujesz i niech będzie to potwierdzeniem twojej integralności w Chrystusie.

Rezultatem wyboru pierwszej możliwości będzie w najlepszym wypadku pełen lęków, duchowy fałsz. Jest wśród nas całe mnóstwo Chrześcijan o dobrych intencjach, którzy zaciskają zęby i wypowiadają odpowiednie słowa aby ukryć swój gniew. Wrogość w nich narasta tak długo aż wybuchną złością albo dostaną wrzodów żołądka.

Druga możliwość pozwala unikać zarówno psychosomatycznych kłopotów żołądkowych, jak i wybuchów gniewu. Lecz dzielenie się negatywnymi uczuciami po to by potwierdzić swoje prawa nie zbuduje twego partnera ani nie będzie oznaką chrześcijańskiej pokory z twojej strony.

Aby móc spojrzeć na to z biblijnej perspektywy, musimy wiedzieć co Bóg myśli o uczuciach. Jeden z Bożych poglądów na sprawę wyrażania uczuć przedstawia w obrazowy sposób Księga Ezechiela 24. Bóg powiedział Ezechielowi, że wkrótce umrze jego żona, kobieta którą Ezechiel bardzo kochał.

„I doszło mnie słowo Pana tej treści: Synu człowieczy, oto Ja zabiorę ci przez nagłą śmierć rozkosz twoich oczu, lecz ty nie biadaj ani nie płacz, niech ani jedna łza u ciebie się nie pojawi. Wzdychaj tylko cicho, nie urządzaj żaloby po zmarłym ...” (w. 15-17).

Naturalnie, śmierć ukochanej żony jest zrozumiałym powodem do żalu i smutku. Zauważmy jednak, jak Bóg nakazał Ezechielowi postąpić z jego uczuciami. Werset 17 mówi, że Bóg kazał Swemu słudze „wzdychać w milczeniu”.

Dwie prawdy wypływają z tych wskazówek. *Po pierwsze*, Bóg uznaje, że Ezechiel będzie rzeczywiście coś czuł. Nie kazał Ezechielowi czuć nic innego, niż to, co naprawdę czuje. Faktem jest, że nie jesteśmy w stanie bezpośrednio zmienić uczucia, jakie w danym momencie żyjemy. W naszej reakcji na uczucia mamy więc dwie alternatywy: (1) możemy je uznać lub udawać, że nie istnieją, i (2) możemy je okazać lub nie. Boży nakaz, by Ezechiel wzdychał, każe mu uznać jego uczucia, doznać wewnętrznie całego ciężaru bólu spowodowanego bolesnym wydarzeniem. Zauważmy, że uczucia Ezechiela nie były grzeszne. Istnieją uczucia, które trzeba uznać za część naszego niewłaściwego podejścia do jakiejś kwestii i wobec tego musimy je nazwać grzesznymi. W mojej wcześniejszej książce wysunąłem hipotezę, że negatywne uczucia, które wykluczają współczucie, można by uznać za grzeszne, natomiast negatywne uczucia, które nie stają na drodze współczuciu, nie są grzeszne.²

Zarówno grzeszne uczucia (np. zazdrość, chciwość, pożądanie), jak i nie-grzeszne (np. smutek, żal, ubolewanie), muszą być w pełni znane przed Panem, lecz nastawienie, w którym uznajemy te dwa rodzaje uczuć powinno być inne. Kiedy doświadczam uczucia, które nie jest grzeszne, lecz bolesne, powinienem przyjść do Pana wyrażając w pełni moje uczucia w pokorze ufając, że od Niego otrzymam pocieszenie i pomoc. Kiedy jednak moje uczucia są grzeszne, muszę pójść do Niego ze skrucą i żalem ufając w Jego przebaczenie i obietnicę, że On dokończy dzieła, jakie rozpoczął we mnie. W praktyce znaczy to, że mam otwarcie doświadczyć mych niewłaściwych uczuć przed Bogiem, pokornie wyznając grzechy. Wyznanie to nie powierzchowna modlitwa w rodzaju: „O, Panie, proszę wybaczyć mi, że jestem zły”. Lepiej jest wołać: „Boże, jestem *wściekły!* Jestem siny z wściekłości! I wiem, że nie mam racji! Chcę pójść Twoją drogą i być pełen miłosierdzia, ale w tej chwili czuję gorycz. Proszę, wybaczyć mi! Tobie chcę służyć”. Jeszcze raz powtarzam, że nie wolno nam w żadnym wypadku wypierać się jakiegokolwiek uczucia, czy to zaprzeczając jego istnieniu, czy to łagodząc jego stopień.

Po drugie, Bóg nakazał Ezechielowi powstrzymać się od jakiejkolwiek formy publicznego okazania jego prywatnego żalu. Ezechiel miał uznać wewnętrznie to, co czuł („wzdychać”), lecz nie okazywać tego na zewnątrz („w milczeniu”). Powróćmy do dwóch alternatyw, które stoją przed nami, kiedy reagujemy na nasze uczucia: możemy je uznać lub zignorować i możemy je okazać lub nie. Ezechiel miał je uznać, lecz nie okazywać.

¶ Dla psychologów, którzy kładą nacisk na potrzebę ponownego przeżycia naszych negatywnych uczuć w celu ich zneutralizowania, podobna rada może stanowić usprawiedliwienie ich szkodliwej praktyki. Nieraz słyszymy, że emocje - zwłaszcza te intensywne, jak poczucie winy czy głęboki żal - wymagają katharsis - ich oczyszczającego wyrażenia, inaczej staną się przyczyną urazów psychicznych. Z drugiej strony, zwolennicy wypierania się uczuć, którzy za nic nie przyznają się do swych negatywnych emocji, także mieliby kłopoty z przyjęciem Bożej rady. W ich rozumowaniu, czas spędzony na analizowaniu uczuć jest źle wykorzystany i zmarnowany. Jednak Boży nakaz był jednoznaczny: uznaj, bądź świadom tego, co czujesz, ale nie okazuj tych uczuć publicznie. ¶

Następne wersety w Księdze Ezechiela 24 ukazują, że Bóg miał w tym pewien cel, dając taki nakaz prorokowi. Zaniechanie zwyczajowego opłakiwania zmarłych miało z całą mocą oznajmić odstępczemu narodowi, że nadchodząca kara za ich grzechy będzie tak straszna, że w porównaniu z nią śmierć żony nie stanowi powodu do wylewania łez.

Innymi słowy, po tym, jak Bóg nakazał Ezechielowi uznać swe uczucia przed sobą, nakazał mu podporządkować wyrażenie tych uczuć wyższemu celowi. Wydaje mi się, że pomimo szczególnych proroczych okoliczności doświadczenia Ezechiela, z Bożego nakazu „wzdychania w milczeniu” wyłania się pewna bardzo pomocna zasada:

Kiedy pojawia się w nas jakieś uczucie, to powinniśmy:

1. Uznać przed sobą i przed Bogiem to, co czujemy, pozwalając sobie na wewnętrzne doświadczenie pełnego ciężaru naszego uczucia.
2. Okazanie naszych uczuć na zewnątrz podporządkować celowi, jakim jest posłuszeństwo Bogu, by mógł nas użyć do Swoich celów.

Tak więc, *uznanie* naszych uczuć jest zawsze właściwe; *okazanie* naszych uczuć jest uzasadnione tylko wtedy, gdy nie jest ono sprzeczne z wypełnianiem przez nas Bożych zamiarów. Nie mogę sobie nigdy na to pozwolić, żeby po prostu zrzucić coś z siebie. Muszę szczerze przyznać się przed sobą i przed Bogiem do tego, co czuję, ufny, że usprawiedliwiająca łaska Boga zapewni mi Jego akceptację bez względu na to, jakie uczucia żywię. Nie powinienem tłumić w sobie uczuć. Następnie muszę zastanowić się, czy okazanie uznanych przeze mnie uczuć komukolwiek poza Bogiem posłuży Jego zamiarom - i postąpić według wyciągniętych przeze mnie wniosków.

Teraz możemy już sformułować biblijną zasadę postępowania z uczuciami, która stanie się naszą Platformą Prawdy.



Kiedy sami przed sobą przyznamy, że czujemy złość lub urazę, musimy *natychmiast* świadomie podjąć decyzję, które uczucia i w jaki sposób wyrazimy. Chciałbym dodać, że nie istnieje żadna zasadnicza sprzeczność pomiędzy świadomym, a spontanicznym okazaniem uczuć. Możemy uczyć się panować nad naszymi spontanicznymi reakcjami.

Kiedy już zasada „najpierw uznaj, potem selektywnie wyraż”, została przyjęta, naszym zadaniem jest rozpoznać *kiedy* okazywanie naszych uczuć służy Bożemu celowi, jakim jest troska o dobro naszego partnera. Aby właściwie odpowiedzieć na to trudne pytanie, musimy najpierw zapoznać się z jeszcze jednym pojęciem: różnicą pomiędzy celem, a pragnieniem.

CEL A PRAGNIENIE

Wiele razy wspominałem już o służbie drugiemu jako głównym celu porozumiewania się, ale nierealistyczne byłoby stwierdzenie, że do osiągnięcia dobrego porozumiewania się wystarczy wytyczenie sobie właściwych celów. Bez względu na to, jak mocno postanowimy sobie, że naszym celem jest służenie naszemu partnerowi, zawsze będziemy odczuwać nieodparte pragnienie, by on nam służył.

Kiedy czuję się zniechęcony, zachęcająca postawa i zachęcające słowa mojej żony więcej dla mnie znaczą, niż potrafiłbym wyrazić. Pewien zaprzyjaźniony pastor powiedział mi niedawno, jak wiele znaczy dla niego powrót wieczorem do domu, do kochającej żony; pragnie jej ciepła tak bardzo, że niemal wydaje się, że nie potrafiłby bez tego żyć. Wiele kobiet opowiadało mi, jak cała głębia ich istoty woła o jeden czuły, pełen akceptacji gest miłości ze strony ich mężów. Bez względu na to, jak mocno postanowimy sobie służyć naszemu partnerowi i jak mocno wierzymy w to, że Chrystus zaspokoi wszystkie nasze potrzeby, każdy z nas chciałby, aby nasz towarzysz życia postąpił w określony sposób. Co mamy zrobić z tymi pragnieniami?

Czy mamy je pogrzebać pod odnowionymi postanowieniami służenia? Czy mamy udawać, że ponieważ Chrystus jest wszystkim, czego nam potrzeba, więc to, jak traktuje nas nasz partner nie ma dla nas żadnego znaczenia?

Bóg chciał, aby mężowie i żony żyli w bliskiej relacji i wywierali wpływ na siebie wzajemnie: powinniśmy zatem intensywnie odczuwać skutki postaw i działań naszego partnera. To, czy jesteśmy z oddaniem kochani i całkowicie akceptowani przez naszego partnera w małżeństwie, ma bardzo duże znaczenie. Czujemy ból, kiedy nasz partner okazuje nam obojętność i odrzucenie, a jest nam przyjemnie, kiedy okazuje nam akceptację, ponieważ bardzo pragniemy jego miłości. Pragnienie to jest naturalne i dobre. Odzwierciedla ono prawdę, że nie jesteśmy tylko zwierzętami, lecz osobowymi istotami stworzonymi na obraz Boga, żywymi ludźmi, którzy mogą wywierać głęboki wpływ na siebie wzajemnie. Bez tego pragnienia miłości ze strony drugiej osoby nie byłibyśmy w stanie przyjmować czyjejś akceptacji z prawdziwą radością. Ale - i to jest bardzo ważne - *pragnienie to nie może nigdy stać się naszym celem*.

Na poniższym rysunku koło przedstawia naszą *potrzebę* bezpieczeństwa i własnej wartości. Zewnętrzne koło przedstawia nasze naturalne *pragnienie* głębokiego poczucia bezpieczeństwa i własnej wartości w naszej relacji.



Podstawowym twierdzeniem tej książki jest to, że Chrystus jest w stanie w pełni zaspokoić nasze potrzeby. Innymi słowy, jest On w stanie całkowicie wypełnić wewnętrzne koło na tym rysunku. Nigdy nie obiecywał nam jednak, że wypełni także zewnętrzne koło pragnienia. A wszystkie nasze pragnienia ciepła, życzliwości, zrozumienia i wierności ze strony naszych partnerów znajdują się w tym zewnętrznym kręgu. Wydaje się, że *czujemy* się ważni i bezpieczni, kiedy pragnienia te zostają spełnione, lecz Pan nie obiecywał nam ich spełnienia.

Kiedy pragnienia te pozostają niespełnione, czujemy uzasadniony i naturalny ból. Zabrakło czegoś bardzo pozytywnego. Bóg wybrał naszego męża lub żonę na swój instrument pomagania nam, byśmy pełniej mogli

odczuwać, co to znaczy być kochanym i ważnym. Kiedy nasze *potrzeby* zostają zaspokojone, *jesteśmy* bezpieczni i ważni. Kiedy spełnione zostają nasze *pragnienia*, *czujemy* się bezpieczni i ważni. Kiedy nasze pragnienia nie zostają spełnione, czujemy ból. Ponieważ jednak nasza potrzeba, by być wartościową osobą, zaspokojona jest w Chrystusie - czy to czujemy, czy nie - możemy świadomie wytrwać w naszym celu służenia partnerowi, który nie spełnia naszych pragnień.

Teraz mogę już zdefiniować pojęcia, których używam. *Cel jest obiektem moich dążeń, którego osiągnięcie zależy ode mnie.* Kiedy osiągnięcie czegoś zależy wyłącznie od mojej chęci zrobienia pewnych rzeczy, można to słusznie nazwać celem. Zgodnie z tą definicją, służenie naszemu partnerowi jest celem, który Chrześcijanin może mieć nadzieję lepiej zrealizować, niż kto inny. Chrześcijanin jest w pełni bezpieczny i wartościowy w Chrystusie niezależnie od tego, czy to czuje, czy nie, i jest w stanie działać z pozycji wewnętrznej pełni. Może dawać, ponieważ ma co. Poczucie bezpieczeństwa i własnej wartości nie-Chrześcijanina nie pochodzi z tego samego źródła i to, co on daje nie ma prawdziwej podstawy. Ponieważ jest pusty, nie-Chrześcijanin nie może realizować celu służenia w sposób, jaki podoba się Bogu.

Pragnienie jest czymś, czego bardzo chcę, co jest może całkowicie naturalne, lecz czego nie mogę osiągnąć tylko własnym wysiłkiem. Spełnienie pragnienia wymaga współpracy (którą nie wiemy, czy otrzymamy) ze strony drugiej osoby. Jeśli chcemy, żeby nasz mąż w bardziej przemyślany sposób wymierzał dzieciom karę, to jest to w pełni uzasadnione pragnienie, lecz niewłaściwy cel. Żona może wprawdzie wpłynąć na męża, by traktował dzieci łagodniej, lecz nie leży w jej mocy spowodować, żeby on się zmienił. Być może uda jej się zwiększyć prawdopodobieństwo, że stanie się on rozsądniejszy, ale nie może zmusić go do tego, by inaczej się zachowywał. Jeśli celem jej jest zmienić go, to próbuje ona osiągnąć coś, co w ogóle nie leży w jej możliwościach. Kiedy wytycza ona swoje cele, powinna myśleć o swoim postępowaniu wobec niego, a nie o jego postępowaniu wobec kogokolwiek. To, jak on traktuje dzieci, musi na zawsze pozostać dla niej w sferze pragnień.

To, czy uznajemy coś za nasz cel, czy za pragnienie, ma ogromny wpływ na to, jak postąpimy. Moim marzeniem może być, żeby dziś po południu spadł deszcz. Ponieważ nie mam na to wpływu, jest to tylko moim pragnieniem. Dlatego też nie będę podejmował bezsensownych wysiłków, by sprawić deszcz. Nie możemy nigdy zagwarantować, że nasze pragnienia zostaną spełnione. Jedyne, co możemy zrobić, to modlić się, aby Ten, który ma wszelką moc sprawił, że spełni się nasze marzenie. Jeśli obiorę sobie za cel to, żeby padało, będę starał się znaleźć sposób, by cel ten zrealizować. Ale ponieważ nie mam żadnego wpływu na to, czy pada deszcz, wyjdę z tego jedynie sfrustrowany i zły.

Natomiast właściwy cel mogę zrealizować moim własnym wysiłkiem. Dlatego moim zadaniem jest tak działać, by cel ten osiągnąć. Być może nie

mam ochoty zrobić tego, czego wymaga osiągnięcie mego celu, ale mogę to zrobić, jeśli zechcę. Ogródek przed moim domem jest na przykład wyschnięty. Pragnę, żeby padało, ale moim celem jest podlać ogródek. Mogę zdecydować się kupić polewaczkę, żeby go podlać. Być może nie mam ochoty pójść do sklepu, ani wydawać pieniądze, ale zakładając, że mam czas i pieniądze, mogę postanowić zrobić to, jeśli chcę osiągnąć mój cel.

Tak więc, odpowiednią reakcją na pragnienie jest modlitwa. Właściwym podejściem do obranego przez nas celu jest *odpowiedzialne działanie*. Jeśli nie rozróżnimy naszych celów od naszych pragnień, nasza reakcja będzie niewłaściwa. Wiele ludzi modli się o swe cele („Panie, spraw, żebym uprzejmie odnosił się do mojej żony”), a dąży do realizacji swych pragnień („Kochanie, czy możesz dać mi spokój?”). Powinniśmy zapamiętać zasadę: *Módl się o spełnienie Twoich pragnień, a staraj się o zrealizowanie Twoich celów*.

Ponieważ rozróżnienie, czy coś jest naszym celem, czy pragnieniem jest zarówno bardzo ważne, jak i bardzo trudne, powinniśmy jeszcze bardziej się na to wyczulić. Przypuśćmy, że bardzo czegoś chcemy. Jeśli jest to pragnienie, to zaczniemy się o to modlić. Jeśli jest to cel, weźmiemy się do roboty i zrealizujemy go. Aby rozróżnić, czy coś jest celem, czy pragnieniem, pomocne jest zadanie sobie dwóch pytań:

1. Co chciałbym osiągnąć?
2. Czy osiągnięcie tego zależy wyłącznie od moich własnych starań i nie wymaga niczyjej współpracy?

Jeśli odpowiedź na drugie pytanie brzmi „tak”, to jest to właściwym celem, a nie pragnieniem. Jeśli odpowiedź brzmi „nie”, to nie można uznać tego za cel, który powinniśmy starać się zrealizować. Jest to pragnienie, o którego spełnienie możesz się modlić.

Rozważmy następujące przykłady. Każde z tych zdań stanowi odpowiedź na pierwsze pytanie, „Co chciałbym osiągnąć?” Spróbujmy określić, czy chodzi tu o cel, czy o pragnienie zadając sobie drugie pytanie, „Czy osiągnięcie tego zależy ode mnie?”

1. Chciałbym, żeby mój mąż rozumiał, co ja czuję.
2. Tak bardzo bym chciał, żeby do mojej żony dotarło to, że ją kocham. Ona jest taka niepewna siebie.
3. Wróciłabym do mego męża, gdyby był bardziej kochający.
4. Bardzo bym chciała czuć większy pociąg seksualny do mego męża. Nie mam w ogóle ochoty na seks.
5. Muszę zarobić więcej pieniędzy, tak, żeby zapewnić lepszy poziom życia mojej rodzinie.
6. Chciałbym, żeby Bóg użył moją żonę i mnie do tego, by w tym roku przynajmniej jeden z naszych sąsiadów poznał Chrystusa.

Każde z tych stwierdzeń jest pragnieniem, a nie celem. W żadnym z przykładów dana osoba nie może dać gwarancji, że osiągnie to, czego pragnie.

Następna grupa zdań ukazuje, jak w tych samych sytuacjach pragnienie zostało zastąpione celem.

1. Napiszę list do mego męża i opiszę to, co czuję. Mam nadzieję, że mnie zrozumie (*pragnienie*), ale w każdym razie spróbuję wyrazić się jak najbardziej jasno i zrozumiale (*cel*).
2. Moja żona jest taka niepewna siebie. Choć nie mam pewności, czy ona poczuje się kochana (*pragnienie*), spróbuję wymyślić pięć rzeczy, które mogę zrobić w tym tygodniu i które jak sądzę, będą wyrazem mojej miłości dla niej, i wykonam je (*cel*).
3. Umieram ze strachu na samą myśl powrotu do mego męża. Jeśli on się nie zmieni, nie wiem, czy to wytrzymam (*pragnienie*). Ale ponieważ wierzę, że Bóg każe mi żyć z nim jak z mężem, powrócę do niego i będę starała się być jak najlepszą żoną (*cel*).
4. Bardzo bym chciała czuć większy pociąg seksualny do mego męża (*pragnienie*), ale ponieważ nie mam na to bezpośredniego wpływu, czy czuję pociąg seksualny, czy nie, zbadam, czy nie żywię jakiejś urazy lub żalu do mego męża, będę szukać okazji, by okazać mu moją życzliwość i będę podchodzić do niego z coraz większą czułością (*cel*).
5. Przy tej inflacji i wysokich cenach wszystkiego przydałoby się mojej rodzinie więcej pieniędzy (*pragnienie*). Spróbuję znaleźć inną pracę. Wezmę nadgodziny, zasięgnę porady doradcy finansowego i codziennie poświęcę dziesięć minut na modlitwę o naszą sytuację finansową (*cel*).
6. Bardzo bym chciał pozyskiwać ludzi z naszego sąsiedztwa dla Boga (*pragnienie*). Wezmę więc udział w kursie ewangelizacji przy naszym kościele i postaram się zawrzeć znajomość z przynajmniej jednym sąsiadem, którego jeszcze nie znam (*cel*).

Wydaje się oczywiste, że realizacja *celu* w każdym z tych przykładów zwiększa prawdopodobieństwo tego, że spełnione będzie *pragnienie*. Jeśli mężczyzna z przykładu 5 weźmie nadgodziny (*cel*), to prawdopodobne jest, że powiększy swe dochody (*pragnienie*). Nie ma w tym, oczywiście, nic złego, by wytrwale pracować dla spełnienia naszych pragnień, ale umysł nasz nie może być nigdy bez reszty pochłonięty realizacją pragnień. Biblia nakazuje nam szukać najpierw Królestwa Bożego, gromadzić sobie skarby w niebie - innymi słowy, nastawiać nasze serca na to, by przysparzać chwały Bogu, służyć Mu i coraz bardziej upodabniać się do Chrystusa. Dzięki uzdalniającej nas łasce Bożej cel ten leży w zasięgu naszych możliwości bez względu na to, w jakiej sytuacji się znajdujemy.

Paweł pisał, że poznał tajemnicę wewnętrznego zadowolenia (Fil. 4,10-13). Czy okoliczności, w jakich się znajdował, były przyjemne, czy przykre, wiedział, jak być zadowolonym. Odkrytą przez niego tajemnicę zawiera werset

trzynasty: „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia”. *Celem* Pawła było podobać się Panu, stawać się coraz bardziej podobnym do swego Mistrza. Nic dziwnego więc, że wśród jego *pragnień* była wolność przemawiania w kościołach, które ukochał, doświadczanie wspólnoty z braćmi i siostrami w Chrystusie i korzystanie z pewnych fizycznych wygod. Ale niezależnie od tego, czy jego pragnienia zostały spełnione, czy nie, zawsze mógł realizować to, co postawił sobie za cel - życie dla Boga - i dlatego też był zadowolony.

KIEDY POWINNIŚMY POWIEDZIEĆ NASZYM PARTNEROM CO CZUJEMY?

Teraz, kiedy znamy już pojęcia celu i pragnienia, możemy dać właściwą odpowiedź na podstawowe pytanie tego rozdziału: Kiedy powinniśmy wyrazić swoje uczucia wobec naszych mężów i żon?

Przypomnijmy sobie zasadę, którą ilustruje doświadczenie Ezechiela: Najpierw uznaj uczucia, jakich doświadczasz przed samym sobą i przed Bogiem, a następnie uzależnij wyrażenie tych uczuć od Bożych zamiarów. Stwierdziliśmy już, że dla ludzi żyjących w małżeństwie biblijnym celem powinno być służenie swemu partnerowi. Tak więc służba staje się *celem*. Ale ponieważ możemy pełniej odczuwać naszą osobową wartość, kiedy nasz partner nam służy, bardzo chcemy, żeby on nas kochał i szanował. Wiadomo, że nikt nie ma kontroli nad tym, jak traktuje go jego towarzysz życia. Musimy więc uznać tę chęć, by nasz partner nas kochał i szanował, za *pragnienie*. Jest to coś, o co mogę się tylko modlić.

Zalóżmy, że pomyłę ze sobą moje cele i pragnienia, tak, jak wiele - być może większość - małżonków często robi. Stawiam sobie za *cel* to, by moja żona powitała mnie ciepło, kiedy wracam do domu po ciężkim dniu pracy. Jeśli u drzwi spotkam nachmurzoną kobietę, która ze złością pyta, czemu się spóźniłem, to mój cel jest zablokowany. Czuję złość. Powinienem powiedzieć mojej żonie o tej złości, czy nie? Gdybym na jej wrogie powitanie odpowiedział okazaniem mojej irytacji („Po ciężkim dniu pracy nie pogniewałbym się za jakieś miłsze słowo!”), moim *celem* byłoby w tym momencie wzięcie odwetu, lub powstrzymanie jej od narzekania, lub wytworzenie w niej takiego poczucia winy, żeby zmieniła swe postępowanie. Żadna z tych motywacji nie da się pogodzić ze służeniem. Są one manipulacyjne i dlatego grzeszne.

Co mam zrobić z moją złością? Rozważmy następujące działania:

Krok 1:

Nie bądź skory do gniewu. Pismo napomina nas w wielu miejscach, byśmy zachowywali ostrożność kiedy czujemy złość. Łatwo jest okazać naszą irytację od razu, z niewłaściwą motywacją i przez to zgrzeszyć.

Krok 2:

Uznaj swój gniew. Choć powinienem się strzec natychmiastowego, niekontrolowanego okazania złości, nie powinienem udawać, że uczucie to nie istnieje.

Krok 3:

Pomyśl, jakie są Twoje cele. Muszę zdawać sobie sprawę z tego, że złość jest zwykle wynikiem zablokowania jakiego celu. Powinienem zadać sobie pytanie, co chcę osiągnąć. Jeśli mój partner jest w stanie to uniemożliwić, to znaczy, że nie powinno to być w ogóle stać się moim celem. Muszę to więc uznać nie za cel, lecz za pragnienie („Mam nadzieję, że ona powita mnie ciepło”) i odnowić moje postanowienie służenia jej.

Krok 4:

Wyznacz sobie właściwy cel. Aby zrealizować moje postanowienie, muszę pomyśleć, jakie działanie mogę podjąć, by służyć mojej żonie. Służenie ma zawsze pierwszeństwo przed dzieleniem się urazą spowodowaną pokrzyżowaniem moich planów. Może mógłbym wyrazić zrozumienie dla jej irytacji („Kochanie, rozumiem, że jesteś na mnie zła, bo pomieszałem twoje plany dotyczące obiadu”) i okazać uznanie dla jej ciężkiej pracy („Jestem ci bardzo wdzięczny za to ile pracy wkładasz w gotowanie posiłków, pranie i wszystkie inne zajęcia domowe”).

Krok 5:

*Okaż negatywne uczucia, jeśli służy to dobremu celowi.*³ Na tym etapie (niezależnie od tego, czy jest to dwie minuty, czy dwie godziny później) mogę powiedzieć żonie, że zyrutowałem się, kiedy tak mnie powitała u drzwi. Jeśli jestem świadomy powstałej we mnie goryczy, muszę jej o tym powiedzieć po to, aby usunąć wszelki mur obronny, jaki stworzył mój gniew. Mogę także wyrazić swój gniew, jeśli sądzę, że przez to będzie ona mogła lepiej zrozumieć, jaki wpływ ma na mnie jej zachowanie. Jeśli ona chce mi służyć (czego pragnę), to mówienie jej o moich uczuciach w momencie, gdy ona w określony sposób się zachowała, pomoże jej lepiej zrealizować jej cel służenia.

Jeśli okażę moje negatywne uczucia po zrobieniu kroków 1-4, w tym celu, aby gorycz nie mogła zapuścić korzeni, lub aby moja żona lepiej mogła mnie zrozumieć (także moje słabe punkty), to wtedy wyrażenie uczuć może być uznane za służbę. Być może moja żona będzie nadal gniewała się na mnie za to spóźnienie. Może skazać mnie na wieczór pełnej wrogości ciszy, lub nieustannych narzekania. Nie mam wpływu na to, co ona robi. Jeśli odpowie ciągłą złością, postąpi niewłaściwie i zgrzeszy, a ja będę czuł się urażony i zły. Ale muszę nadal zachować gotowość służenia jej. Moim celem, kiedy mówię jej, co czuję, nigdy nie może być zemsta, ani chęć, by ją zmienić.

PODSUMOWANIE

Ponieważ nasze potrzeby zaspokojone są w Chrystusie, możemy uważać małżeństwo nie za miejsce zaspokojenia naszych potrzeb, ale za wyjątkową możliwość pomocy drugiemu człowiekowi, by stał się w pełni świadomy Bożej miłości i planów względem niego. Naszym celem w małżeństwie musi być służenie naszemu towarzyszowi życia. Ponieważ jednak pragniemy, żeby nasz partner nam służył, nie unikniemy uczucia bólu, kiedy zareaguje on inaczej, niż byśmy chcieli. Problemy w porozumiewaniu się zwykle wynikają z pomieszania naszych celów i pragnień. To, czego pragniemy od naszego partnera, staje się naszym celem. Domagamy się, aby nasz partner traktował nas w określony sposób, a kiedy to nie następuje, okazujemy mu nasze negatywne uczucia żeby wziąć odwet, lub żeby go zmienić.

Aby osiągnąć takie porozumiewanie się, które prowadzi do Jedności Duszy, musimy wciąż na nowo stawiać sobie za cel *służenie naszemu partnerowi* i uważać, by nasze pragnienie, by *on nam służył* nie stało się naszym celem. Możemy powiedzieć naszemu mężowi lub żonie o naszych negatywnych uczuciach dopiero wtedy, gdy jesteśmy pewni, że mamy na oku właściwe cele i że nasze uczucia wynikają z niespełnionych pragnień. Okazywanie negatywnych uczuć wynikłych z zablokowanych celów nigdy nie jest właściwe. Cel, który mój partner może zablokować, jest niewłaściwym celem. Moim celem powinno być podobać się Bogu przez służenie mojemu partnerowi. Z tym mocno utwierdzonym celem i z gotowością realizowania go - co przejawia się pełnym miłości nastawieniem i zachowaniem - mogę wyrazić swoje negatywne uczucia, które powstają kiedy mój mąż lub żona uniemożliwia spełnienie mego pragnienia.

Pozostała część tego rozdziału zawiera ćwiczenie mające na celu rozwijanie umiejętności takiego reagowania na uczucia naszego partnera, które zwiększa Jedność Duszy.

ĆWICZENIE W KOMUNIKOWANIU SIĘ

Jak reagować, kiedy nasz partner dzieli się swymi uczuciami

Jedną z najważniejszych rzeczy, jakiej musimy się nauczyć, jeśli chcemy rozwijać efektywne porozumiewanie się, jest umiejętność dawania naszemu partnerowi *poczucia, że jest akceptowany*, kiedy dzieli się z nami swymi uczuciami. Paweł nakazuje nam przygarniać się nawzajem tak, jak i Chrystus nas przygarnął (Rzym. 15,7). A Chrystus akceptuje nas takimi, jacy jesteśmy (Rzym. 5,8) i nie potępia nas (Rzym. 8,1), wysłuchując naszych skarg, rozumiejąc i szczerze przejmując się naszymi zmaganiem (Hebr. 4,15), dlatego też możemy przybliżyć się do Niego bez obawy i otworzyć przed Nim swe wnętrza (Hebr. 4,16).

A jednak w małżeństwie, które powinno być przecież wspaniałą lekcją poglądową o relacji Chrystusa i Kościoła, jakże często nie akceptujemy się

wzajemnie takimi, jakimi jesteśmy! Iluż to małżonków myślało nieraz w duszy: „Nie mogę w żaden sposób powiedzieć mojej żonie, co myślę o naszym życiu seksualnym, czy o moich obawach o nasze finanse, czy jak się czuję kiedy jestem poniżony. Za każdym razem, gdy próbuję się otworzyć i szczerze powiedzieć co czuję, zostaję tylko na nowo zraniony”.

Wielu z nas nie uświadamia sobie ile jest sposobów okazania krytyki, nietolerancji, czy niewrażliwości, kiedy nasz partner mówi nam o swoich uczuciach. Za każdym razem, kiedy negatywnie zareagujemy, nasz partner czuje się urażony i ukrywa się za jakąkolwiek maską, która chroni go przed nową urazą - i rozwój jedności zostaje zahamowany. Następujące ćwiczenie ma na celu pomóc Ci nauczyć się jak reagować na uczucia Twego męża lub żony w taki sposób, żeby wzrastało poczucie ciepła, zrozumienia i bliskości. Dobrze by było, gdyby małżonkowie wykonali to ćwiczenie razem.

Istnieją dwie główne kategorie reakcji na uczucia naszego partnera. Możemy je *zaakceptować*, lub *odrzuć*. Choć uczucia nie są najbardziej centralną częścią naszej osobowości, są one być może częścią najbardziej delikatną. Kiedy Twój partner mówi Ci, co on lub ona czuje, musisz podejść do tych uczuć ostrożnie, tak, jak ostrożnie wzięłbyś nowonarodzone niemowlę z rąk jego rozpromienionej matki. Jakże często małżonkowie obchodzą się z uczuciami drugiego z taką samą ostrożnością, jaką okazaliby, gdyby ktoś wręczył im kubek śmieci mówiąc: „Masz, wyrzuć to gdzieś”.

Prześledź przebieg następujących rozmów pomiędzy mężem a żoną, w których jedno z nich dzieli się jakimś uczuciem, a drugie reaguje na to. W każdym z tych przykładów spróbuj określić, czy partner, który odpowiada (druga wypowiedź) rzeczywiście komunikuje akceptację tego uczucia. Jeśli tak jest, to zakreśl kółko przy słowie „akceptuje”, które znajduje się poniżej. Zakreśl kółko przy „odrzuca”, jeśli sądzisz, że odpowiedź stanowi w jakiś sposób odrzucenie tego uczucia. Pamiętaj, że kiedy ktoś rzeczywiście akceptuje twoje uczucia, to czujesz się *zrozumiany* i *szanowany* i jesteś skłonny dzielić się dalej.

Rozmowa 1

Żona: Wczoraj wieczorem czułam się naprawdę urażona, ponieważ wydawało mi się, że domagasz się ode mnie współżycia bez względu na to, czy ja mam na to ochotę, czy nie. Po prostu wydawało mi się, że ja nie jestem dla ciebie zbyt ważna.

Mąż: Ależ kochanie, ja naprawdę nie miałem zamiaru do niczego cię zmuszać. Myślałem, że sama chcesz tego.

Akceptuje

Odrzuca

Rozmowa 2

Mąż: Wczorajszego wieczoru podczas studium biblijnego, kiedy powiedziałem, co według mnie znaczy ten werset, ty skrzywiłaś się i powiedziałaś: „O, nie sędzę, żeby takie było jego znaczenie”. Miałem ochotę wyjść z pokoju i nigdy już tam nie wrócić. Wciąż jeszcze jestem wściekły!

Żona: Och, przepraszam cię, kochanie, strasznie mi przykro, że tak się wobec ciebie zachowałam.

Akceptuje Odrzuca

Rozmowa 3

Żona: Za każdym razem kiedy robisz jakąś uwagę na temat mojej wagi, czuję się tak podle, że mam ochotę tylko jeszcze więcej jeść. Zwłaszcza kiedy mówisz to przy innych. Czuję się zupełnie zdruzgotana kiedy tylko wspomnisz o mojej otyłości. Już samo to, że mam nadwagę jest dla mnie wystarczająco przykre.

Mąż: Myślę, że czasami mówię coś takiego tylko po to żeby wyrównać rachunek za twoje uwagi o naszej sytuacji finansowej. Kiedy opowiadasz ludziom, że jeździmy naszym starym gratem, bo nie możemy sobie pozwolić na nowy samochód, to czuję, że mierzy to we mnie i ogarnia mnie wściekłość!

Akceptuje Odrzuca

Rozmowa 4

Mąż: Wiesz, tak bardzo przygniatają mnie te wszystkie trudności w pracy. Mam już serdecznie dosyć chodzenia do tej pracy. Przez cały dzień nie robię nic innego, tylko zamartwiam się czy w ogóle zdołam coś zarobić. Mam już dość tych napięć.

Żona: Najdroższy, może powinieneś poszukać jakiejś prcy, w której nie ma tyle napięć.

Akceptuje Odrzuca

Rozmowa 5

Żona: Jutro mam wystąpić na zebraniu naszego kobiecego stowarzyszenia i zdać sprawozdanie z realizacji naszego projektu. Jestem jednym kłębkim nerwów kiedy tylko o tym pomyślę.

Mąż: Kochanie, na pewno pójdzie wspaniale. Zawsze denerwujesz się przed czymś takim i zawsze wypada to pierwszorzędnie. Nie masz się o co martwić.

Akceptuje Odrzuca

Rozmowa 6

Mąż: Czuję się naprawdę winny, że tyle czasu spędzam z dala od rodziny. Już od wielu miesięcy nie usiadłem z tobą i z dziećmi do jakiejś zabawy.

Żona: Myślę, że tak naprawdę chodzi o to, że za bardzo martwisz się o naszą sytuację finansową. To każe ci tak wiele pracować. My wszyscy wolelibyśmy mieć mniej pieniędzy a więcej ciebie.

Akceptuje Odrzuca

A teraz przeczytaj jeszcze raz treść rozmowy 1. Częstym sposobem odrzucenia czyjegoś uczucia jest *obrona* lub *wyjaśnienie* swego postępowania, kiedy Twój partner mówi Ci co on lub ona czuje. Skutkiem tego jest zwrócenie uwagi na *Twoje* uczucia a nie na uczucia Twego partnera. Mąż w rozmowie pierwszej odrzucił uczucia swej żony.

Przyjrzyjmy się raz jeszcze rozmowie 2. Zbyt szybko *przeprosiny*, wypowiedziane zanim Twój partner mógł przekonać się, że rozumiesz uczucie jakim się z Tobą podzielił, zwykle niewiele znaczą. Sprowadzają się do tego samego, co powiedzenie: „nie chcę dłużej o tym rozmawiać i nie mam ochoty słuchać jak bardzo Cię uraziłem. Może pośpieszne przeprosiny zakończą tę bolesną rozmowę.” „Odrzuca” powinno być zakreślone przy drugiej rozmowie.

W rozmowie 3 odpowiadający mąż odrzucił uczucia swej żony posługując się może najbardziej klasyczną metodą: atakiem. Jeśli Twoja żona mówi Ci, jak sprawiłeś jej przykrość, to poinformowanie jej o tym, jak ona sprawiła Ci przykrość, jest subtelny ale bardzo skutecznym i niszczącym atakiem. Skutkiem tego będzie albo długa i zażarta seria kontrataków, albo wycofanie się w chłodne milczenie. Mąż w tym przykładzie odrzucił w oczywisty sposób uczucia swej żony.

Rozważmy rozmowę 4. Kiedy Twój partner dzieli się z Tobą swoją troską, nie podsuwaj mu od razu dobrej rady. Zniechęcony mąż pragnął zachęty ze strony żony, która, go szanuje, a nie dobrych pomysłów doradcy, który sądził, że potrzebuje on „pomocy”. Pełne jak najlepszych intencji żony często podsuwają dobre rady zmartwionym mężom, nie zdając sobie sprawy z tego, że w uszach męża brzmi to, jak „Posłuchaj no, słabeuszu, powiem Ci jak to rozwiązać, bo widzę, że robisz z tego jeden wielki bałagan!” Zakreśl „odrzuca” przy czwartej rozmowie.

Przeczytaj jeszcze raz rozmowę 5. Kiedy Twój partner dzieli się z Tobą jakimś uczuciem, nie mów mu nigdy, że nie powinien tak „się czuć”. Nawet jeśli chcesz dodać mu odwagi, nakazanie komuś by nie czuł tego, co właśnie Ci powiedział, że czuje, zostaje często odebrane jako lekceważenie. Powinniśmy unikać takich zdań, jak „Kochanie, nie powinieneś tak się czuć” czy „Nie ma żadnego powodu, by tak się martwić (czuć się urażonym, itd.)” Osoba odpowiadająca w piątej rozmowie odrzuciła uczucia żony.

W końcu zastanówmy się nad rozmową 6. Jeszcze innym skutecznym, choć subtelnym sposobem odrzucenia czyichś uczuć jest poprawienie jego lub jej punktu widzenia na sprawę, która jest źródłem danego uczucia. Jeśli mówimy tej osobie na czym ten problem „tak naprawdę polega” i co on lub ona powinna w związku z tym czuć, nie okazujemy akceptacji. Na pewnym etapie może być, oczywiście, konieczne zasugerowanie właściwego spojrzenia na sprawę, lecz jeśli robimy to od razu, gdy uczucie zostało wyrażone, to komunikujemy jego odrzucenie. Raz jeszcze, szósta rozmowa ilustruje technikę odrzucenia uczuć.

Proponuję teraz, żeby każda para małżeńska czytająca to ćwiczenie wzięła kartkę papieru i ołówek. Mężowie, przeczytajcie jeszcze raz, jakie uczucia zostały przekazane przez żonę w rozmowie 1, 3 i 5. Napiszcie taką odpowiedź na każde z nich, jaka według was komunikuje akceptację tego uczucia. Żony, zróbcie to samo przy rozmowie 2, 4 i 6.

Kiedy skończycie zapisywanie odpowiedzi, dajcie kartki papieru swym partnerom. Mężowie, zdecydujcie, czy odpowiedź zapisana przez Waszą żonę pomogłaby Wam czuć się akceptowanymi, gdybyście Wy byli w takiej sytuacji. Żony, oceńcie, czy czułybyście się zaakceptowane, gdyby Wasz mąż odpowiedział Wam zdaniem, które przed chwilą napisał. Zapiszcie słowo „akceptuje”, lub „odrzuca” przy odpowiedziach swych partnerów w zależności od tego, jak byście się czuli. Porozmawiajcie ze sobą o tym, dlaczego tak właśnie oceniliście te odpowiedzi.

Na zakończenie ćwiczenia przeczytajcie następujące rozmowy. Każda z nich zaczyna się od tego, że dana osoba dzieli się tym samym uczuciem, jak w poprzednich przykładach. Tylko teraz druga osoba odpowiada słowami, które najprawdopodobniej wyrażałyby akceptację tego uczucia. Porównaj odrzucające odpowiedzi w pierwszych rozmowach z akceptującymi w drugich.

Rozmowa 1

Żona: Wczoraj wieczorem czułam się naprawdę urażona, ponieważ wydawało mi się, że domagasz się ode mnie współzicia bez względu na to, czy ja mam na to ochotę, czy nie. Po prostu wydawało mi się, że ja nie jestem dla ciebie zbyt ważna.

Mąż: Widzę, że w Twoich oczach moje zachowanie było rzeczywiście egoistyczne, tak, jakby obchodziło mnie tylko to, czego ja chcę.

Dobrym sposobem zaakceptowania uczucia jest udawać, że jesteśmy lustrem odzwierciedlającym uczucie, którym dzieli się druga osoba.

Rozmowa 2

Mąż: Wczorajszego wieczoru na studium biblijnym kiedy powiedziałem, co według mnie znaczy ten werset, ty skrzywiłaś się i powiedziałaś: „O, nie sądzę, żeby takie było jego

znaczenie". Miałem ochotę wyjść z pokoju i nigdy już tam nie wrócić. Wciąż jeszcze jestem wściekły!

Żona: Nie jestem całkiem pewna, czy rozumiem, czemu wpadłeś w gniew. Czy miałeś uczucie, że chciałam cię poniżyć?

Zawsze słuchaj uważnie tego, co mówi Twój partner. Jeśli nie jesteś pewien, że dobrze go rozumiałeś, staraj się *wybadać*, co Twój partner chce wyrazić zadając mu pytania. Najprawdopodobniej zrozumie przez to, że rzeczywiście chcesz wiedzieć co on lub ona czuje.

Rozmowa 3

Żona: Za każdym razem, kiedy robisz jakąś uwagę na temat mojej wagi, czuję się tak podle, że mam ochotę tylko jeszcze więcej jeść. Zwłaszcza kiedy mówisz to przy innych. Czuję się zupełnie zdruzgotana kiedy tylko wspomnisz o mojej otyłości. Już samo to, że mam nadwagę jest dla mnie wystarczająco przykre.

Mąż: Kochanie, wydaje mi się, że czułaś się naprawdę urażona, bo wyglądało na to, że ja nie akceptuję cię i nie kocham taką, jaka jesteś. Czy tak?

Jeszcze innym sposobem zaakceptowania uczucia jest *wyjaśnienie* tego, czym podzielił się Twój partner. Opisz to, co według Ciebie on lub ona czuje, a następnie zapytaj, czy dobrze to rozumiałeś.

Rozmowa 4

Mąż: Wiesz, tak bardzo przygniatają mnie te wszystkie trudności w pracy ... Mam już serdecznie dosyć chodzenia do tej pracy. Przez cały dzień nie robię nic innego, tylko zamartwiam się, czy w ogóle zdołam coś zarobić. Mam już dość tych napięć.

Żona: Kochanie, te napięcia są chyba naprawdę ciężkie do zniesienia. Pamiętam, że kiedyś powiedziałeś mi, że nie jest to praca, o jakiej marzyłeś. Zastanawiam się, czy może to, że musisz wykonywać tego rodzaju pracę, nie stanowi części problemu.

Czwartym sposobem akceptacji uczuć jest *rozwiniecie* tego, co usłyszeliśmy, nie zaprzeczenie temu, ale zasugerowanie innego uczucia, które może być związane z tym, co powiedział Twój partner.

Rozmowa 5

Żona: Jutro mam wystąpić na zebraniu naszego kobiecego stowarzyszenia i zdać sprawozdanie z realizacji naszego projektu. Jestem jednym kłębkiem nerwów, kiedy tylko o tym pomyślę.

Proponuję, żeby wszystkie *żony* czytające tę książkę napisały taką odpowiedź, która dałaby im poczucie akceptacji.

Rozmowa 6

Mąż: Czuję się naprawdę winny, że tyle czasu spędzam z dala od rodziny. Już od wielu miesięcy nie usiadłem z tobą i z dziećmi do jakiejś zabawy.

Chciałbym teraz prosić wszystkich *mężów*, żeby napisali taką odpowiedź, która pomogłaby im czuć się zaakceptowanym.

Poniższe zestawienie stanowi podsumowanie najważniejszych elementów, które występują w tym ćwiczeniu:

JAK REAGOWAĆ KIEDY NASZ PARTNER DZIELI SIĘ SWYMI UCZUCIAMI: KILKA WSKAZÓWEK

Sposoby odrzucenia uczuć

1. *Obrona/usprawiedliwienie się*
 „Powiedziałem to dlatego, że ...”
 „Miałem na myśli to, że ...”
2. *Przeprosiny*
 „Tak mi przykro, że ...”
 „Nie powinienem był powiedzieć, że ...”
3. *Atak*
 „Przyznaję, że źle postąpiłem, ale ty ...”
 „No, dobrze, może masz rację, ale nadal nie rozumiem, czemu ty ...”
4. *Rada*
 „Może powinienes ...”
 „Wydaje mi się, że gdybyś ...”
5. *Lekceważenie*
 „Naprawdę nie rozumiem, czemu masz odczucie, że ...”
 „Na miłość Boską, kochanie, nie ma żadnego powodu, by czuć się ...”
6. *Poprawienie*
 „Myślę, że tak naprawdę chcesz powiedzieć, że ...”
 „Nie sądzę, żebyś czuł ...”

Sposoby wyrażenia akceptacji uczuć

1. *Odzwierciedlenie*
 „Wydaje mi się, że czujesz ...”
 „Z pewnością czułeś się ... kiedy ...”
2. *Wyjaśnienie*
 „Czy chcesz powiedzieć, że ...?”
 „Zastanawiam się, czy nie czujesz ...?”

3. *Wybadanie*

„Nie jestem pewny co masz na myśli ...”

„Czy czujesz się tak przy jeszcze jakiejś innej okazji? Nie całkiem rozumiem co czujesz, kiedy ...”

4. *Rozwinięcie*

„Czułeś się naprawdę ... Czy czułeś się także ...?”

„Rozumiem, że czujesz się ... Na twoim miejscu czułbym też pewnie ... Czy ty też się tak czujesz?”

PRZYPISY

1. Książka *Responsible Assertive Behavior* zachęca nas, by wyrażać to, czego chcemy, ponieważ „... ludzie mają prawo 'chcieć' i zakładać, że inni będą respektować ich osobowe prawa” (str. 64). Autorzy przyznają jednak, że „kwestia pochodzenia ... osobowych praw pozostaje nierozwiązana. Czy któreś z tych praw jest niezaprzeczalne? Czy są one nam przyrodzone po prostu dlatego, że jesteśmy ludźmi? ... Na obecnym etapie, te podstawowe sprawy pozostają wciąż nierozwiązane”. Tak więc przyznają właściwie, że nie dysponują podstawą dla centralnej tezy swojej książki. A.J. Lange i P. Jakubowski, *Responsible Assertive Behavior* (Champaign, Ill.: Research Press, 1976).
2. *Effective Biblical Counseling* (Grand Rapids: Zondervan, 1977).
3. Jedną z najważniejszych form służenia sobie wzajemnie, jakiej możemy się nauczyć, jest reagowanie akceptacją (niekoniecznie przyznaniem racji), kiedy nasz partner mówi nam o swoich negatywnych uczuciach. Na końcu tego rozdziału znajduje się ćwiczenie, jakie zaprojektowałem, zatytułowane: „Jak reagować, kiedy nasz partner dzieli się swymi uczuciami”. Ma ono na celu sprecyzowanie właściwych, według mnie, reakcji.

5

Jedność Ciała

Cielesna przyjemność o osobowym znaczeniu

O ile złe porozumiewanie się otwiera listę bólów małżeńskich, to problemy seksualne idą zaraz po niej. W żadnej innej dziedzinie życia dysonanse między małżonkami nie manifestują się bardziej boleśnie, niż w sypialni. Oto parę przykładów kłopotów, z którymi na co dzień spotykam się w mojej praktyce poradniczej.

„Czuję się okropnie wykorzystywana przez mego męża. Kiedy chce współżycia, to oczekuje, że w jednej chwili będę gotowa. I nigdy nie poprzestanie na tym, by mnie po prostu przytulić do siebie. Zawsze kończy się to w sypialni. Przez to odsunęłam się od niego seksualnie”.

„Nie mogą zrozumieć czemu moja żona jest taka oziębła. Od czasu do czasu chcę ją przytulić i pocałować, ale w najlepszym wypadku jest mi w mechaniczny sposób powolna. Bardzo trudno jest w takiej sytuacji nie szukać zadowolenia gdzieś indziej. Nie rozumiem, czemu ona nie chce zaspokajać moich potrzeb seksualnych”.

„Myślę, że jeszcze nigdy nie miałam orgazmu. I jest to dla mnie coś okropnego! Czuję się strasznie oszukana kiedy widzę, jak mój mąż przeżywa szczytowanie. I co gorsze, nie mogę mu powiedzieć prawdy - udaję orgazm. Byłoby mu bardzo przykro, gdyby wiedział, że nie zadowala mnie”.

„Moja żona po prostu nie jest już dla mnie pociągająca. Ciągłe narzeka, rządzi się i jest gruba. Nigdy w życiu nie włożyłaby takich działających na wyobraźnię ciuszków, jakie ja lubię. Teraz to co ona nosi nic mnie już nie obchodzi. Przestałem już czynić starania, by mieć z nią dobrą relację seksualną”.

„Czy sądzi pan, że oralny seks jest czymś niewłaściwym? Mój mąż i ja mamy bardzo dobrą relację wzajemną, z wyjątkiem tej kwestii. On bardzo chce, żebym to robiła, ale ja czuję obrzydzenie na samą myśl o tym. On mówi, że gdybym go naprawdę kochała, to zechciałabym chociaż spróbować”.

„W naszym małżeństwie jest w zasadzie wszystko w porządku, ale nasze życie seksualne jest po prostu nie takie, jak trzeba. Żadne z nas nie ma z tym specjalnych trudności, tylko zawsze odkładamy to tak długo, aż jesteśmy całkiem wyczerpani i wtedy jest to jak spełnianie swego obowiązku. Po prostu nie ma w tym ani trochę romantyczności”.

Postaw się w położeniu doradcy. Co zrobiłbyś, żeby pomóc tym ludziom? Jakie problemy są źródłem tych kłopotów seksualnych: zła technika, niepewność siebie, zahamowania psychiczne, egoizm, różnice poziomu pociągu seksualnego? Co właściwie *powinna* para Chrześcijan przeżywać w zaciszu swej sypialni?

W poprzednich rozdziałach tej książki wysunąłem tezę, że bliska relacja pomiędzy mężem a żoną rozwija się w miarę, jak wzrasta *Jedność Ducha* - szukanie naszego bezpieczeństwa i wartości u Pana zamiast u naszego partnera, i *Jedność Duszy* - gotowość do zaspokajania potrzeb naszego partnera zamiast manipulowania nim, by zaspokajał nasze potrzeby.

Jedność w małżeństwie posiada jeszcze jeden aspekt. Aspekt ten często uważa się za centralny dla relacji małżeńskiej, lecz jest on na szczęście niezbędny do uzupełnienia biblijnego obrazu małżeńskiej jedności. Istota ludzka jest nie tylko *Duchem*, który jest w stanie nawiązać osobistą relację z Bogiem, oraz *Duszą*, która może nawiązywać relacje z innymi ludźmi, ale jest także *Ciałem*, fizyczną istotą wyposażoną w pięć zmysłów dla wchodzenia jako ciało w relację z innymi ciałami. Możemy *dotykać* ciał innych, *węchać* je, często *widzieć* i *słyszeć* jakie wydają dźwięki, a nawet je *posmakować*. Ludzie mogą oddziaływać wzajemnie na swoje ciała.

Tak, jak Bóg dał nam w swej łaskawości instrukcje co do naszych relacji osobowych, tak też przekazał nam szczególny plan co do naszych relacji fizycznych. Postępowanie według tego planu doprowadzi w rezultacie do dającej przyjemność i zadowolenie relacji seksualnej pomiędzy mężem a żoną. W tym rozdziale chciałbym najpierw wyjaśnić czym jest Jedność Ciała, a następnie jak można ją rozwijać.

JEDNOŚĆ CIAŁA A SEKS DLA ZABAWY

Pary małżeńskie, które szukają porady z powodu trudności seksualnych, często chcą mniej, niż Bóg dla nich przygotował. Bardzo często zdarza się, że mężczyzna nie chce nic więcej, niż nauczyć się kontrolowania wytrysku, a kobieta wyraża pragnienie częstszych orgazmów. Najbardziej typowym życzeniem jest to, by pomóc im w zmniejszeniu napięć w sypialni i znalezienie jakiegoś sposobu, żeby obydwójce partnerzy z radością oczekiwali współżycia seksualnego i z przyjemnością je przeżywali.

Kiedy czytam taką romantyczną opowieść, jak *Pieśń nad Pieśniami* i rozmyślam nad zamierzonym bogactwem małżeńskiego zjednoczenia - tak

wielkim, że służy za żywą ilustrację więzi pomiędzy Chrystusem a Jego oblubienicą - nic na to nie mogę poradzić, że uważam, że pary chrześcijańskie okpiwają same siebie kiedy nie chcą w swej relacji seksualnej niczego więcej niż tylko więcej przyjemności a mniej frustracji. Nie mówię, że mamy dążyć do czegoś w rodzaju „uduchowionego seksu” pozbawionego czysto zmysłowej przyjemności, ale wierzę, że nasza struktura seksualna umożliwia nam o wiele więcej, niż naprawdę dobre szczytowanie. Taplanie się w kałuży, gdy Bóg daje nam ocean, nie jest żadnym szlachetnym samowyrzeczeniem. Jest to gorsze niż głupota. Nie tylko okrada nas to z przeznaczonego dla nas błogosławieństwa, ale okrada też Boga z chwały i radości dawania.

Chciałbym to bliżej wyjaśnić wprowadzając rozróżnienie pomiędzy Jednością Ciała a tym, co nazywam „sekssem dla zabawy”. Według swego zwyczaju, szatan sfałszował to, co Bóg daje prawdziwym Chrześcijanom. Powszechnie wiadomo - a poświadczają to doświadczenia tysięcy ludzi - że do osiągnięcia przyjemności seksualnej potrzebne jest jedynie, by dwa współpracujące ciała przyjęły właściwą pozycję. Nie jest konieczna żadna więź emocjonalna pomiędzy tymi dwoma osobami. Pewien mężczyzna powiedział mi raz, że kiedy był w wojsku, miał relacje seksualne z dziesiątkami kobiet i nigdy nie wiedział nawet jak choć jedna z nich ma na imię. A mimo to, sam seks dawał mu fizyczną przyjemność. Kiedy nazywam czysto fizyczną przyjemność seksem dla zabawy, to tylko po to, by wykazać jej kontrast ze sfrustrowanym, znudzonym, pełnym napięcia seksem. W żadnym wypadku nie twierdzę, że tylko grzeszny seks może być przyjemny.

Jedność Ciała jest różna od seksu dla zabawy - i lepsza. Wyrażenia tego używam dla określenia fizycznej relacji, jaka może istnieć pomiędzy dwojgiem Chrześcijan, którzy przekonali się w praktyce czym jest Jedność Ducha i Duszy. Najprościej można to rozróżnienie tak sformułować: seks dla zabawy daje fizyczną przyjemność bez właściwego aspektu osobowego; Jedność Ciała daje fizyczną przyjemność o osobowym znaczeniu. Te dwa pojęcia chciałbym teraz rozwinąć.

Seks dla zabawy

Z naszym popędem płciowym coś jest nie tak. Nasze naturalne pragnienie erotycznej przyjemności stało się ślepym tyranem domagającym się zaspokojenia i nie oglądającym się ani na jakiekolwiek granice, ani na konsekwencje. Zrujnowane reputacje, rozbite relacje, przedwcześnie zakończone posługiwanie duszpasterskie - żadna cena nie wydaje się być zbyt wysoka w zamian za przyjemność seksualną. Czemu? Dlaczego biologiczne pragnienie seksualnej rozkoszy stało się despotycznym tyranem zmuszającym ludzi do lekceważenia Bożych norm?

Jednym z ogromnych błędów naszych czasów jest coraz bardziej powszechne przekonanie, że człowiek jest tylko złożoną, posiadającą samoświadomość strukturą fizycznej materii, zbiorem związków chemicznych, które powstają w okresie ciąży, a rozkładają się po śmierci. Takie słowa, jak

„dusza”, czy „duch” odarte są z wszelkiego konkretnego znaczenia i służą tylko jako inspirujące elementy krasomówcze dla wytwornego określenia jak działa machina ludzka. Nie istnieje nic z wyjątkiem materii - kości, narządów, skóry i włosów.

Ruch zwany „ruchem ludzkiego potencjału” słusznie zbuntował się przeciwko podobnej dehumanizującej teorii, twierdząc, że człowiek jest czymś więcej niż tylko śmiertelnym ciałem. Jesteśmy osobami - mówią humaniści - prawdziwymi osobami, których znaczenie i wartość nie może być zredukowana tylko do naszej materialnej natury.

Do wielu z nas przemawia w jakiś sposób twierdzenie, że jesteśmy czymś więcej, niż maszynami. Duża część społeczeństwa może uważać płód jedynie za kawałek tkanki, ale jakoś nie możemy zgodzić się z twierdzeniem, że gaworzące dziecko w naszych ramionach jest po prostu emocjonalną, ruchliwą maszyną. Okazuje się, że o ludziach - a przynajmniej o tych, których lubimy czy cenimy - chcemy raczej myśleć jak o osobach, a nie maszynach.

Stwarza to jednak pewien problem. Jeśli odrzucimy - jak większość humanistów - wiarę w to, że życie bierze swój początek od osobowego Stwórcy, to wszelkie twierdzenia, że człowiek jest czymś więcej, niż bezosobową, złożoną maszyną, są jedynie przyjemnym złudzeniem. Oczekiwanie, by coś bezosobowego zrodziło coś, co jest osobowe, ma tak samo mało sensu, jak oczekiwanie, że skała ożyje i zamieni się w psa. Szaleństwem jest mówić o wartości osobowej ludzi bez żyjącego, osobowego Boga, który jest początkiem wszystkiego.

Jeśli wykluczymy Boga z naszego myślenia, to nie mamy ani żadnej podstawy, by uważać się za istoty w pełni osobowe (więcej niż ciała), ani środków, by zaspokajać nasze osobowe potrzeby. Jeśli nie jesteśmy niczym więcej, niż fizycznymi maszynami, to nie mamy właściwie żadnych potrzeb osobowych.

A jeśli rzeczywiście jesteśmy tylko ciałami? Wtedy chyba najlepsze, co można z ciałem zrobić, to zapewnić mu subiektywnie przyjemne odczucia. Nazywamy to „creature comforts”: smakowite jedzenie, wino, które nas rozwesela, wygodne materace, luksusowe samochody, które dają nam poczucie dumy i zadowolenia, kiedy podwozimy nimi naszych przyjaciół, lokale i hotele, w których kelnerzy uwalniają nas od ciężaru otwierania drzwi, wyszukiwania sobie stolika, czy noszenia naszego własnego bagażu. Naszym celem byłoby zapewnienie naszym ciałom jak największego komfortu i jak najprzyjemniejszych odczuć.

Jednakże kiedy zapieramy się naszego charakteru jako osób stworzonych na obraz osobowego Boga, prawdziwą tragedią jest to, jak niewielu ludzi świadomych jest tego, że posiadają wspaniałe możliwości osiągnięcia *osobowej* satysfakcji. Zapominamy, że najgłębsza radość i zadowolenie nie przychodzą za pośrednictwem naszych pięciu zmysłów. Nawet Chryścijanie, którzy przecież powinni już to wiedzieć, próbują złagodzić *osobowy* ból *fizyczny*

przyjemnością. Kiedy czujemy ból odrzucenia, pustkę, strach lub samotność, pokusa ulżenia sobie przez przyjemne podrażnienie fizycznych zmysłów jest niemal nie do odparcia. Objadamy się ciastkami kiedy nam się nudzi, bierzemy gorącą kąpiel kiedy czujemy napięcie nerwowe, uprawiamy masturbację kiedy czujemy się samotni - robimy cokolwiek, by zastąpić ból w naszym sercu przyjemnym odczuciem.

Żadne odczucie fizyczne nie jest tak intensywne i przyjemne, jak seksualne podniecenie i spełnienie. Jeśli uważamy, że jesteśmy jedynie ciałem i jeśli w związku z tym chcemy przede wszystkim znaleźć sposób na to, by dobrze się poczuć, to seks jest tym, czego nam potrzeba. A pogoń za seksualną przyjemnością może stać się czymś ogromnie absorbującym nasze myśli. Obsesyjny głód erotycznego podniecenia tak powszechny w naszym społeczeństwie, ma swe korzenie w naszym zapieraniu się siebie jako osobowych istot stworzonych dla osobowej relacji z Bogiem i z innymi.

Kobiety, które cierpią na osobowy brak bezpieczeństwa (np. „Mojemu mężowi nie zależy chyba na mnie tak naprawdę”), szukają pocieszenia w jedzeniu, nowych ciuchach lub ciekawej pracy, chcąc w ten sposób uśmierzyć ból wywołany uczuciem, że są niekochane. Ale dla osobowego bólu nie ma lepszego znieczulenia, niż zbliżenie seksualne. Cieleśna przyjemność seksualnego zaspokojenia przekonująco symuluje - przynajmniej na chwilę - osobową radość prawdziwego bezpieczeństwa.

Mężczyźni, których dręczą wątpliwości co do ich wartości osobowej i w ten sposób są pozbawieni wewnętrznego spokoju i szacunku dla samego siebie, łatwo mogą znaleźć bezproblemową namiastkę męskiej satysfakcji poprzez seks. Mnóstwo mężczyzn reaguje na odpychającą postawę swych żon w ten sposób, że biorą sobie kochankę, kupują pornograficzne czasopismo, lub uprawiają masturbację wyświetlając sobie w wyobraźni film pornograficzny. I to pomaga: przez krótką chwilę czują się naprawdę dobrze.

Ale zamiast usunąć lub rozwiązać osobowe problemy wynikłe z odrzucenia bądź krytyki, przyjemność seksualna kamufluje tylko ból fizycznymi doznaniem. Sytuacja ta przypomina człowieka z nowotworem mózgu, który się upija: choć nie czuje bólu, jest nadal umierający.

Nierozwiązany osobowy niepokój - brak bezpieczeństwa i własnej wartości - pozostaje i domaga się rozwiązania. A to jest z kolei często odczuwane jako silny bodziec do doświadczania nowych fizycznych przyjemności. Błędne koło zostaje puszczane w ruch: znieczulenie osobowego bólu seksualną przyjemnością usuwa ból ze świadomości, tak, że nie jest on już odczuwany jako osobowy problem, ale jako impuls do szukania jeszcze większej fizycznej przyjemności. Przez więcej przyjemności trudniej jest rozpoznać, że jest to ból osobowy i zwiększa się odczuwane pragnienie fizycznej ulgi, które prowadzi do nowych przeżyć seksualnych - i tak dalej, aż do zupełnej degeneracji. To, co miało być próbą usunięcia problemu, prowadzi w końcu nie do rzeczywistego rozwiązania, lecz do nowych problemów. Poczucie winy,

szukanie usprawiedliwienia się, dalsze uzależnienie się od wewnętrznych popędów, nierozwiązane osobowe problemy - zapłatą za grzech jest śmierć. Droga ta zdaje się słuszną, lecz w końcu prowadzi do osobowego zniszczenia.

Motywy bardzo niewielu przygód miłosnych (z homoseksualnymi włącznie) jest samo tylko pragnienie fizycznej przyjemności orgazmu. Choć ten szczególny dreszcz jest sam w sobie ogromną pokusą, to jednak nieodparta moc przyciągająca seksu, tak wyraźnie widoczna w gorączkowej pogoni naszego społeczeństwa za coraz to nowymi przyjemnościami, polega na tym, że seks daje nam miłą i podniecającą ulgę, kiedy czujemy ciągly, przejmujący ból braku bezpieczeństwa i własnej wartości.

Moja główna teza brzmi: seks niesie *fizyczne* rozwiązanie *osobowego* problemu, a co najgorsze, wydaje się to również świetnie działać. Przez te kilka magicznych chwil seksualnego szczytowania człowiek doświadcza niezwyklego podniecenia ciała, co symuluje poczucie pełni w duszy. Najbardziej przekonującą, wymyśloną przez szatana, imitacją trwałej i rzeczywistej wartości *osobowej* w Chrystusie jest chwilowa, ale intensywna *cielesna* przyjemność seksu. Szatan usiłuje nas przekonać, że kiedy nasze ciała przechodzi dreszcz seksualnego podniecenia, to jesteśmy u kresu naszych możliwości zadowolenia - nie ma nic ponad to, a jego dowodzenie jest na tyle przekonujące, że zaczynamy uważać się jedynie za ciała utworzone z bezosobowej materii, a nie za rzeczywiste osoby stworzone na obraz osobowego Boga.

Tak więc szatan oferuje nam seks dla zabawy: seks, który pomaga kobiecie przez chwilę czuć się pociągającą, kobiecą, pożądaną, bezpieczną; seks, który daje mężczyźnie poczucie, że jest atrakcyjny, wartościowy, męski, ważny. Lecz szatan nie może zaoferować prawdziwej relacji opartej na pełnym miłości wzajemnym oddaniu. Seks dla zabawy jest pułapką. Zaspokaja ciało, lecz pozostawia prawdziwą osobę pustą i pogrążoną w rozpacz. Daje przyjemność ciału bez zaspokojenia potrzeb osobowych.

Jedność Ciała

Bóg oferuje nam coś więcej, niż seks dla zabawy. W Jego planie Jedności Ciała mieści się nie tylko właściwa przyjemność fizyczna płynąca z seksualnego zbliżenia, lecz także osobowe znaczenie. Jedność Ciała zawiera zarówno przyjemność dla ciała, jak i bogatą treść osobową. Przyjrzyjmy się jak to działa.

Znaczenie osobowe w należącym do Boga świecie jest uzależnione od naszego udziału w realizacji Bożego planu. Budowanie czegoś, co nie jest wieczne, lecz rozsypie się jak babki z piasku, *nie jest* znaczącą pracą, ale pomoc we wznoszeniu budowli, która się nigdy nie rozpadnie, *jest* czymś ważnym. Relacja małżeńska jest jedną z Bożych możliwości służenia ludziom. Daje ona małżonkom okazję służenia nieśmiertelnej istocie ludzkiej w niepowtarzalny sposób. Tak więc, żeby w pełni doświadczyć jak znacząca jest

relacja małżeńska, potrzeba raz na zawsze podjąć postanowienie służenia sobie i budowania się nawzajem. Im więcej dostrzegamy możliwości służenia naszym towarzyszom życia i im częściej je wykorzystujemy, tym więcej znaczenia będzie miało nasze małżeństwo. Jest to Jedność Duszy, która została omówiona w poprzednim rozdziale.

Kiedy jednak staram się zaspokajać osobowe potrzeby mojej żony, widzę też swoje własne potrzeby i właśnie w tym momencie muszę bardzo poważnie potraktować przekonanie, że życie blisko Boga jest dla mnie wszelkim dobrem, że On daje mi wszystko, czego mi potrzeba, bym mógł żyć tak, jak powinienem. Opierając się na tym, co wiem, że jest prawdą - że jestem bezpieczny i wartościowy w Chrystusie - muszę przez wiarę postąpić wobec mojej żony tak, jak integralny osobowo mąż, chcąc dzielić się z nią miłością obficie wlałą w moje serce i nie oczekując niczego w zamian. Jeśli ona odpowie pełnym miłości szacunkiem, czuję się wspaniale. Jeśli odpowie inaczej, na przykład lekceważeniem, krytyką, lub obojętnością, poczuć ból, ale muszę mocno trzymać się prawdy, że jestem integralny w Chrystusie i dlatego niezagrożony przez reakcję mojej żony. Im bardziej małżonkowie we wzajemnej relacji opierają się na ich dostrzegalnej pełni w Chrystusie, tym bardziej ich małżeństwo będzie się przybliżać do Jedności Ducha.

Małżeństwo o osobowym znaczeniu może istnieć jedynie wtedy, gdy wzrasta Jedność Duszy. Jedność Duszy, natomiast, nie może się rozwijać bez Jedności Ducha. Kiedy istnieją już obydwie poziomy jedności, relacja jest dynamiczna i bliska. Zaangażowane są w nią najbardziej centralne części osobowości obu małżonków. Komunikacja wychodzi daleko poza rutynowe „Co dziś na obiad?”, czy „Gdzie pojedziemy na wakacje?”, czy „Pójdziemy do łóżka? Już tak dawno nie spaliśmy ze sobą”. Rozwija się świadomość niezwyklej bliskości, nie krok po kroku, ale niekontrolowanymi wybuchami, które stopniowo zmniejszają swą intensywność, a zwiększają swą częstotliwość, aż wytwarza się model ogólnie wzrastającej jedności. Wtedy para małżeńska w swym życiu seksualnym czerpie rozkosz *cielesną* w głębokiej *osobowej* jedności, która już istnieje. Słowo „kochać się” nie jest najlepsze. Lepsze byłoby „wyrażać miłość”. Pieśń nad Pieśniami wysławia upajającą rozkosz seksualnego zbliżenia dwóch osób, które zjednoczone są miłosnym więzem. Dwa *ciała*, które zbliżają się do siebie, zawierają w sobie dwie *osoby*, które są już zjednoczone.

Księga Przysłów nakazuje młodym mężczyznom unikać przyjemności seksualnych z każdą kobietą, która się nawinie, ale w pełni doświadczać rozkoszy kontaktu cielesnego z własną żoną. Seksualne podniecenie samo w sobie, to jedno - fizyczne zjednoczenie dwóch osób głęboko w sobie zakochanych w relacji Jedności Ducha i Duszy - to coś całkiem innego.

Jedność Ciała zdefiniowałem jako przyjemność dla ciała o osobowej treści. Teraz chciałbym podać bardziej kompletny opis. Jedność Ciała to:

- przyjemność seksualna pary małżeńskiej, która zawierzyła Panu co do zaspokojenia swych potrzeb i otworzyła się na Boga, by mógł ich używać do zaspokajania potrzeb drugiego;
- przyjemność seksualna, która wyrasta z gotowości służenia naszemu partnerowi w sferze fizycznej dając mu jak najwięcej przyjemności seksualnej;
- przyjemność seksualna, która daje obu partnerom poczucie zmysłowego podniecenia i seksualnej satysfakcji;
- przyjemność seksualna, która potęguje u każdego z partnerów świadomość ich nierozzerwalnej więzi.

POKONYWANIE PRZESZKÓD NA DRODZE DO JEDNOŚCI CIAŁA

Jeśli Bóg chce, żeby seks dawał małżonkom przyjemność, czemu jest on tak często źródłem sprzeczek, nudy, rozczarowania, zamiast źródłem harmonii, podniecenia i zadowolenia? Jeśli wierzyć flirciarzom tego świata, to seks dla zabawy, w obfitości obecny w przydrożnych motelach, jest o wiele bardziej przyjemny, niż niezdarne wysiłki osiągnięcia Jedności Ciała w małżeńskiej sypialni. Pewien mąż powiedział mi, że jest impotentem przy swej chrześcijańskiej żonie, a erotycznie pełen wigoru przy swej pogańskiej przyjaciółce. Dla niego biblijna moralność sprowadzała się do życia w celibacie.

Gdybyśmy mogli wybierać między seksem dla zabawy a Jednością Ciała, większość ludzi - zarówno Chrześcijan, jak i nie-Chrześcijan - najprawdopodobniej opowiedziałaby się za przyjemnością seksualną o osobowej treści, lecz dla wielu alternatywą wydaje się być: seks dla zabawy (przyjemność bez osobowego znaczenia), lub brak jedności (ani przyjemności, ani znaczenia). Nic dziwnego więc, że praktykujący Chrześcijananie w coraz większej liczbie przekraczają progi moralności, pozostawiając za sobą złą relację i seksualne frustracje, w poszukiwaniu czegoś, co daje przynajmniej miłe odczucia.

W naszym społeczeństwie nie trzeba nam dwa razy mówić, że przyjemność jest powszechnie dostępna. Ludzie nie potrzebują biblijnej relacji małżeńskiej jedności (ani też żadnej innej osobowej relacji), by doświadczać przyjemności seksu dla zabawy. Jasne jest także - i zniechęcające dla wielu par Chrześcijańskich - że wysiłki rozwinięcia osobowej relacji wydają się często przeszkadzać, zamiast stymulować wzrost seksualnej przyjemności. Kiedy para małżeńska zaczyna ciężko pracować nad tym, by otworzyć się na siebie wzajemnie i jednocześnie czynić wysiłki służenia sobie, to mogą natrafić na konflikty, niezabliźnione rany i nierozładowane napięcia, które działają nieraz jak woda na iskielki seksualne.

Jak to się dzieje? Boży plan zabrania uprawiania seksu poza małżeństwem, ale same wysiłki realizacji małżeńskiej przysięgi przez rozwijanie bliskiej relacji stają na drodze seksualnej przyjemności. A jednak Bóg chce, byśmy doświadczali rozkoszy seksu w ramach wzrastającej osobowej relacji. Pozostała część tego rozdziału wyjaśnia jak to się dzieje, że małżeństwo może być najgorszym możliwym gruntem dla doświadczania seksualnej przyjemności i jak możemy uczynić z niego idealne środowisko dla osiągnięcia Jedności Ciała.

Przez ostatnie lata, poczynwszy od kontrowersyjnej, lecz pouczającej analizy Mastersa i Johnsona, dużo uwagi poświęca się ludzkim relacjom seksualnym.¹ Z tej obszernej analizy wyłoniło się przekonanie, że trzy nakładające się na siebie rodzaje problemów mogą pomniejszyć zainteresowanie ludzi aktywnością seksualną i zakłócić zwykły seksualny wzorzec podniecenia i orgazmowego spełnienia. Są to:

1. *Problemy osobowe*: osobowe lub psychiczne zahamowania, często konsekwencje jakichś doświadczeń z przeszłości lub ran emocjonalnych, które miały jakiś związek z seksem (np. gwałt, kazirodztwo, ukarana ciekawość seksualna);
2. *Problemy pomiędzy partnerami*: napięcia w relacji wzajemnej wynikające z problemów w porozumiewaniu się, irytacji i urazy, strachu przed odrzuceniem, poczucia winy za błędy z przeszłości, itd.;
3. *Problemy z techniką seksualną*: niedostateczna wiedza, jak zachować się w czasie aktu seksualnego wobec partnera tak, aby sprzyjało to wzrostowi pożądania, podniecenia i szczytowaniu.

Spośród wspomnianych wyżej problemów najłatwiejsze do skorygowania są problemy z techniką seksualną. Pozostałe dwa rodzaje problemów zawierają bardziej skomplikowane trudności osobowe, a pokonanie ich wymaga większej wiedzy i bolesnej emocjonalnej kuracji. To właśnie jest niewątpliwie jednym z powodów, że niektórzy ludzie wybierają szeroką, gładką, krótką drogę do seksu dla zabawy, zamiast wąskiej, wyboistej, dłuższej drogi do Jedności Ciała.

Dla Chrześcijan jest to, oczywiście, możliwość nie do przyjęcia. Otrzymaliśmy nakaz pracowania w pocie czoła nad budowaniem relacji, która jest fundamentem naszej rozkoszy seksualnej. Bóg ma dla nas więcej, niż tylko seks dla zabawy, On nie aprobuje żadnej imitacji. On też wyposaża nas we wszystko, czego potrzebujemy by kroczyć wąską ścieżką prowadzącą do Jedności Ciała. Ale czego właściwie potrzebujemy? Przyjrzyjmy się, jakie są środki, które daje nam Chrystus, dla pokonania tych trzech przeszkód na drodze do Jedności Ciała.

Problemy osobowe

Jestem zdania, że wszystkie problemy, które określamy jako „zahamowania emocjonalne” lub „zaburzenia psychiczne”, są symptomami niezaspokojonych potrzeb osobowych. Ludzie, którzy boją się zaufać komukolwiek, otworzyć się, podejmować decyzje czy odłożyć swą pracę i odprężyć się, nie pojęli jeszcze nigdy dostatecznie głęboko bezpieczeństwa i wartości dostępnej nam w Chrystusie. Pod *pozorami* problemów psychicznych kryje się *rzeczywistość* niezaspokojonych potrzeb wartości osobowej. Potrzeby te pozostają niezaspokojone, ponieważ ludziom trudno jest trzymać Boga za słowo i działać na podstawie faktu, że w Chrystusie są oni zarówno bezpieczni, jak i wartościowi. Oto przykład:

Mała dziewczynka jest molestowana przez swego ojca. To dezorientujące i bolesne doświadczenie może ją nauczyć, że mężczyźni zadają tylko ból i że nigdy nie można im ufać. Może wzrasta ona w przekonaniu, że jej potrzeba bezpieczeństwa nie może zostać zaspokojona i że rozsądnie byłoby ochronić się przed odrzuceniem zachowując pewien dystans między nią a mężczyznami.

Pewnego dnia wychodzi ona za mąż. Jej mąż cieszy się na ich pierwszą noc razem. Kiedy zbliża się do niej, dzieje się jednak coś dziwnego: ona zamarza wewnątrz, jest zdenerwowana, napięta. Jej mąż próbuje zdobyć się na cierpliwość, ale nie może ukryć swego rozczarowania i zawodu. Ona czuje się okropnie. Zastanawia się, co z nią jest. Nie pomaga upływ czasu. Po paru miesiącach ona wycofuje się coraz bardziej z życia seksualnego, chcąc oszczędzić sobie bólu emocjonalnego. Jej mąż próbuje kilka razy bez przekonania podniecić ją, a wreszcie daje sobie spokój i poprzestaje na mechanicznym ulżeniu sobie za każdym razem, gdy poczucie winy każe jej mu „służyć”. Kiedy para ta siedzi obok siebie w kościele, nie ma między nimi ani trochę czułości; wspólnie trzymany śpiewnik jest jedyną oznaką ich jedności. Dający zadowolenie i przyjemność seks wydaje się nieosiągalnym marzeniem. U źródeł tej tragedii leży problem osobowy, w tym wypadku żony.

Zauważmy, co jest jądrem problemu. Ona żyje w *strachu* wynikłym z *błędnej przekonania*, że jeśli otworzy się na swego męża, a on ją w jakiś sposób urazi, to osiągnie ją ból braku bezpieczeństwa. Problem jej nie polega na tym, że w dzieciństwie była molestowana. Oczywiście, było to czymś strasznym, ale prawdziwą szkodę wyrządził dopiero wpływ tego doświadczenia na jej *przekonania*. Przez całe lata życiem jej rządziło przekonanie, że seksualne zbliżenie z mężczyzną stanowi realne zagrożenie jej bezpieczeństwa jako kobiety, ale założenie to jest po prostu nieprawdziwe. Dla Chrześcijanina, podstawowa potrzeba, by być kochanym i czuć się bezpiecznym w relacji z innymi jest w pełni zaspokojona w Chrystusie. A jednak kobieta ta nie działała na podstawie tej prawdy. Wciąż czekała, aż jej mąż zapewni jej bezpieczeństwo, ale ponieważ była przekonana, że bliskość oznacza jeszcze większy brak bezpieczeństwa, odsunęła się od niego uniemożliwiając Jedność Ciała między nimi.

Rozwiązaniem tego problemu *nie jest* zdobycie większej ufności, że mąż jej nie urazi, ale zrewidowanie jej przekonania, że zbliżenie seksualne stanowi zagrożenie dla jej bezpieczeństwa. Jeśli jej potrzeba miłości jest naprawdę zaspokojona przez Boga, który jest miłością, to odrzucenie ze strony jej męża może być w zrozumiały sposób *bolesne*, lecz nie stanowi *zagrożenia*. Jej potrzeba bezpieczeństwa jest nadal w pełni zaspokojona, gdyż wierność Chrystusa pozostaje niezmienna.

Mocą tego właściwego przekonania musi ona zeskoczyć ze swego urwiska bezpieczeństwa - posługując się przenośnią z rozdziału 2 - w otchłań tego, co ją najbardziej przeraża, ufając jedynie, że podtrzyma ją miłość Pana. W praktyce poradniczej prosiłbym ją teraz, by podjęła *decyzję*, że nie będzie niczego unikać kierowana strachem przed odrzuceniem. Następnym krokiem byłoby opracować plan świadomego robienia tego, co napędza ją strachem - praktyczna strona skoku z urwiska. Może będzie musiała na nowo nawiązać jakąś relację ze swoim ojcem. Na pewno musi podjąć inicjatywę seksualną w stosunku do swego męża: zadaniem domowym mogłoby być przytulić się do niego na kanapie wieczorem, kiedy ogląda on telewizję, zamiast wynajdywać sobie robotę w kuchni.

Pewna kobieta, której udzielałem porady, zgodziła się położyć rękę na udzie swego męża kiedy będą oglądać telewizję. Miała sobie powtarzać: „Panie, w tej chwili bardzo się boję, że obejmie mnie i będzie chciał więcej. Ale wierzę, że jestem kochana i bezpieczna w Tobie, dlatego chcę służyć memu mężowi bez względu na to, czego on chce, czy jak bardzo się boję”.

Przy następnym spotkaniu powiedziała mi, że prawda o Bożej miłości wywierciła jakby jakąś dziurę w głębi jej umysłu, kiedy zdecydowała się zeskoczyć ze swego urwiska bezpiecznego dystansu w przepaść poczucia, że jest wykorzystywana i zbrukana. Lina miłości Chrystusa utrzymała ją. Zamiast poczucia, że jest zniszczona, stała się pełniejszą osobą. Nie czuła się wykorzystywana, ale potrzebna.

Tak więc, problem osobowy można uznać za objaw niezaspokojonych potrzeb osobowych, które pozostają niezaspokojone ze względu na (1) niewiarę, że w Chrystusie jesteśmy już bezpieczni i wartościowi, i (2) motywowaną strachem niechęć do działania na podstawie tego przekonania i robienia tego, co nas najbardziej przeraża.

Oczywiste powinno być, że - używając wyrażen pojęciowych - rozwiązaniem problemu osobowego, który stoi na przeszkodzie Jedności Ciała, jest rozwijanie Jedności Ducha - zaufanie, że Chrystus zaspokoi nasze potrzeby osobowe, co wyraża się gotowością robienia tego, co jest właściwe, pomimo ogromnego strachu, jaki czujemy.

Problemy pomiędzy partnerami

Drugą kategorię przeszkód na drodze do Jedności Ciała stanowią problemy w relacji pomiędzy dwojgiem osób. I choć napięcia pomiędzy

partnerami zaczynają się u każdego z nich osobno, całość problemów musi zostać rozwiązana przez nich wspólnie.

Kiedy ludzie nie oczekują jedynie od Pana zaspokojenia swych podstawowych potrzeb, z natury rzeczy oczekują tego od innych. Celem staje się takie wpływanie na otaczających ich ludzi i rzeczy, aby osiągnąć pewne poczucie zadowolenia. Machina manipulacji - starać się zmienić wszystko, co nie daje zadowolenia tak, aby dawało zadowolenie - zostaje puszczona w ruch. Mężowie próbują przekonać swe żony, żeby się odchudzały, przestały narzekać, były bardziej aktywne seksualnie i zgadzały się z ich poglądami. Żony robią wszystko, by ich mężowie rzadziej chodzili na mecze piłkarskie, więcej pomagali w gospodarstwie domowym, byli bardziej romantyczni, spędzali więcej czasu z dziećmi i więcej mówili im o swoich uczuciach.

Zasadniczym problemem przy dążeniu do tych manipulacyjnych celów (które wydają się być tak rozsądne: „W końcu powinien przecież spędzać więcej czasu w domu”), jest to, że gwałcą one zasadę zdrowego rozsądku: *Nie czyni nigdy swoim celem tego, co nie leży w twoich możliwościach*. Nikt z nas nie jest w stanie w pełni panować nad zachowaniem drugiej osoby. Może na nie wpływać, ale nie może nad nim panować.

Zalóżmy, że Twój partner nie da sobą manipulować. Nie możesz zagwarantować, że Twoje wysiłki zmienienia go odniosą skutek. Być może, jak często się zdarza, naleganie, by się zmienił przyniesie w rezultacie zmianę - ale w przeciwnym od pożądanego kierunku. Co wtedy?

Kiedy ludzie nie mogą osiągnąć swego celu, czują się albo zaniepokojeni, albo urażeni, albo mają poczucie winy. Jeśli celem męża jest pozyskać zrozumienie dla jakiejś decyzji, którą podjął, a ona zareaguje pełną zdumienia dezaprobatą („Co takiego zrobiłeś?!”), mąż poczuje najprawdopodobniej złość i urazę. Żona zablokowała mu jego cel. Przypuśćmy, że celem żony jest to, by była traktowana łagodnie i czule. Dawniej jej mąż znany był z tego, że robił ostre uwagi na jej temat przy innych. W towarzystwie czuje się więc ona bardzo napięta, bo nie wie, co on może powiedzieć. Ponieważ osiągnięcie jej manipulacyjnego celu jest niepewne, czuje *niepokój*.

Weźmy przykład mężczyzny wychowanego przez perfekcjonistycznych rodziców. Może postawić sobie za cel nigdy nie sprawić zawodu swojej żonie i dzieciom, w przekonaniu, że tylko dając konsekwentny przykład duchowej dojrzałości, może uważać się za wartościowego. Za każdym razem, kiedy sądzi, że zawiódł swoją rodzinę („Wiem, tatusiu, że jesteś zmęczony, może pogramy w piłkę jutro”), ten obciążony skrupułami mężczyzna będzie czuł się *winny*. Choć jego cel jest nieosiągalny, będzie on czynił sobie wyrzuty sumienia, że go nie osiągnął.²

Wszystkie trzy wyżej wspomniane przykre uczucia hamują podniecenie seksualne. Trudno jest czuć złość do naszego partnera i jednocześnie zmysłowe podniecenie. Jeśli czujesz się spięty przy swoim partnerze, trudno Ci będzie na

tyle się odprężyć umyślowo, by czuć pociąg płciowy. Podobnie też poczucie winy blokuje podniecenie seksualne.

Można więc stwierdzić, że problemy pomiędzy partnerami, które mają negatywny wpływ na doświadczanie przyjemności seksualnej, wynikają z manipulacyjnych celów małżonków. Trudności w porozumiewaniu się, fakt, że małżonkowie spędzają ze sobą za mało czasu, że nie mówią sobie otwarcie o swych uczuciach, wszystko to można uznać za skutek ich egocentrycznych celów. Towarzysząca temu uraza, niepokój i poczucie winy, które uniemożliwiają wzrost Jedności Ciała, stanowią nieodłączną część tego balastu manipulacyjnego.

Jest sprawą oczywistą, że nic nie pomoże nakazanie rozłoższonemu mężowi, zaniepokojonej żonie, czy ogarniętemu poczuciem winy partnerowi, żeby czuli się inaczej. Jedynym lekarstwem jest zmiana celów. Zamiast manipulować swym partnerem, żeby zaspokajał Twoje potrzeby, zacznij zaspokajać jego potrzeby. Kiedy to stanie się już faktem, te paraliżujące uczucia ustąpią stopniowo miejsca współczuciu i czułości. Dlaczego?

1. Cel służenia nie może zostać przez Twego partnera zablokowany. Nie ma więc podstaw, by czuć wobec niego *urazę*;
2. Realizacja celu służenia zależy wyłącznie od Ciebie. Wyeliminowany zostaje więc *niepokój*, co do tego, jak postąpi Twój partner;
3. Cel reprezentowania Pana wobec Twego partnera jest osiągalny, przynajmniej jako podstawowy kierunek działania. Choć każdy z nas popełnia nieraz błędy, mamy jednak możliwość wyznania naszych grzechów, uzyskania przebaczenia, pokuty i zachęty, tak, że możemy powrócić na właściwą drogę i coraz konsekwentniej realizować nasz cel. Nie ma podstaw do tak nas obciążającego poczucia winy.

Aby usunąć przeszkody na drodze do Jedności Ciała, ludzie muszą w każdym momencie analizować cele, jakie stawiają sobie wobec swych towarzyszy życia, wyznawać przed Bogiem niewłaściwe cele i wyznaczać sobie wciąż na nowo służenie jako cel. Jest to proces rozwijania Jedności Duszy. Oczywiście jest, że Jedność Ciała może jedynie istnieć jako przedłużenie Jedności Ducha i Jedności Duszy. Zatem jeśli masz problemy seksualne, zastanów się najpierw, jakie błędy popełniasz w rozwijaniu Jedności Ducha i Jedności Duszy.

Problemy z techniką seksualną

Są pary małżeńskie, które zawierzyły Bogu co do zaspokojenia swych potrzeb osobowych i z całym oddaniem służą sobie wzajemnie, a jednak nadal nie mają dobrej relacji seksualnej. Problem może nieraz polegać na niedostatecznym lub niewłaściwym opanowaniu sztuki miłości.

W niektórych środowiskach można by, niemal odnieść wrażenie, że jeśli ktoś zna zawiloci seksualnego funkcjonowania i jest romantycznym, biegłym

partnerem seksualnym to jest jakby mniej uduchowiony. Ignorancja jednak co do tego, jak można podniecić seksualnie i zadowolić swego partnera, przede wszystkim nie przynosi chwały Temu, który stworzył seks.

Zadziwiające jest jak wielu mężczyzn po prostu nie wie, co podnieca i zadowala kobietę. Nie są świadomi tego, że to lechtaczka a nie pochwa jest podstawowym organem wrażliwości seksualnej, nie rozumieją potrzeby kobiety, by być czule i delikatnie pieśczonej ani jej pragnienia romantycznego wstępu zamiast pośpiesznego „łapu-capu”.

Z drugiej strony, wiele kobiet nie docenia wpływu bodźców wizualnych takich jak, na przykład, prowokujący ubiór. Nie rozumieją, jakim zagrożeniem jest ich pełna znudzenia uległość, mechaniczne poddanie lub pełne irytacji odmowy. Nieświadome są nieraz takich technicznych kwestii, jak na przykład, jak pomóc mężczyźnie opóźnić wytrysk nasienia. Polecam „The Act of Marriage” Tima i Beverly LaHaye i „Intended for Pleasure” Eda i Gaye Wheat jako dwie doskonałe książki, wyjaśniające działanie naszej seksualnej natury. Obie książki zawierają szczery, lecz pełen taktu opis szczegółów ludzkiej płciowości umieszczony konsekwentnie w ramach biblijnych.³

Niechrześcijańskie prace, jak ta Mastersa i Johnson, oraz Helen Singer Kaplan, choć nie biorą pod uwagę norm biblijnych, przynoszą pomocny opis fizjologii seksualnej, techniki miłosnej, oraz środków zaradczych wobec różnorodnych problemów seksualnych. Dla krytycznych i dojrzałych Chréścijan, potrafiących rozróżnić właściwe normy od niewłaściwych, książki te mogą stanowić dużą pomoc.⁴

Jedność Ciała, seksualna przyjemność będąca wyrażeniem osobowej jedności ducha i duszy, jest częścią Bożego planu całkowitej jedności małżeńskiej. Małżeństwo, w którym rozwijane są wszystkie trzy aspekty jedności: Jedność Ducha, Duszy i Ciała, stanowi dla małżonków żywy model wiecznego związku Chrystusa z Jego oblubienicą, kościołem.

Celem małżeństwa jest więc:

- Jedność Ducha: zawierzenie jedynie Chrystusowi co do zaspokojenia twych osobowych potrzeb bezpieczeństwa i własnej wartości;
- Jedność Duszy: służenie twemu partnerowi tak, aby on lub ona była coraz bardziej świadoma swojej wartości w Chrystusie;
- Jedność Ciała: doświadczanie rozkoszy seksualnej jako wyrazu i owocu osobowej relacji.

PRZYPISY

1. William H. Masters i Virginia E. Johnson, *Human Sexual Responses* (Boston: Little, Brown & Co., 1966).

2. Książka *Effective Biblical Counseling* omawia dokładniej jak niewłaściwe cele prowadzą do wytworzenia urazy, niepokoju i poczucia winy.
3. *The Act of Marriage* (Grand Rapids: Zondervan, 1976); *Intended for Pleasure* (Old Tappan, N.J.: Fleming H. Revell, 1977, popr. wyd. 1981).
4. Wśród prac Williama H. Mastersa i Virginii E. Johnson znajdują się *Human Sexual Response* (Boston: Little, Brown & Co., 1966), i *Human Sexual Inadequacy* (New York: Bantam, 1980); Heleny Singer Kaplan: *The New Sex Therapy: Active Treatment of Sexual Dysfunctions* (New York: Times Books, 1974); *Making Sense of Sex* (New York: Simon & Schuster, 1979); i *The Disorder of Sexual Desire* (New York: Simon & Schuster, 1979).

Część II

WZNOSZENIE BUDOWLI

Wstęp

„Chrześcijańskie małżeństwa”, które nie są niczym więcej, niż relacjami małżeńskimi rządzonymi przez światowe wartości i napędzanymi czysto ludzką energią, robią marną reklamę Chrześcijaństwu. Jeśli mamy skutecznie ukazywać miłość i moc Chrystusa w naszych małżeństwach, to musimy przede wszystkim zdać sobie sprawę z tego, że oczekuje się od nas nie mniej, niż ciągłego postępu w kierunku Całkowitej Jedności: Jedności Ducha, Jedności Duszy i Jedności Ciała.

Chrześcijańska para małżeńska ma możliwości rozwoju takiej głębi bliskości wzajemnej, która znacznie przewyższa udane małżeństwa ludzi niewierzących. a jednak nadal bardzo wielu Chrześcijan nie wychodzi nigdy poza wzajemną tolerancję, czy wygodny kompromis. Abyśmy mogli zrozumieć, jaki jest Boży plan dla małżeństwa, przedstawiłem w części I jak według mnie powinno wyglądać małżeństwo oparte na biblijnych zasadach.

Jeśli uznamy część I za model architektoniczny, to możemy wyobrazić sobie, jak będzie wyglądać wykończona budowla takiego małżeństwa. Podstawowym problemem, który pozostaje nam do rozwiązania, jest przekształcenie rysunku artysty w żywą, konkretną rzeczywistość. Dla niektórych z nas będzie to trudniejsze niż dla innych; dla nikogo nie stanowi to jednak problemu nie do pokonania.

Pierwszym krokiem jest zwykle przedstawienie modelu budowli przedsiębiorcy budowlanemu. On przegląda plany i musi zdecydować szczegółowo, jakie materiały potrzebne są do wzniesienia danej budowli. I tym właśnie zajmuje się część II. Staram się w niej ukazać, jakie cegły musimy sprowadzić na nasz plac budowy, jeżeli chcemy zbudować relację Całkowitej Jedności.

W mojej poradni pytałem wielu ludzi, jakie są według nich najważniejsze elementy potrzebne do zbudowania szczęśliwej relacji małżeńskiej i otrzymałem tyle różnych odpowiedzi, ile było ludzi. Według mnie, tragicznie wielka liczba małżeństw nie osiąga prawdziwej jedności nie dlatego, że małżonkowie nie dość się starają, ale dlatego, że nie stosują właściwych materiałów. Stolarz może uderzać młotem z wielką siłą i dokładnością, ale bez dobrego drewna i gwoździ jego wysiłki będą daremne. Bez względu na to, jakie są mocne punkty danej relacji - otwartość, szczere wysiłki, szlachetne intencje, ciepłe uczucia, ta sama wiara, umiejętność dobrego porozumiewania się - małżeństwo nie osiągnie celu, jakim jest jedność, bez właściwych podstaw.¹

Jakie są więc te podstawowe elementy budowlane małżeństwa? Czy leżą gotowe na składzie? Jak długo trzeba czekać na dostawę po złożeniu

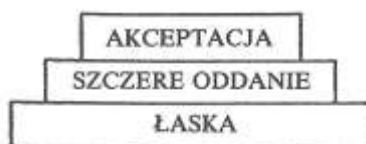
zamówienia? Czy nie są tak drogie, że tylko duchowi bogacze mogą sobie na nie pozwolić? Czy przychodzą może opatrzone taką „instrukcją montażu”, którą jedynie zawodowy budowniczy potrafi rozszyfrować?

Jeśli dobrze rozumiem to, co mówi Biblia, dobrą nowiną dla nas jest to, że potrzeba bardzo niewielu elementów, leżą one gotowe na składzie, w każdej ilości, za darmo i opatrzone instrukcjami na tyle prostymi, że wystarczy szczerze chęci by je zrozumieć, a przy tym na tyle głębokimi, by stanowić przedmiot ciągłej fascynacji dla dojrzałego Chrześcijanina.

Oto elementy potrzebne do rozwijania jedności w małżeństwie:

1. Łaska
2. Szczerze oddanie
3. Akceptacja

Ważna jest ich kolejność. Nie możemy być naprawdę szczerze czemuś oddani nie otrzymawszy najpierw łaski i niemożliwe jest akceptowanie naszych partnerów, jeśli mielibyśmy ich akceptować nie będąc im najpierw szczerze oddanymi. Ułóżmy teraz te elementy w hierarchicznym porządku.



Następne trzy rozdziały wyjaśniają, co składa się na każdy z tych elementów.

PRZYPISY

1. Jeśli two cele są quasi-biblijne (np. osiągnięcie takiego poziomu wzajemnego przystosowania się, aby obydwójce partnerzy byli zadowoleni), to osiągnięcie ich jest możliwe bez tych elementów. Ta książka przeznaczona jest dla ludzi, którzy chcą osiągnąć wszystko, co Bóg dla nich przygotował i postawili to sobie za cel.

6

Element 1

Łaska

Diakon pewnego kościoła siedział naprzeciw mnie i potrząsał głową ze złości i rozpaczy: „Od dwudziestu lat uczę w Szkole Niedzielnej. Prowadziłem nawet wykłady na temat rodziny chrześcijańskiej. Niewiele może mi pan o Biblii powiedzieć, co byłoby dla mnie nowe. I starałem się - Bóg wie, że się starałem - z całych sił, być takim mężem, ojcem, diakonem i pracownikiem, jakim Bóg chce, żebym był. Wszystko idzie dobrze, naprawdę dobrze, w kościele i w pracy. Ale, cokolwiek bym zrobił, nic nie wychodzi z mojego małżeństwa.

W tej chwili jestem już tak rozczarowany, wściekły i przygnębiony, że gotów jestem dać sobie spokój z tym wszystkim. Poznałem inną kobietę. Tak, wiem, że to nie jest w porządku, nie musi mi pan robić wykładu o grzechu - ale gdyby pan tylko wiedział jakie frustracje przeżywam w domu, może zrozumiałby pan, jak bardzo potrzebuję po prostu porozmawiać, odprężyć się przy kobiecie. Nie spałem z nią jeszcze, ale Bóg wie, że tego chcę. Ona jest po prostu tak zupełnie inna niż moja żona. Moje małżeństwo i tak już nie funkcjonuje - a przecież bardzo się starałem, przez całe lata. Jesteśmy dwadzieścia dwa lata po ślubie i do tej pory nawet nigdy nie spojrzaliśmy na inną kobietę. Chcę robić to, co podoba się Bogu, naprawdę chcę, ale po prostu w żaden sposób nie mogę doprowadzić mego małżeństwa do porządku”.

Co Ty byś odpowiedział, gdybyś był doradcą małżeńskim? Gdybym przedstawił mu moje myśli na temat jedności w małżeństwie, najprawdopodobniej spotkałbym się z bladym uśmiechem, potrząśnięciem głową z rozgoryczeniem i w końcu z uwagą w rodzaju: „Pięknie to wszystko brzmi. Mam nadzieję, że to działa w pańskim małżeństwie, ale nie w moim. Ja już próbowałem!” Wykład na temat dążenia do tego, by stać się mężem według biblijnego wzoru bez względu na to, czy jego żona się zmieni, czy nie, spotkałby prawdopodobnie taki sam los. Stwierdzenie, że dobre małżeństwo powinno być naszym naturalnym pragnieniem, o którego spełnienie możemy się modlić, ale to, czy on jest dobrym mężem, zależy wyłącznie od niego samego, miałyby małe szanse zmienienia jego rozpaczy w entuzjazm i chęć współdziałania.

Na czym polega problem? Czego brakuje w podejściu tego mężczyzny, co odbiera wszelką nadzieję na poprawę sytuacji? Musimy spojrzeć głębiej, poza grzeszne postępowanie tego mężczyzny i dostrzec, że on nie chce *uwierzyć* w pewne podstawowe prawdy. Buntownicza niewiara jest korzeniem grzechu, buntownicze czyny są jego zewnętrznym przejawem.

Aby móc zanalizować problem tego mężczyzny we właściwy sposób, musimy najpierw ustalić, jakie są podstawowe pytania, na które daje on błędne odpowiedzi. Według mnie, ten ogarnięty rozpaczą mąż kurczowo trzyma się niewłaściwej odpowiedzi na właściwie postawione pytanie: „Czy istnieje dostateczny powód, dla którego nie miałbym uznać tego małżeństwa za kompletne fiasko, które usprawiedliwia moją rozpacz? Czy jest jakikolwiek powód, dla którego miałbym dalej starać się reagować na to wszystko w sposób biblijny?” Pytanie jest słuszne. Dużą pokusą jest jednak zlekceważenie tych trudnych pytań, lub odpowiedzenie na nie w sposób szablonowy, wywołujący jedynie zdawkowe przytaknięcie. Jeśli powiemy temu mężowi, że ma kochać swoją żonę, ponieważ Chrystus zaspokaja wszystkie jego potrzeby i ponieważ Biblia mu to nakazuje, to jest to bardzo dobrą radą, której on nie posłucha. Nie ma sensu mu tego mówić. Nie zacznie pracować nad naprawą swego małżeństwa, dopóki nie będzie miał podstaw, by wierzyć, że ma to w ogóle jakiś sens.

Pamiętam, jak kiedyś pewna wierząca kobieta powiedziała mi, że jej niewierzący mąż już od wielu lat nie okazał najmniejszego zainteresowania seksem. Czula nie tylko jego odrzucenie, ale także seksualną frustrację. Modlitwa i czytanie Biblii dały jej siłę, by wytrwać nie dając grzesznego upustu swej frustracji. Jednak wciąż ponawiane wysiłki, by odnosić się do męża z czułą akceptacją i by być seksualnie pociągającą, nie mogły go w żaden sposób podniecić. Z pewnym zażenowaniem spytała: „Co mam zrobić z moim popędem seksualnym? Nieraz moje ciało dosłownie woła o zaspokojenie seksualne”.

Ale poza tą całkiem zrozumiałą frustracją seksualną tej kobiety kryje się głębszy problem: „Ta sytuacja staje się nie do zniesienia. Nie chodzi mi o to, czy mam się zacząć onanizować, czy wziąć sobie kochanka. Moim najważniejszym pytaniem jest, czy taki stan rzeczy daje wystarczające podstawy do tego, by oddać się rozpacz. Jeśli tak, to złagodzę swoje zasady, by znaleźć ulgę. Jeśli nie, to pozostanę im wierna”. Jest to problem, którym musimy się najpierw zająć, zanim zachęta do życia w sposób biblijny będzie mogła znaleźć rzeczywisty posłuch.

Inna kobieta powiedziała mi nieśmiało, że jej ojciec, powszechnie szanowany pastor, wiele razy ją molestował, gdy miała 8-12 lat. Szukała ona u mnie porady, by móc odtąjać ze swych lodowatych reakcji na seksualne inicjatywy swego męża. „Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła naprawdę otworzyć się przed moim mężem seksualnie. Wiem, że powinnam. Chcę, byśmy byli jednością w duchu, duszy ciała i słuchałam tego, co pan mówił o

słakaniu z urwiska i zmuszaniu się do robienia tego, co wydaje się niemożliwością. Ale ja już próbowałam! A mój mąż przez cały ten czas okazywał mi niesamowitą cierpliwość. Ale nic nie pomaga. Mija już sześć lat! Nie mam pojęcia w jaki sposób mogę jeszcze kiedykolwiek przekonać się do seksu. Skutki grzechu mojego ojca utkwiły we mnie po prostu zbyt głęboko". Przypominanie jej, że miłość Boga może zaspokoić wszystkie jej potrzeby i zachęcanie, by podejmowała inicjatywy seksualne wobec swego męża, mija się z celem. Jej prawdziwe pytanie brzmi nie: „Co mam robić?”, ale „Czy jest jeszcze jakaś nadzieja?”

Są to bardzo trudne pytania - które stawia ów zrozpaczony mąż, sfrustrowana żona, czy ofiara grzechu innego człowieka. Ich wewnętrzna szarpanina nie ustanie pod wpływem takich uwag, jak: „Będzie lepiej”, czy „Jeśli będziesz bardziej się starać, to Bóg to pobłogosławi”, albo „Przestań uważać się nad sobą i zacznij żyć tak, jak powinienes”. Zasadnicze pytanie pozostaje: „Czy posłuszeństwo ma jakikolwiek sens, czy mogę oddać się rozpacz?”

Myślę, że nie istniało nigdy takie małżeństwo dwojga uczciwych, świadomych swych problemów ludźmi, które by w pewnym momencie nie znalazło się w punkcie pozornie bez wyjścia. W moim własnym małżeństwie były takie momenty, że mur pomiędzy moją żoną a mną wydawał się nie do przeskoczenia i nie do przełamania. Trudno nam było wytrwać w nadziei. Niełatwo było wierzyć, że to, co tkwi między nami i blokuje naszą jedność będzie mogło w jakiś sposób zostać usunięte.

Co ma zrobić dwoje ludzi, kiedy ogarniają ich takie rozpaczliwe myśli? Student, który martwi się, że na pewno nie zda egzaminu, nie będzie chciał słuchać wykładów na temat technik studiowania. Nie jesteśmy zainteresowani realizacją biblijnych nakazów, jeśli nie wierzymy, że na coś się to przyda. Zanim będziemy mogli uważać nasze małżeńskie powinności za atrakcyjne szanse, a nie za bezsensowne obowiązki, musi zmienić się podstawa naszego myślenia - musimy zrobić krok od rozpacz do nadziei. Zmiana ta wymaga jednak, byśmy właściwie odpowiedzieli sobie na owe trudne pytania.

W świecie, gdzie każda relacja naznaczona jest deformującymi skutkami grzechu, bardziej niż cegokolwiek innego, potrzeba nam świadomości Bożej łaski jako podstawy naszej nadziei. Przekonanie, że życie w sposób odpowiedzialny zawsze ma sens, bez względu na to, co może się nie udać, jest koniecznie potrzebne w chrześcijańskim życiu. A jednak bardzo wiele nieszczyśliwych mężów i żon przyjmuje za podstawę swojej nadziei obietnice, których Bóg im nigdy nie robił. Wierzą, że jeśli będą bardzo się starać, to Bóg zmieni ich partnerów w kochających Chrześcijan, jakimi powinni być, ale to, co stanowi sens naszego życia nie zawiera *nigdy* gwarancji, że „będzie lepiej”, czy że „Bóg zbawi twego męża i pomoże mu przestać pić”. Nadzieja Chrześcijanina leży dużo głębiej, niż w samej tylko zmianie czyjegoś zachowania. Nadzieja Chrześcijanina jest nierozzerwalnie związana z łaską Bożą.

Łatwo byłoby przytoczyć teraz kilka wersetów z Listu do Hebrajczyków (zwłaszcza 6,18-19) i z uniesieniem mówić o niewzruszonej nadziei w Chrystusie, która służy za kotwicę naszych dusz, ale jeśli znękany jesteś ciągłą rozpaczą, która wytwarza w Tobie podejście „na-co-to-wszystko”, to najpierw przygotuj się w modlitwie na to, co będziesz czytać. Być może ukształtuje się w Tobie perspektywa nadziei opartej na prawdzie o zadziwiającej łasce Bożej i będziesz mógł postawić pierwszy krok na drodze do jedności.

Pamiętaj jednak, że Bóg nie obiecuje naprawić Twego małżeństwa. Nadzieja Chrześcijanina jest *nie w tym*, że jego partner się zmieni, jego zdrowie poprawi, czy polepszy sytuacja finansowa. Bóg nie obiecuje poprzestawiać wszystkiego dookoła nas, by zaspokoić nasze pragnienia. Bóg obiecuje natomiast, że dopuści tylko takie wydarzenia, które służą Jego zamiarom, co do naszego życia. Naszym zadaniem jest reagować na okoliczności życiowe tak, by Jemu się to podobało, a nie tak, by zmienić naszego partnera według naszych wyobrażeń. A nawet jeśli rzeczywiście zareagujemy w sposób zgodny z nakazami Biblii, to nadal nie mamy gwarancji, że nasz partner dobrze to przyjmie. Choć wystąpi może o rozwód, będzie dalej pić, lub jeszcze więcej narzekać, to jednak istnieje nadal powód do tego, by wytrwać w posłuszeństwie.

Oczywiście, jeśli *obydwie* partnerzy pracują nad budową fundamentu nadziei i szczerze starają się żyć według nakazów biblijnych, to najgorsze nawet małżeństwo może odwrócić się o 180 stopni. Jednak w obu przypadkach istnieją podstawy do nadziei. Podstawy te związane są z prawdą o Bożej łasce.

OBECNOŚĆ BOGA

Zauważmy ciekawy zwrot w Mat. 26,65. Nasz Pan stał jako oskarżony przed najwyższym kapłanem Izraela. On właśnie zarządził, by Chrystus stwierdził wyraźnie, że jest Synem Bożym. Kiedy Pan potwierdził swoją boskość, Kajfasz, najwyższy kapłan, natychmiast rozdarł swoje szaty. Dlaczego? Co oznaczał ten gest?

Pismo przytacza wiele przykładów, kiedy ludzie rozdierają swoje szaty. Jozue i Kaleb rozdarli swe szaty, kiedy Izraelici nie chcieli uwierzyć, że Bóg może im dać zwycięstwo w kraju Kanaan (IV Mojż. 14,6). Jefte rozdarł swe szaty, kiedy jego córka pierwsza wyszła mu na spotkanie, gdy wracał do domu po bitwie, ponieważ złożył pośpieszny, nieprzemyślany ślub (Sędz. 11). Barnaba i Paweł rozdarli swe szaty, kiedy mieszkańcy Listry zobaczywszy cud zaczęli oddawać im boską cześć (Dz. Ap. 14,11-14).

Można by podać jeszcze więcej przykładów, ale te ukazują już o co chodzi. Rozdarcie szat było wyrazem smutku i rozpacz. Niewiara Żydów w Kadesz-Barnea, osobista tragedia złożenia własnej córki w ofierze i oddanie ludziom boskiej czci uznane zostały przez Jozuego, Jeftego i Pawła za wydarzenia tak okropne, że rozdarli oni swoje szaty.

Frapujące jest jednak to, że Bóg szczegółowo nakazał jednej grupie ludzi nigdy nie rozdzierać szat z powodu rozpaczliwych okoliczności. Prawo przekazane przez Mojżesza zawierało dokładne instrukcje, które pozwalały kapłanowi Boga rozdrzeć swoje szaty tylko w przypadku bluźnierstwa. Bóg dał wskazówki co do sporządzenia szat kapłańskich w taki sposób, że istniała minimalna możliwość ich przypadkowego rozdarcia (II Mojż. 28,32; 39,23; III Mojż. 21,10). Jedno tylko mogło przywieść Kajfasza do rozdarcia swej szaty na sądzie Jezusa, a nie był to osobisty smutek spowodowany trudnymi okolicznościami.

Kiedy dwóch spośród synów Aarona zostało zabitych przez Pana i w ten sposób ukaranych za ich grzech, Mojżesz szybko rzekł do Aarona „... nie będziesz rozdzierał szat, abyś nie umarł” (III Mojż. 10,6). Dla kogoś, kto nie był kapłanem rozdarcie szat byłoby najzupełniej stosowne przy takiej smutnej okazji, jak śmierć dzieci. Lecz dla Aarona, kapłana Boga, byłoby to grzechem. Dlaczego? Czemu Jozjasz, król, mógł rozdrzeć swoje szaty i przez to tak poruszyć Boga, że znalazł na niego Swoje błogosławieństwo (II Kron. 34,27-28)? Czemu Aaron poniósłby śmierć gdyby rozdarł swe szaty? Dlaczego królowie i inni przywódcy mogli rozdzierać swe szaty nie ponosząc kary (a często otrzymując błogosławieństwo), podczas, gdy kapłanom nie wolno było tego robić?

Odpowiedzią jest przywilej nadany kapłanom. W czasach Starego Testamentu jedynie kapłanom wolno było wejść do Miejsca Świętego w tabernakulum, a tylko raz w roku najwyższy kapłan wchodził do Miejsca Najświętszego, gdzie przebywał sam Jahwe. Nikt oprócz najwyższego kapłana nie mógł spryskiwać tronu miłosierdzia krwią baranka ofiarnego dla odwrócenia sprawiedliwego wyroku świętego Boga. On jeden mógł zbliżyć się w ten sposób do Boga i nadal pozostać przy życiu.

Teraz więc, zastanówmy się, jaki jest związek pomiędzy jego przywilejem zbliżenia się do Boga, a zakazem rozdzierania szat. Pamiętajmy, że rozdarcie szat było zwyczajowym sposobem wyrażania głębokiej rozpaczliwej spowodowanej jakąś klęską. Wniosek jest prosty: ktoś, kto ma przystęp do samego Boga, nigdy nie ma powodu, by uważać czegokolwiek za zupełną klęskę.

Możemy wyrazić tę prawdę jeszcze inaczej. Jeśli ktoś świadom jest obecności Boga w swym życiu, to nie ma takiego wydarzenia, które mogłoby zmusić go do rozpaczliwej. Jeśli kapłan miałby rozdzierać swe szaty z powodu osobistego smutku, to dałby przez to do zrozumienia, że życie niesie ze sobą problemy, których Bóg nie potrafi rozwiązać. A tak nigdy nie jest. Bóg, który jest miłością, Bóg wieczności, nieskończony, osobowy Bóg, który żyje w sercach Swoich ludzi i kieruje biegiem historii, ten Bóg potrafi zaradzić każdej sytuacji. Nic nie może Go zaskoczyć. Żaden problem nie jest dla Niego niemożliwy do rozwiązania. Nie istnieje taka okoliczność życiowa, w której Jego łaska byłaby niewystarczająca. Ludziom, którzy mogą zbliżyć się bezpośrednio do tego Boga, nie wolno poddawać się rozpaczliwej. Jeśli to robią,

dają do zrozumienia, że Bóg nie jest w stanie sprawić, by wszystko przyczyniało się do wiecznego dobra w okolicznościach, w jakich się znaleźli.

Jedną z najbardziej znamienitych prawd objawionych wiernym Nowego Testamentu jest to, że każdy członek ciała Chrystusa jest kapłanem (I Piotra 2,5). Jesteśmy gorąco zachęcani do tego, by śmiało podejść do tronu Boga, by zbliżyć się do Niego z ufnością, że On rozumie nasze problemy, współczuje nam w naszych zmaganiach i potrafi działać poprzez okoliczności, w jakich się znajdujemy, dla wypełnienia Swoich zamiarów i dla naszego błogosławieństwa. Ponieważ Ty i ja jako odkupieni święci cieszymy się uprzywilejowaną pozycją kapłanów, nie wolno nam nigdy rozdzierać szat. Nigdy nie wolno nam uważać jakiegokolwiek sytuacji za tak beznadziejną, że usprawiedliwia ona naszą rozpacz.

Kiedy wypadki życiowe wydają się nas przygniać i frustrować, Bóg zaprasza nas, byśmy skorzystali z naszego kapłańskiego prawa i zbliżyli się do Jego tronu miłosierdzia. Wybór należy do nas: rozdrzeć z rozpaczą szaty i skoncentrować się na szukaniu ulgi dla naszego bólu, lub tak całkowicie zawierzyć łasce Boga, że możemy konsekwentnie odrzucać wszelki kompromis w naszym postanowieniu życia dla Pana.

Zadziwiająca łaska! Zaslужujemy na to, by ponieść konsekwencje każdego grzechu, jaki kiedykolwiek popełniliśmy, utracić wszystko, co dobre. Zamiast tego jednak otrzymujemy wsparcie naszego Wielkiego Arcykapłana, który wstawia się za nami przed wiecznym Sędzią - i jesteśmy uniewinnieni. I nie tylko uznani jesteśmy za usprawiedliwionych, ale jeszcze w dodatku wynagrodzeni nieustanną troską i opieką samego Sędziego. Święty Sędzia wychodzi spoza swej ławy i objawia się nam jako nasz kochający Ojciec.

Teraz zastanówmy się raz jeszcze nad pytaniami postawionymi na początku tego rozdziału. Co my, mężowie i żony, mamy zrobić, jeśli nasza małżeńska relacja jest już tak chora, że nie widać żadnej realnej szansy jej uzdrowienia? Czy mamy *rozdrzeć szaty* oddając się męczeństwu znoszenia naszego partnera „dopóki śmierć nas nie rozłączy”? Powinniśmy może *rozerwać nasz strój* uciekając poprzez rozwód przed przerażającą ruiną naszego małżeństwa? Czy może *rozciąć nasze garnitury i suknie* szukając towarzystwa kogoś, kto daje nam więcej zadowolenia?

Czy mamy uważać takie wyjście za niegodne i nieprzystojące kapłanowi wszechmocnego Pasterza. W Jego obecności nie ma nigdy powodu do rozpacz. Może być ból, rana, czy smutek, ale nigdy nie rozpacz. Nasz partner nie będzie może postępował tak, jak powinien, aby nasze małżeństwo stało się znowu szczęśliwą, spełniającą nasze oczekiwania relacją. Ale jeśli pozostaniemy wierni Bogu, zwierając Mu się ze wszystkich naszych uczuć, wciąż odnawiając nasze postanowienie szukania Go, ufając, że On pokieruje nami w naszych reakcjach, wtedy On podtrzyma nas we wszystkich naszych trudnościach i da nam doświadczyć głębokiej wspólnoty z Nim. Jest więc powód, by wytrwać. Jest nadzieja. Łaska Boża jest wystarczająca.

Może się zdarzyć, że Twój partner nie zechce przyłączyć się do Ciebie na drodze do jedności. Ty jednak możesz nadal wytrwać w swym postanowieniu - przede wszystkim posłuszeństwa Bogu, a następnie służenia Twemu partnerowi przy każdej sposobności. Rezultatem tego będzie *być może* lepsza relacja (w wielu przypadkach *prawdopodobnie*). *Na pewno* rezultatem dla Ciebie będzie osiągnięcie nowego poziomu duchowej dojrzałości i wspólnoty z Chrystusem. A to jest już wystarczającym powodem do tego, by nigdy nie rozdzierać naszych szat.

Wniosek z tego wynikający jest taki: dążąc do jedności w małżeństwie, nie wolno nam nigdy dopuścić do tego, by niepowodzenie, rozczarowanie lub klęska odarła nas z wiary, że Bóg *może* uleczyć nasze małżeństwo i że *na pewno* uczyni nas dojrzałszymi ludźmi. Żadna sytuacja nie jest tak beznadziejna, by łaska Boga nie wystarczyła do jej zniesienia. Budowanie chrześcijańskiego małżeństwa zaczyna się od świadomego zaufania, że postanowienie życia dla Boga zawsze przyniesie dobre rezultaty. Ufność ta opiera się całkowicie na pierwszym elemencie małżeństwa: w każdej sytuacji wystarczy nam do wszystkiego łaska Boga.

7

Element 2

Szczere oddanie

Drugi element właściwie funkcjonującego małżeństwa dobrze pasuje do pierwszego. Jeśli nasza ufność w Bożą łaskę wystarcza do tego, by wytrwać w nadziei podczas, kiedy rozpacz wydaje się uzasadniona, to jesteśmy wówczas w stanie oddać się wypełnianiu Bożych nakazów, jakiegokolwiek by były. Możemy działać mocą naszej nadziei i dalej wytrwale pracować nad naszym małżeństwem, nawet wtedy, gdy chętnie zaprzestalibyśmy już wszelkich wysiłków.

Jeśli głęboko wierzymy, że Pan jest w stanie działać na naszą korzyść w każdej sytuacji, to żadna kombinacja małżeńskich niepowodzeń nie może skłonić nas do tego, by poważnie brać pod uwagę możliwość rozvodu, lub odejścia od naszego partnera.¹ Jeśli Bóg jest rzeczywiście tak potężny, jak twierdzi, to droga posłuszeństwa wiedzie zawsze do realizacji Jego zamiarów. Nadzieja (a lepiej, pewność), że Bóg działa w kierunku realizacji Swego planu nawet w najtrudniejszym z małżeństw, musi pozostać mocno zakorzeniona w naszej świadomości Jego potężnej łaski - i to właśnie tworzy nasz Element 1.

Jeżeli w dodatku wierzymy nie tylko, że On działa, ale też, że Jego zamiary zawsze są dobre, to całą głębią naszej istoty będziemy chcieli - naprawdę *chcieli* - pójść Jego drogą. Dla Chrześcijanina, który jest mocno wyczulony na rzeczywistość Bożej dobroci, posłuszeństwo nie będzie wymuszoną uległością, ale odbiciem dobrowolnego, choć nieraz bolesnego poddania dobremu planowi. Po rozważeniu kosztów, *decyzja* posłuszeństwa zostanie poparta *pragnieniem* posłuszeństwa. I to właśnie jest Element 2: głębokie pragnienie, by być posłusznym Bogu przez honorowanie naszych małżeńskich zobowiązań, pragnienie wyrastające w naturalny sposób w przeświadczeniu, że Bóg jest dobry.

Często jednak posłuszeństwo biblijnym nakazom uważane jest za nieprzyjemny, a nieraz wręcz za uciążliwy obowiązek, zwłaszcza w małżeństwie. Jeśli mężczyzna ma żonę, która bez przerwy narzeka, nie okazuje mu ani trochę ciepła, czy zawsze zwraca mu uwagę na jego towarzyskie niedociągnięcia, nakaz, by „kochać swą żonę” będzie dla niego bardziej zachętą do chodzenia po gwoździach, niż zaproszeniem na wspaniałą ucztę.

Kobieta, której mąż posługuje się szyldem biblijnej nauki o tym, że jest głową rodziny, dla usprawiedliwienia swego egoizmu i gruboskórnych żądań, najprawdopodobniej uzna poddanie mężowi za możliwość utraty własnej tożsamości poprzez poniżające ją podporządkowanie się.

To tragiczne nieporozumienie, jeśli Boże nakazy przemawiają do nas tak, jak szorstkie żądania bezdusznego despoty. Czemu nieraz reagujemy na biblijne nakazy niechętnym nastawieniem „spełniania swego obowiązku”, podobnie jak rekrut reaguje na rozkaz sierżanta, by wstał z łóżka i zrobił pięćdziesiąt pompek? Czemu nie ma w nas pełnego nadziei i ufności wyczekiwania, kiedy idziemy ścieżką posłuszeństwa Panu, nawet, jeśli jest ona stroma i skalista?

Być może źle zrozumieliśmy Jego nakaz, by miłować swe żony i być poddane naszym mężom i dlatego staramy się robić to, czego On nigdy od nas nie wymagał. Problem ten można po części przypisać naszej grzesznej naturze, która z uporem dopatruje się zła w tym, co dobre, a dobra w tym, co złe.

Cokolwiek byłoby przyczyną naszego godnego ubolewania podejścia do posłuszeństwa, jedno jest pewne. Jeśli spełniamy nasze obowiązki mężów i żon w duchu niechętnego rezygnacji, lub wymuszonej uległości, to w ogóle ich nie spełniamy. Wyobraź sobie człowieka, który odpowiada na apel misyjny słowami: „No dobrze, już dobrze, wykonaliście swoją robotę. Czuję się winny. Już dosyć się nasłuchiwałem o głodujących tubylcach i skazanych na piekło poganach - pójdę, jeśli inaczej się nie da. Gdzie mam się zapisać?” Cóż byłby z niego za misjonarz?

Dziesiątki mężów i żon podchodzi właśnie w taki sposób do swoich małżeńskich zobowiązań i są okropnymi partnerami. Element 2 *nie składa się* z posłuszeństwa Bożej woli rozumianego jako przykry obowiązek. To prawda, że podlegamy zwierzchnictwu i musimy robić to, co Bóg nam każe. Jest to naszym obowiązkiem. Ale posłuszeństwo to o wiele więcej, niż obowiązek. Jest to przywilej, możliwość zanurzenia się w taką głębię radości, przy której każda inna przyjemność wydaje się niezmiernie płytka.

Dlatego więc nakaz miłowania naszych żon i poddania się naszym mężom wydaje nam się nieraz wołaniem rodziców, by przerwać zabawę i zabrać się do odrabiania lekcji z naszego najmniej ulubionego przedmiotu? W tym rozdziale postaramy się zbadać, jak można szczerze *pragnąć* wypełniać nasze małżeńskie zobowiązania, nawet, jeśli wymaga to od nas służenia niemiłemu partnerowi. Następujące trzy tezy są ściśle z tym związane:

Teza 1: Konieczną podstawą dla wytrwałego, niewzruszonego i radosnego oddania się posłuszeństwu wszystkim Bożym nakazom jest niezachwiana wiara w dobroć Boga;

Teza 2: Posłuszeństwo, które wypływa ze świadomości Bożej dobroci, będzie wewnętrznie odbierane jako dążenie do realizacji naszych najgłębszych pragnień, a nie jako spełnianie z rezygnacją swego obowiązku.

Teza 3: Jeśli wypełnianie naszych małżeńskich zobowiązań nie daje nam żadnej radości, to nie jest to winą naszego partnera, bez względu na to, jak przykrym byłby on człowiekiem; brak radości można przypisać naszemu niewystarczającemu przeświadczeniu o dobroci Boga.

Teza 1: Podstawą prawdziwego oddania jest dobroć Boga

Chrześcijańscy doradcy definiują zwykle miłość bardziej w kategoriach działań i decyzji, niż uczuć. Poznaliśmy Bożą miłość do nas, ponieważ Bóg coś *zrobił*, a nie ponieważ coś *czuł*. Słyszymy często nakazy, by kochać naszych partnerów bez względu na to, co czujemy. Ludziom, którzy mówią, że nie kochają już swojej żony lub męża, zaleca się zwykle wykonanie szeregu pełnych miłości działań, dając im do zrozumienia, że uczucia pójdą za czynami.

Prawidłowym założeniem u podstaw takiego myślenia jest to, że prawda Słowa Bożego powinna być fundamentem naszych działań. Nie mamy dać się unosić naszym zmiennym emocjom, ale kierować się biblijnym nakazem, bez względu na to, czy nasze uczucia się z nim zgadzają, czy buntują przeciw niemu.

Bóg objawił nam niedwuznacznie Swą miłość przez to, co *zrobił*, ale równie oczywiste jest to, że działaniom tym towarzyszyły Jego pełne miłosierdzia uczucia. On nie tylko *zrobił* coś dla mnie, lecz także coś do mnie *czuł*. W Księdze Ozeasza, na przykład, Bóg mówi o tym, jak pęka Mu serce, kiedy widzi bunt i niewierność Swego ludu, który wciąż czule nazywa swoją żoną. Miłość Boga to zarówno uczucia, jak i czyny. Podobnie też nasza miłość do naszych żon lub mężów musi być czymś więcej, niż martwym, mechanicznym działaniem; w tym, co robimy musi być zapal i entuzjazm. Ale jak to osiągnąć?

Najczęściej wysuwana teza mówi, że pełne miłości uczucia wypływają z pełnych miłości czynów: jeśli będziemy podejmować wystarczająco wiele pełnych miłości działań wobec kogoś, przez wystarczająco długi okres czasu, to w końcu pocujemy również miłość do tej osoby. Ale słabym punktem takiego rozumowania jest fakt, że nie dotyka ono samego sedna problemu: wielu małżonków po prostu *nie chce* okazywać miłości swoim towarzyszom życia. Wpływowy pastor lub doradca może popchnąć kogoś do zrobienia tego, co powinien, ale relacja małżeńska zwykle się przez to nie poprawi.

Pozostawia nas to więc w kłopotcie. Jeśli powinniśmy *chcieć* kochać naszych partnerów mocą wewnętrznego pragnienia, ale *wykonywanie* pełnych miłości działań nie wytworzy w nas tego pragnienia, to jak mamy je zdobyć? Wydaje się, że mamy do wyboru albo mechaniczną uprzejmość, albo pełne uczuć odrzucenie. A może mamy czekać, aż Duch Święty wznieci żar w naszych wnętrzach? Co ma zrobić pozbawiony uczuć mąż lub żona?

Posłuchajmy typowej rozmowy w małżeńskiej poradni:

- Mąż:* Ja po prostu nie mogę kochać tej kobiety.
- Doradca:* Jeśli zdefiniujemy miłość jako chęć pełnego poświęcenia służenia pańskiej żonie, to *może* pan ją kochać. Może pan czule do niej przemawiać, okazywać akceptację, być uprzejmym.
- Mąż:* Tak, ale to wszystko byłoby takie puste. No pewnie, że mogę to zrobić! Ale czułbym się oszustem, tak, jakbym udawał miłość. Nie żywię wobec niej żadnych ciepłych uczuć.
- Doradca:* Więc *może* pan ją kochać, ale ponieważ nie *czuje* pan miłości, nie chce jej pan też okazać. Zgadza się?
- Mąż:* Ależ to nie ma najmniejszego sensu! To jest nierealne! Ja po prostu nie chcę kochać tej kobiety. Wie pan, co ona zrobiła w zeszłym tygodniu? ...

Zauważmy, jakie założenie dominuje w rozumowaniu tego mężczyzny: pragnienie honorowania jego małżeńskich zobowiązań zależne jest głównie od postawy i zachowania jego żony. W prostych słowach: „Jeśli moja żona jest dla mnie miła, to *mogę chcieć* być miły również dla niej. Jeśli nie jest dla mnie miła, to *nie mogę chcieć* być miłym dla niej. Mógłbym więc robić to, co powinienem, ale nie mogę *chcieć* robić tego, co powinienem. Jedyne, na co mogę się zdobyć, to pełna rezygnacji gotowość posłuszeństwa Bogu i kontynuowania tej uciążliwej wędrówki przez ciemny korytarz mego małżeństwa. Myślę, że mogę zrobić to, co Bóg nakazuje, ale nie wymagaj ode mnie, bym *chciał* być kochającym i czułym. Jest to po prostu niemożliwe pragnąć kochać kogoś, kto cię traktuje tak, jak moja żona mnie”.

Jeśli doradcy wyznaczają temu mężowi zadanie „cielesnego odnoszenia się” do jego żony, kiedy nie czuje nic, poza obojętnością i oziębłością, to nie wyświadczą temu małżeństwu wielkiego dobrodziejstwa. Potrzeba czegoś więcej. Aby dana relacja była prawdziwym odzwierciedleniem związku Chrystusa z kościołem, potrzebne jest gorące pragnienie służenia z miłością temu partnerowi. Ale w jaki sposób możemy wzbudzić w sobie to szlachetne pragnienie, jeśli go po prostu nie mamy i jeśli nasz partner nie przestaje wylewać kubłów zimnej wody na i tak dawno już wygasły ołtarz naszych uczuć? Czy mamy po prostu „robić to tak długo, aż zaczniemy coś czuć”? Moją odpowiedź chciałbym zacząć od przykładu.

Kiedy byłem w drugiej klasie szkoły podstawowej, upuściłem jeden koniec laski, którą nosiłem, na duży palec mojej prawej nogi. Paznokcie pękł, trysnęła krew, a ja zawylem z bólu. W ciągu kilku minut, które wydawały się być godzinami, leżałem na kozetce w gabinecie lekarza, a moja matka, wezwana do szkoły, stała u mego boku. Doktor - z rodzaju tych niewzruszonych, którzy na okrzyki bólu reagują powolnym gładzeniem się po

brodzie - obejrzał palec, a następnie sięgnął po igłę. Kiedy uświadomiłem sobie, że miał zamiar wetknąć tę igłę w mój palec, ogarnęła mnie panika. Nie miałem najmniejszej ochoty by mnie ukłuł tą igłą.

Nie wiedząc co mam robić, spojrzałem na moją matkę, a ona się uśmiechała - nie radosnym, ale zachęcającym rodzajem uśmiechu, mówiącym „odwagi”. Kobieta, która w takiej sytuacji się uśmiecha, musi być albo sadystką bez serca, albo kochającą matką, która chce, by jej syn wiedział, że ta przerażająca sytuacja, w której w tym momencie się znajduje, jest w jakiś sposób konieczną częścią dobrego planu. Znałem moją matkę. Żyłem z nią od siedmiu lat i miałem dość powodów, by wierzyć, że jest po mojej stronie, nie przeciwko mnie.

Ponieważ miałem to przeświadczenie, jej spokojny uśmiech wytworzył we mnie *chęć* poddania się trudnemu i bolesnemu zabiegowi - *chęć*, by spokojnie leżeć. Nie byłem jeszcze całkiem przekonany o dobrych intencjach doktora - w tym momencie wydawał mi się on nadal niebezpieczny - ale wierzyłem ślepo w dobroć mojej matki. Z tej wiary wyłoniła się szczerza *chęć*, by poddać się każdemu zabiegowi, jaki ona uzna za właściwy, a jej dobroć była dla mnie gwarancją, że wszystko skończy się dobrze. Moja *chęć* zrobienia czegoś, co było dla mnie nieprzyjemne, była całkowicie i wyłącznie oparta na mojej znajomości charakteru osoby, która chciała, żebym to zrobił.

Wielu małżonków myśli o swoim małżeństwie jako o czymś, co (często z bardzo uzasadnionych powodów) ani trochę nie jest przyjemniejsze od codziennego wbijania długiej igły w zraniony duży palec. Po co więc to robić? Czemu nie mielibyśmy wstać i wyjść? Oddalenie się od źródła dodatkowego bólu jest najzupełniej sensowne, jeśli chodzi nam o doznanie natychmiastowej ulgi. Ludzie, którzy cierpią dotkliwy ból, mają z natury rzeczy tylko jedno największe pragnienie: żeby mniej bolało. Wszystko, co przynosi natychmiastową ulgę, jest pożądane; wszystko, co zwiększa ból, jest niepożądane. Kiedy człowiek czuje ból, z całego serca pragnie wszystkiego, co tylko może mu przynieść ulgę. I nie ma w tym nic nieprawidłowego. Walić głową o ścianę, kiedy już i tak boli, byłoby oznaką zaburzeń psychicznych, a nie szlachetnej gotowości znoszenia cierpień. A jednak Bóg wydaje się zaprzeczać temu sensownemu rozumowaniu, kiedy nakazuje mężom i żonom honorować zobowiązania, które sprawiają im tylko coraz większy ból.

Nie mając całkowitej ufności, że Bóg nigdy nie kazałby Swym dzieciom zrobić niczego, co nie miałooby na celu ich dobra, po prostu nie będziemy w stanie wytworzyć w sobie pragnienia, by honorować nasze małżeńskie zobowiązania. I tak też powinno być. Nie ma sensu iść za przewodnikiem, jeśli mamy wątpliwości co do jego motywacji.

To, że nie działamy od razu i bez namysłu według Jego wskazówek, jest wyrazem braku głębokiego przekonania o Jego dobroci. Zastanawiamy się, czy chce nas tylko wydzierać, czy obdarzyć Swym błogosławieństwem. Problem naszego chwiejnego podejścia do małżeństwa nie jest więc kwestią

słabej woli, ale niedostatecznej wiary. Po prostu nie wierzymy, że Bóg, który każe nam wytrwać w pracy nad naszym małżeństwem, jest dobry. Gdybyśmy *wiedzieli*, On jest dobry, to czulibyśmy głębokie pragnienie działania według Jego wskazówek tak samo, jak ja odpowiedziałem na zachęcający uśmiech mojej matki pozwalając lekarzowi wetknąć igłę w mój palec.

Wynika z tego, że podstawowym lekarstwem na słabą motywację jest *wzmocnienie naszej wiary, a nie wzmoczenie wysiłków*. Nawoływania w rodzaju: „Kochaj swoją żonę i bądź podana swemu mężowi czy ci się to podoba, czy nie”, nie przykładają siekiery do korzenia problemu. Dopóki przekonanie o Bożej dobroci nie stanie się mocno utwierdzonym podłożem naszego posłuszeństwa, nawoływania takie w najlepszym wypadku zapobiegną rozprzestrzenianiu się chwastu złości i niezgody. Nie obnażą one i nie wyrwą ukrytych, bujnie rosnących korzeni, których szpetnym owocem są nasze złamane obietnice. Zachęcanie ludzi do posłuszeństwa jest bardzo ważne i właściwe. Ale jeśli chcemy, by nasza rada została z ochotą wprowadzona w życie, musi najpierw istnieć mocna podbudowa - przekonanie o Bożej dobroci.

Żona alkoholika, czy człowieka, dla którego jego praca jest wszystkim; mąż lodowatej partnerki seksualnej; musztrujący wszystkich żandarm domowy - każdemu z nich bardziej przyda się pogłębiona świadomość Bożej dobroci, niż wykład o oddaniu. Te dwie rzeczy idą z sobą zawsze w parze: posłuszeństwo Bożym nakazom pogłębia w nas świadomość Jego dobroci, a świadomość Jego dobroci daje nam motywację do dalszego posłuszeństwa. Posłuszeństwo nie połączone ze świadomością Jego dobroci daje mozolnie wypracowane oddanie, które ograbia nas z wszelkiej radości. Świadomość Bożej dobroci nie idąca w parze z posłuszeństwem jest płytka i staje się jedynie sztywną teorią.

Honorowanie naszych małżeńskich zobowiązań ma sens, ponieważ Bóg, który nam to nakazuje, jest dobrym Bogiem, pragnącym dla nas jak najlepiej. Ścieżka, którą On nam wyznaczył, prowadzi do niezrównanej radości dla nas, a chwały dla Niego. Świadomość Jego charakteru w naturalny sposób wytwarza w nas pragnienie zastosowania się do Jego wskazówek.

Teza 2: Honorowanie naszych zobowiązań wypływające z głębokiej ufności w Bożą dobroć będzie odczuwane nie tyle, jak „spełnianie swego obowiązku”, ale bardziej jak realizowanie naszych najgłębszych pragnień.

Gdyby umierającemu z głodu człowiekowi kazać nakarmić jego głodnego sąsiada, byłby, rozumie się, niezbyt skory do wykonania polecenia. Gdyby tylko wpadło mu w ręce coś do jedzenia, to sam by to zjadł. Nie jest łatwo oddać komuś drugiemu coś, czego sami tak rozpaczliwie pożyjemy. Natomiast *chcieć* to oddać, wydaje się już całkiem absurdalne i niewykonalne.

Wydaje się nieraz, że w małżeństwie musimy zarzucić wszelką nadzieję na osobiste szczęście po to, by uszczęśliwić naszego towarzysza życia. Pewien mąż

powiedział mi niedawno przy swojej zapłakanej żonie: „Wiem, że ona chciałaby, żebym wycofał sprawę rozwodową, ale jestem całkowicie przekonany, że z nią po prostu nie mogę być szczęśliwy. Pan każe mi zrezygnować z mego szczęścia po to, by jej oszczędzić przykrości rozvodu. Przykro mi, ale jeśli mam wybierać pomiędzy jej szczęściem, a moim własnym, to nie mam ochoty być męczennikiem”.

Zastanawiam się nieraz, ilu z nas - może nieświadomie - podobnie myśli o Bożych nakazach co do małżeństwa. Wydaje się, że jeśli szczęście naszego partnera stałoby się dla nas ważniejsze, niż nasze własne, to bylibyśmy na tym w jakiś sposób stratni. Zauważmy, że jeśli będziemy tak podchodzić do sprawy, to pozostaniemy wierni naszym małżeńskim przyrzeczeniom tylko do momentu, dopóki nie stwierdzimy ujemnego salda; to znaczy, jak długo dawanie przynosi oczekiwane rezultaty, będziemy z chęcią dotrzymywać naszych małżeńskich obietnic. Jednak w momencie, gdy stajemy przed wyborem: moje szczęście lub jego, nasze małżeńskie zobowiązania stają się jak więzienie odgradzające nas od wolności i radości. Jeśli postanowimy sobie, że będziemy je honorować, to zawsze będzie to w duchu „odsiadywania kary”.

Oto typowy dialog w poradni małżeńskiej:

Doradca: Czy zdaje sobie pani sprawę, że pani małżeństwo stanowi niepowtarzalną okazję do tego, by rzeczywiście zaspokajać potrzeby pani męża?

Żona: Tak, wiem, co pan ma na myśli - że powinnam go podbudowywać i zachęcać, tak, by mógł bardziej wierzyć w siebie. Już od lat staram się to robić. Niewiele to dało, ale będę nadal próbować.

Doradca: Dlaczego?

Żona: Co dlaczego?

Doradca: Dlaczego będzie pani nadal starać się mu służyć?

Żona: Bo wiem, że powinnam.

Doradca: Rozumiem przez to, że chce pani nadal starać się mu służyć, ponieważ jest to pani obowiązkiem. Ale pani serce nie jest w to zaangażowane. Tak naprawdę nie ma pani na to ochoty.

Żona: Nie, tak naprawdę nie mam na to ochoty.

Doradca: Nie widzę więc powodu, by się starać.

W tym momencie zaskoczona żona zastanawia się, czy ja jako doradca nie jestem przypadkiem zwolennikiem rozvodu lub może separacji. Ja rzeczywiście nic takiego nie propaguję. Powinna być poddana swemu mężowi i jak najlepiej mu służyć, ale dopóki gdzieś w głębi serca nie żywi pragnienia, by być dobrą żoną, jej wysiłki będą jedynie mechanicznym odklepywaniem zadanej roli. A to w najmniejszym stopniu nie przyczynia się do tego, by być dobrą żoną.

Możemy zadać sobie pytanie, dlaczego jakaś kobieta miałaby *chcieć* służyć irytującemu, oziębło i odpychająco traktującemu ją mężowi. Wymuszone posłuszeństwo biblijnym nakazom nie wystarczy. Pomyślmy raz jeszcze nad przykładem umierającego z głodu człowieka, który ma głodnego sąsiada. Załóżmy, że zapewnilibyśmy go, że specjalnie dla niego stoi już przygotowana wspaniała uczta. Jako zadatek czekających go smakolejków daliśmy mu przystawkę - sporą porcję pasztetu z bażanta i kawałek wspaniale przyrządzonego befsztyku. Wyobraźmy sobie następnie, że daliśmy mu słowo, że jedzenia jest w bród i dla wszystkich wystarczy. Kiedy spojrzał poprzez ogrodzenie na swego bladego, wychudłego sąsiada, wyobraźmy sobie, że uderzyła go przede wszystkim myśl o jego tragicznym położeniu i że stała się ona tak przemożna, że przyćmiła w jego pamięci wszystkie dawne sprzeczki o pożyczoną motykę i hałaśliwe przyjęcia.

Pójdźmy w naszej wyobraźni jeszcze krok dalej. Załóżmy, że wydający ucztę poprosił tego człowieka, by zaniósł swemu sąsiadowi kawałek befsztyku i zaprosił go na posiłek. Czy odpowiedziałby on w takiej sytuacji: „Wcale mi się nie chce, ale myślę, że powinienem. No dobrze, już idę”? Czy pobiegłby uradowany do sąsiada z dobrą nowiną, że jest jedzenie - gotów podzielić się z nim swoim kawałkiem befsztyku i w ten sposób zachęcić go, by poszedł z nim na ucztę?

Chrześcijańskie małżeństwo, jeśli spojrzymy na nie z perspektywy tego wszystkiego, co Bóg nam daje i z perspektywy naszych potrzeb, bardzo przypomina sytuację z tej przypowieści. Wszystkie moje potrzeby są całkowicie zaspokojone w Chrystusie. Całe bogactwo niebios należy do mnie. W to każe mi wierzyć Bóg. I On dał mi już posmak tego, co mnie czeka, by pobudzić moją wiarę. Niestety jednak, problem w tym, że bardzo niewielu Chrześcijan rzeczywiście posmakowało i przekonało się, że dobry jest Pan. Radość wspólnoty z Chrystusem i służenie w Jego imię nie jest dla wielu Chrześcijan podniecającą rzeczywistością, ponieważ nie są Mu na tyle oddani. Lecz ci, którzy złożyli całkowicie swój los w Jego ręce, znają też radość i pokój, jaki On daje.

Bóg nakazuje mi również dzielić się z innymi tym, co On dał mnie. Przytomnym wzrokiem człowieka, którego głód został teraz częściowo zaspokojony, a w przyszłości zostanie zaspokojony całkowicie, mogę patrzeć głębiej, poza to, co mnie u mojej żony irytuje i widzieć, że potrzebuje ona tego samego pożywienia, którym ja się syć. Moje serce poruszone jest współczuciem. Czuję przemożne pragnienie, by Bóg użył mnie do wytworzenia w niej nadziei całkowitego zaspokojenia jej głodu.

Chciałbym tak to podsumować: jeśli doświadczyłem już, że w Chrystusie zaspokojone są moje najgłębsze pragnienia, to będę w stanie spojrzeć głębiej, niż sięgają moje pragnienia i dostrzec potrzeby mojej żony; kiedy zaś widzę jej potrzeby, to fakt, że sam doświadczyłem już zaspokojenia moich potrzeb w Chrystusie, zrodzi we mnie głębokie pragnienie, aby i ona doświadczyła podobnego zaspokojenia.

Wydaje Ci się może, że jest to rozumowanie pięknie brzmiące lecz bardzo odległe od rzeczywistości naszej codziennej szarpaniny? Już sam fakt, że sprawia to na nas wrażenie nieosiągalnego w normalnym życiu ideału, świadczy o tym, jak daleko poniżej możliwości normalnego, *chrześcijańskiego* życia zwykle żyjemy. Tak więc, przeświadczeni o Bożej dobroci i zadowoleni z Jego planu co do naszego życia, powinniśmy uważać się za instrument służenia. Właściwe zrozumienie małżeństwa, jako powołania do doniosłej służby, nauczy nas dostrzegać najgłębsze potrzeby naszych partnerów i cenić sobie tę szczególną możliwość zaspokajania w znaczący sposób tych potrzeb.

Ponieważ nie czujemy zadowolenia, jakie daje fakt, że jesteśmy otoczeni Bożą dobrocią, czekamy, aż nasz partner zaspokoi nasze potrzeby. Jeśli tego nie robi, co niewątpliwie kiedyś się zdarzy, odsuwamy się od niego na bezpieczną odległość, by zmniejszyć do minimum odczuwaną przez nas przykrość. Ponieważ jednak jesteśmy „prawdziwymi, opierającymi się na Biblii, Chrześcijanami”, szlachetnie trwamy w wypełnianiu naszych małżeńskich obowiązków w duchu posłusznego męczeństwa, przekonani, że Bóg podziwia nasze pełne poświęcenia oddanie obowiązkom.

Chrześcijanie, którzy wystawili Boga na próbę przez to, że bezwarunkowo zdali się na Jego wolę, którzy wciąż na nowo rewidują swoje motywacje, czy nie ochraniają się raczej zamiast służyć, ci Chrześcijanie przekonują się o dobroci Boga. To oni mogą uważać swoje małżeństwo coraz bardziej za okazję do realizacji swoich najgłębszych pragnień, do pójścia właściwą ścieżką i zachęcania swych partnerów, by szli z nimi. Ich małżeńskie przysięgi nie stają się dla nich przykrymi obowiązkami, które trzeba wypełnić.

Teza 3: Winy za brak radości przy honorowaniu naszych małżeńskich zobowiązań nie można przypisywać naszemu partnerowi; winien jest nasz brak zaufania w dobroć Boga.

Trzecia teza wypływa w naturalny sposób z pierwszych dwóch. Najbardziej uporczywie tkwiącą w nas skłonnością jest zwalanie winy za nasz brak duchowego owocu na coś, lub kogoś innego. Pismo stwierdza wyraźnie, że radość jest owocem Ducha Świętego w naszym życiu, kiedy otwieramy się na Jego działanie. A jednak, gdy irytacja lub rozczarowanie wypierają z nas radość, nasz umysł rozwodzi się natychmiast nad tym, jak bardzo ktoś inny nas zawiódł.

W tonie naiwnego przekonania o swojej własnej racji, przypominamy sobie (i naszym doradcom) to wszystko, co musimy znosić. U podłoża tego skupienia się na błędach naszego towarzysza życia leży subtelne, niebiblijne założenie: nasz brak radości jest winą naszego partnera. Gdyby tylko on lub ona się zmieniła, to wtedy mógłbym z radością spełniać rolę kochającego męża, czy poddanej żony. Radość jest uważana za owoc postawy i zachowania naszego partnera, a nie za owoc Ducha.

Prawdą jest, że duża część mojego subiektywnego szczęścia zależy od tego, jak odnosi się do mnie moja żona. Mam żonę, która mnie kocha i szanuje, a ciepło i poparcie, jakim mnie obdarza, sprawia mi dużo radości. Dzięki jej postawie mogę honorować moje zobowiązanie kochania jej z pewną łatwością i rozkoszą. Gdyby ona zwróciła się przeciwko mnie, to moja wola dotrzymania obietnicy, jaką jej dałem, że będę ją kochać, tak, jak Chrystus ukochał Swoją kościół, byłaby bez wątpienia wystawiona na ciężką próbę. Nawet, gdybym zawierzył Bogu do tego stopnia, że nadal służyłbym jej wiernie jako kochający mąż, to przyjemność, z jaką służyłem jej zanim zwróciła się ona przeciwko mnie, byłaby dużo mniejsza, lub w ogóle zniknęłaby.

Gdzież jest więc moja radość? Jeśli zniknie, to czy nie mogę przypisać tego zmianie postawy mojej żony? Jeśli starając się nadal realizować moje postanowienie okazywania jej miłości wytworzyłem w sobie zrezygnowane, pozbawione radości, podejście do życia, to czy nie mogę przypisać mojej żonie winy za ten brak radości?

Choć nie będzie już wywołującej dreszcz przyjemności trzymania w ramionach kochającej żony, zanik radości w mojej małżeńskiej służbie byłby oznaką mojej zmniejszonej ufności, że Boży plan co do mego życia jest dobry. Tak długo, jak długo częścią tego planu była kochająca mnie żona, nie trudno mi było wierzyć w Jego dobroć. Ale kiedy nakazuje mi On kochać kobietę, która przyjmuje wobec mnie wrogą postawę, potrzebuję herkulesowej wiary, by nadal ufać, że Jego plan jest dobry. Jeśli jednak wytrwam w tej ufności, to najistotniejszy element mojej radości pozostanie nienaruszony.

Misjonarz, którego wysiłki Bóg wynagrodził dużą liczbą nawróconych ludzi, wraca do swego macierzystego kościoła promieniejący entuzjastycznymi relacjami z Bożych błogosławieństw. Misjonarz, którego równie wytrwałe wysiłki nie przyniosły żadnego widocznego rezultatu, nie może czuć tego samego rodzaju entuzjazmu, ale nie potrzebuje zwieszać głowy. Choć rozczarowanie sprawia prawdziwą przykrość i może wywołać walkę duchową, to jednak wierny sługa Boży ma powody do radości wiedząc, że każdy przejaw posłuszeństwa Bogu osiąga swój cel i sprowadza uśmiech na twarz Zbawiciela.

Przyznaję, że wolałbym być tym misjonarzem, którego praca przynosi wspaniałe rezultaty, podobnie, jak cieszę się z tego, że mam kochającą żonę. Jakkolwiek bez względu na to, czy Bóg pobłogosławił nas pomyślnymi okolicznościami, czy wystawieni jesteśmy na bolesną próbę, zasadnicza podstawa radości Chrześcijanina pozostaje niezmienną: przeświadczenie o tym, że nasza wierność podoba się Chrystusowi i że służy Mu ona do realizacji Jego nadrzędnego planu. Ponieważ Jego plan jest dobry, posłuszeństwo jest dla szczerego Chrześcijanina prawdziwym źródłem radości.

Kilka par małżeńskich, które ostatnio siedziały w moim gabinecie, potrzęsały głowami, kiedy rozmawiałem z nimi o tym wszystkim. Jest to trudna nauka. Nie jest prostą sprawą zbudować (lub odbudować) nasze

małżeństwo na przekonaniu, że łaska Boża jest wystarczającym powodem, by wytrwać w posłuszeństwie (Element 1) i konsekwentnie dotrzymywać naszych małżeńskich obietnic w przekonaniu, że Boży plan jest zawsze dobry (Element 2).

Trudność leży po części w tym, że nie uświadamiamy sobie, do czego Bóg jest zdolny: napotykane problemy wprawiają nas w zniechęcenie i zaprzestajemy wszelkich starań. Inną przyczyną trudności jest nasza ograniczona i chwiejna świadomość tego, że Bóg jest dobry: znika w nas przez to wszelkie rzeczywiste pragnienie stosowania się do Jego wskazówek.

Ale część trudności na drodze do radosnej i wytrwałej służby można przypisać też temu, że nie wiemy, jak mamy radzić sobie z konfliktami w naszym małżeństwie. I tak dochodzimy do tego, co stanowi trzeci element małżeńskiej budowli, a którym zajmuje się następny rozdział.

PRZYPISY

1. Wiele ludzi uważa, że Biblia pozwala Chrześcijaninowi uznać pewne rodzaje postępowania jego partnera (cudzołóstwo lub porzucenie) za uzasadnioną podstawę do rozwodu. Książka Jay Adamsa *Marriage, Divorce and Remarriage* (Grand Rapids: Baker Book House, 1981) zajmuje się szczegółowo tym zagadnieniem. Jednakże bez względu na okoliczności łaska Boża zawsze jest wystarczająca do tego, by utrzymać Chrześcijanina na drodze posłuszeństwa - a ta może nieraz oznaczać życie w samotności.

Element 3

Akceptacja

Zanim wezwiemy inspekcję budowlaną, by oceniła naszą małżeńską budowlę, jeszcze jeden element musi się znaleźć na szczycie dwóch pierwszych.

Wydawało się, że pewien sfrustrowany mąż, mój znajomy, nie ma trudności ze zrozumieniem pojęcia łaski i szczerego oddania, miał jednak inny problem.

„Jestem przekonany - powiedział - że Bóg jest w stanie zamienić każdą pozorną klęskę w okazję do doświadczenia szczególnego błogosławieństwa. To przekonanie powstrzymywało mnie przez cały ten czas od tego, by dać za wygraną w moim małżeństwie. Ja także jestem świadomy tego, że Bóg jest dobry i że dobry jest Jego plan. Naprawdę chcę stosować się do Jego wskazówek dotyczących mojego życia i spełniania roli męża. Będę z panem szczerzy. Bardzo mi pan pomógł wyjaśniając to wszystko o łasce, która jest wystarczająca w każdej sytuacji i o szczerym oddaniu, ale czasami moja żona naprawdę dopieka mi do żywego. Robi mnóstwo rzeczy, które mnie po prostu wyprowadzają z równowagi. Myślę, że każdego wyprowadziłyby z równowagi. Nasza sypialnia nie jest nigdy posprzątana, w zlewie całymi dniami stoi stos brudnych naczyń, a ona biega bez przerwy i roznosi jedzenie chorym sąsiadom, pędzi na różne studia biblijne dla kobiet i rzadko słucha tego, co ja do niej mówię. Najczęściej udziela mi porad nafaszerowanych kilkoma biblijnymi wersetami. Robiłem co w mojej mocy, by właściwie na to wszystko reagować. Naprawdę! Byłem cierpliwy, zaproponowałem, że wynajmiemy pomoc do prac domowych, starałem się nie krytykować jej, wiele razy sam bez szemrania posprzątałem kuchnię, kupowałem jej różne miłe upominki - ale jestem już u kresu sił. Po całym dniu pracy wyciskającej ze mnie siódme poty, nie mam ochoty wchodzić do niechlujnego domu zastanawiając się, czy dostanę coś przyzwoitego do jedzenia.

Jeśli powinienem czuć wobec mojej żony coś w rodzaju czulej akceptacji to niestety, tego nie czuję. Z jednej strony z całego serca chcę jej służyć i staram się jak mogę to robić, ale z drugiej strony doprowadza mnie po prostu do szału. Co mam zrobić z tą frustracją?”

Bez względu na to, jak bliska jest relacja, czy jak mocne postanowienie służenia sobie wzajemnie, każdy mąż i żona ma nieraz takie momenty, że ich partner irytuje ich, czy wręcz doprowadza do białej gorączki. Jak mamy zatem *akceptować*, a nie tylko znosić gburowatego, irytującego partnera? Pojęcie Bożej łaski i dobroci nie daje zadowalającej odpowiedzi na to pytanie.

Biblia nakazuje nam o wiele więcej, niż tylko tolerować się wzajemnie. Mamy akceptować się nawzajem tak, jak Bóg nas akceptuje (Rzym. 15,7). Mamy być dla siebie wyrozumiali w miłości, a to wymaga nieraz czegoś całkiem innego, niż tylko pogodzenia się z losem wydając pełne rezygnacji westchnięcie (Efez. 4,32). Mają być w nas widoczne duchowe owoce miłości, cierpliwości i uprzejmości (Gal. 5,22). W chrześcijańskich relacjach musi istnieć coś więcej, niż tylko gotowość wytrwania ze względu na wspierającą nas Bożą łaskę. Wymagają one czegoś więcej, niż tylko szczerego postanowienia służenia sobie wzajemnie. W jakiś sposób mamy się również nawzajem akceptować. Trzeba jasno zrozumieć, że akceptacja wymaga od nas więcej, niż tylko pragnienia służenia sobie wzajemnie. Misjonarz, który pielęgnuje trędowatego, może wytrwać w najbardziej nawet nieprzyjemnej służbie mocą swego głębokiego oddania Bogu i potrzebującym ludziom. Ale całkiem inną sprawą jest akceptowanie kogoś, kto cierpi na taką odrażającą chorobę, zwłaszcza, jeśli ów trędowaty jest niewdzięcznym i zgorzkniałym człowiekiem.

Co ma zrobić mąż, jeśli jego żona jest natrętem religijnym, jeśli przy każdym spotkaniu w kościele ludzie uciekają przed nią, by uniknąć jej niekończącej się paplaniny? Jak mamy zaakceptować taką męczącą żonę?

Zastanówmy się nad położeniem kobiety o nienagannych manierach, której mąż nakłada sobie jedzenie z talerza do ust jednym ciągłym ruchem, przerywając to zajęcie tylko by zrobić miejsce na następną porcję. Choć może ona z pełnym sukcesem starać się wytrwać w postanowieniu służenia swemu niewychowanemu mężowi, to trudno brać jej za złe to, że czuje się zażenowana i zmieszana.

Codzienna rzeczywistość życia z niedoskonałym partnerem wystawia nieraz naszą wolę akceptacji drugiego na ciężką próbę. A jednak chrześcijańskie małżeństwo wymaga pełnej, szczerzej i namacalnej akceptacji drugiej osoby bez względu na to, jakie nieprzyjemne przyzwyczajenia utrudniają nam to zadanie. Zobaczmy więc, co to znaczy, że mamy dodać *akceptację* (Element 3) do *łaski i szczerzego oddania* (Element 1 i 2). Zaczniemy od dwóch podstawowych twierdzeń.

Twierdzenie 1: Akceptowanie naszego towarzysza życia i doznawanie przyjemności w przebywaniu z nim - to dwie całkiem różne sprawy. Pierwsza jest nakazem, a druga błogosławieństwem.

Twierdzenie 2: Poczucie akceptacji wobec naszego partnera zależne jest od przebaczenia, a to z kolei zależy od tego, czy chcemy

spojrzeć na rażące nas zachowanie naszego męża lub żony z biblijnej perspektywy.

Teza 1: Różnica pomiędzy akceptacją a doznawaniem przyjemności w obcowaniu z kimś.

Najważniejszą sprawą przy wznoszeniu naszej małżeńskiej budowli jest uświadomienie sobie, gdzie tak naprawdę się znajdujemy. Dopiero gdy uznamy istnienie jakiegoś problemu, skłonni będziemy szukać rozwiązania.

Ponieważ Bóg potrafi sobie poradzić z każdą możliwą trudnością, nie powinniśmy nigdy uciekać przed żadnym wyłaniającym się problemem. Małżeństwo może nieraz oznaczać dla nas życie z doprowadzającym nas do wściekłości, uciążliwym, rozczarowującym, przykrym człowiekiem. W naszych staraniach osiągnięcia większej jedności małżeńskiej nie pomoże nam także, jeśli będziemy po cichu usuwać ze świadomości tego rodzaju doświadczenia i koncentrować się na dobrych stronach naszego partnera oraz ciągle przypominać sobie, że mamy być uprzejmi. Każde małżeństwo ma momenty, w których jedno z małżonków sprawia zawód drugiemu, nieraż ogromny zawód, a czasem tylko niewielki. Dlatego musimy zrozumieć, co to znaczy akceptować przykrego partnera.

Aby odpowiedzieć sobie na to pytanie, spróbujmy się najpierw zastanowić, co się dzieje, kiedy zostajemy urażeni. Można wyróżnić wtedy co najmniej dwie reakcje: *decyzję* i *uczucie*. Kiedy nasz partner zirytuje nas lub sprawi nam zawód, możemy podjąć świadomą decyzję, czy chcemy wytrwać w służeniu mu, czy wycofać się poza chroniącą nas manipulację. Naturalną reakcją jest pragnienie zmniejszenia bólu i niedopuszczenie do powtórzenia się podobnej sytuacji. Możemy pójść za naszym naturalnym impulsem i podjąć takie działanie, które da nam lepsze samopoczucie (lub zmniejszy złe samopoczucie), bądź też, możemy wybrać dalszą służbę, bez względu na koszty, jakie musimy ponieść. Stoimy przed decyzją: *manipulacja* w celu zaspokojenia naszych potrzeb, lub *służenie* w celu zaspokojenia potrzeb naszego partnera.

Druga reakcja na jakieś wydarzenie pomiędzy tobą a drugim człowiekiem ma charakter uczuciowy. *Czujemy* coś. Jeśli dane wydarzenie jest pozytywne i miłe, jest nam przyjemnie, jeśli wydarzenie jest pełne wrogości i gwałtu, mamy nieprzyjemne uczucia.

To, czy nasze uczucia są przyjemne, czy nieprzyjemne, zależy całkowicie od tego, jakie było to wydarzenie. Nie jest to kwestią naszego wyboru. Nie mogę *postanowić* sobie mieć ciepłe uczucia kiedy moja żona mi ubliża. Nie mogę także *postanowić* sobie, że będę się czuł uszczęśliwiony, kiedy mówi mi coś miłego. Uczucia nie są bezpośrednim wynikiem naszego wyboru, lecz naturalną reakcją na daną sytuację.

Trzeba, byśmy dobrze to zrozumieli. Bez względu na to, jak mocno postanowiliśmy sobie zawierzyć Bożej trosce co do zaspokojenia naszych

najgłębszych potrzeb osobowych (Jedność Ducha) i pomimo niewzruszonej woli służenia naszym towarzyszom życia (Jedność Duszy), nieprzyjemne wydarzenia wywołują w nas zawsze nieprzyjemne uczucia.¹ Jezus płakał nad grobem Łazarza. Lecz radował się razem z aniołami z nawrócenia Zacheusza. Charakter wydarzenia określa rodzaj wywołanego przez nie uczucia.

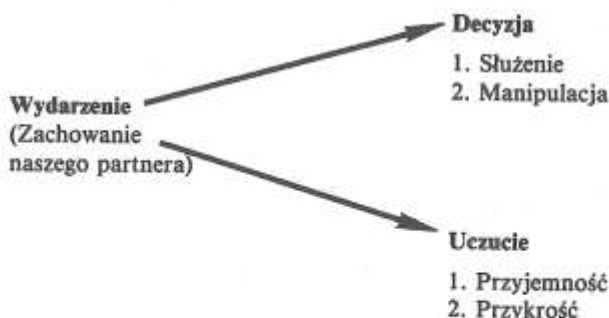
Mówiąc ogólnie, wydarzenia, z jakimi się spotykamy, wywołują w nas jedno z dwóch podstawowych uczuć. Każde uczucie, jakiego doznajemy, można z grubsza zakwalifikować do jednej z dwóch głównych kategorii: *przyjemne* lub *nieprzyjemne*. Są też takie wydarzenia, które wywołują w nas bardzo znikomą reakcję emocjonalną; na przykład, nie czuję ani nic przyjemnego, ani nic nieprzyjemnego kiedy moja żona kupuje nową szczoteczkę do zębów. Tu chodzi mi jednak nie o takie względnie obojętne emocjonalnie wydarzenia, ale o całe mnóstwo działań, które wywołują w nas dostrzegalną reakcję emocjonalną.

Nazwijmy pewne zachowanie danej osoby wobec jego lub jej partnera *wydarzeniem*, jakieś konkretne działanie wywołujące w drugiej osobie reakcję emocjonalną, której jest ona w pełni świadoma. Pamiętajmy, że to, czy czujemy przyjemność, czy przykrość w konsekwencji danego wydarzenia, zależy wyłącznie od rodzaju tego wydarzenia. Wynika więc z tego, że nie ponosimy żadnej odpowiedzialności za to, jakiego uczucia doznajemy.

Nakaz Jakuba, „pocytujcie to sobie za najwyższą radość, ... gdy rozmaite próby przechodzicie” (Jak. 1,2), nie znaczy, że uduchowieni ludzie nie czują bólu, kiedy spotykają się z odrzuceniem. Bóg stworzył nas jako istoty społeczne, czule na napięcia międzyludzkie. Kiedy ktoś kopnie mnie w nogę, powinienem czuć ból; jeśli nic nie czuję, to znaczy, że z moją nogą jest coś nie w porządku. Podobnie też, jeśli czuję przyjemność, kiedy spotykam się z odrzuceniem, to znaczy, że coś jest nie w porządku z moją psychiką. Nie ma więc najmniejszego sensu, by kobieta miała czuć się winna, jeśli jest jej przykro, ponieważ jej mąż ostro ją krytykuje. Doświadczenie przyjemnych uczuć w momencie, gdy jest się przez kogoś odrzuconym, jest oznaką nie naszego uduchowienia, ale zaburzeń psychicznych lub fałszywej pobożności.

Moją pierwszą tezę można więc w prostych słowach sformułować tak: nasza reakcja na określone wydarzenie (zachowanie naszego partnera) składa się zarówno z *decyzji* służenia lub manipulowania (która całkowicie zależy od osobistego wyboru), oraz z *uczucia* przyjemności lub przykrości (całkowicie zależnego od charakteru wydarzenia).

Zauważmy, że decyzja daje początek działaniu w kierunku *danego wydarzenia*, a uczucie jest reakcją, która *wyptywa z danego wydarzenia*.



Rysunek 1.

Kiedy małżonkowie słyszą na wykładach o małżeństwie o tym, że mają akceptować się wzajemnie, zastanawiam się ilu spośród nich rozumie przez to, że powinni czuć przyjemność w każdym momencie, który spędzają ze swoim partnerem. Kiedy partner traktuje ich niewłaściwie, przykrość jest całkiem normalnym i nieuniknionym odczuciem. Jeśli akceptacja wymaga od nas, byśmy czuli przyjemność, to niemożliwe jest akceptowanie męża lub żony, która nas niewłaściwie traktuje.

Jeśli mężowie postawią znak równości pomiędzy akceptacją a odczuwaniem przyjemności, to wracają z takiego wykładu do domu i mówią swym żonom, że gdyby tylko zechciały być nieco miłsze, to od razu by je zaakceptowali. Żony zareagowałyby z pewnością bardzo podobnie. Jeśli pomylimy akceptację naszego partnera z doznawaniem przyjemności w obcowaniu z nim, to każde z małżonków będzie obwiniało drugie o brak akceptacji (czytaj: przyjemnych uczuć) w ich małżeństwie.

Biblia nakazuje nam, byśmy akceptowali naszych towarzyszy życia. Najwidoczniej Bóg zakłada, że jesteśmy w stanie *akceptować* partnera, który *nie wytwarza w nas przyjemnych uczuć*. Akceptacja musi być zatem czymś innym, niż przyjemne uczucia. W jakiś sposób jestem zdolny do akceptowania mojej żony bez względu na to, czy jej zachowanie sprawia mi przyjemność, czy przykrość. Jeśli ona jest dla mnie miła i uprzejma, to mogę uznać odczuwaną przeze mnie *przyjemność* za błogosławieństwo, ale czy moja żona sprawia mi przyjemność, czy przykrość, *akceptowanie* jej musi dla mnie pozostać zawsze nakazem. Jeśli akceptacja nie ma nic wspólnego z naszą *reakcją emocjonalną*, czym więc jest?

Może wydawać się nam oczywiste, że akceptacja związana jest z naszą *decyzją* służenia, a nie manipulowania i że, jeśli chcemy, zawsze możemy wybrać służenie, nawet najbardziej przykreemu małżonkowi. Ale akceptowanie naszego partnera wymaga nie tylko mocnego postanowienia służenia mu.

Trwanie w szczerym postanowieniu służenia możliwe jest bez rzeczywistego akceptowania naszego męża lub żony. Oddana służba może być kontynuowana z pewną rezerwą, która utrzymuje dystans pomiędzy osobą służącą a tym, komu ona służy. W relacji istnieje wtedy coś nieokreślonego, co w oczywisty sposób przeszkadza osiągnięciu głębokiej jedności. Brakuje akceptacji.

Jeśli więc akceptacji nie można zdefiniować jako *uczucia*, które żywimy wobec naszego partnera i jeśli jest ona czymś więcej, niż *decyzją* wytrwania w naszym postanowieniu służenia, to czym wobec tego jest akceptowanie drugiej osoby? Aby w pełni zrozumieć, jak możemy akceptować męża lub żonę, która jest nieraz przykra wobec nas, musimy wpierv rozważyć biblijne pojęcie przebaczenia.

Teza 2: Poczucie akceptacji wobec naszego partnera zależne jest od przebaczenia, a to z kolei zależy od tego, czy chcemy spojrzeć na rażące nas zachowanie naszego męża lub żony z biblijnej perspektywy.

Maria sprawia przykrość Janowi. Jan *czuje się* dotknięty, ale pozostaje przy swej *decyzji* służenia jej pomimo jej nieprzyjemnego zachowania. Czegoś tu jednak brak. Jan wie o tym, a i Maria też niedługo to zauważy. Choć on stara się jej służyć, ponieważ chce być posłuszny Bogu, to jednak jego wysiłki, by okazywać jej miłość, wydają się jakieś sztuczne. Jest świadomy jakiegoś dziwnego przymusu służenia, który sprowadza jego męzowskie gesty do gry aktorskiej, tak, jakby udawał, że jest kimś innym, bo tak nakazuje mu scenariusz teatralny. Kiedy Jan mówi Bogu w modlitwie o swym nienaturalnym podejściu do Marii, zauważa w sobie gorycz, która się wzmaga, kiedy na nowo staje mu przed oczami to, jak Maria wobec niego postąpiła. Uświadamia sobie, że jego uczucia wobec Marii skutecznie blokują wszelki postęp w kierunku jedności. Jan postanawia więc pozbyć się swojej złości, tak, by mógł w pełni zaakceptować Marię. Ale nie może akceptować kogoś, do kogo czuje urazę. Musi najpierw wygasić w sobie zgorzknienie, tak, by mogła wzrastać w nim pełna czułości, niewymuszona chęć służenia, pragnienie kochania żony oparte nie tylko na fakcie, że Bóg jest dobry, ale także na jego głębokiej troskliwości wobec niej.

Jan zwraca się o pomoc do chrześcijańskiego doradcy. „Jak mam pokonać moje zgorzknienie, tak, by moja troska o Marię mogła wyrastać z głębokiej akceptacji?”

Doradca odpowiada: „Jest pan wciąż zły na żonę, ponieważ jej pan jeszcze nie przebaczył. Zgorzknienie wskazuje na to, że tak naprawdę, w głębi serca, nie przebaczył jej pan”. Jan rozważa tę poradę i zaczyna rozumieć, że musi przebaczyć Marii, jeśli chce on ją naprawdę akceptować.

Zauważmy jak z tej scenki wylania się definicja akceptacji: *akceptować kogoś znaczy służyć bez urazy, lub przymusu*. Innymi słowy, na akceptację

składają się obydwie kanały naszej reakcji na dane wydarzenie: (1) decyzja służenia, i (2) brak uczuć, które przeszkadzałyby w służeniu.

Pierwszy element zależy po prostu od naszego wyboru: służenie lub manipulacja. Drugi element jest jednak bardzo złożony. Nikt nie może siłą woli pozbyć się goryczy w stosunku do kogoś. A jednak, by rzeczywiście akceptować kogoś, kto sprawił nam przykrość, musimy zostać w jakiś sposób uwolnieni od wrogich uczuć, które wytwarza w nas wspomnienie tego przykrego wydarzenia. Jak mogę pozbyć się goryczy i tym samym zaakceptować mojego partnera?

Z charakterystyczną dla siebie prostotą Biblia podaje rozwiązanie w jednym słowie. Przejście od zgorzknienia do życzliwości, od wymuszonej uprzejmości do szczerych przejawów miłości wymaga *przebaczenia*. Dobrze byłoby, gdybyśmy mogli jasno zrozumieć jakie elementy niesie z sobą przebaczenie i w jaki sposób usuwa z korzeniami wszelką urazę. Aby to zrozumieć, musimy zbadać jakie są źródła ludzkiej goryczy.

Przypomnijmy sobie, co powiedzieliśmy już o dwóch podstawowych potrzebach osobowych, potrzebie bezpieczeństwa i własnej wartości. Ponieważ nasze potrzeby są w pełni zaspokojone w naszej relacji z Chrystusem, mamy z czego dawać innym. Wolność, jaką daje nam Chrystus, pozwala nam także nie żądać niczego od naszych towarzyszy życia. Czujemy ból, jeśli nasz partner nas odrzuca lub lekceważy, ale Boża miłość i Boży cel dla naszego życia umożliwiają nam dalsze służenie, bez względu na to, jak mało otrzymujemy w zamian. Dlatego możliwe jest, nawet mając najbardziej przykrego męża lub żonę, wytrwanie w zamiarze służenia, a nie manipulowania.

Niemniej jednak, choćbym nie wiem ile opowiadał o tym, że niczego od mojej żony nie potrzebuję, nadal pragnę jej towarzystwa, emocjonalnego wsparcia, szacunku, uznania, satysfakcji seksualnej i jeszcze wiele więcej. Ponieważ pragnę, żeby moja żona w określony sposób reagowała, jej niemiłe zachowanie może sprawić mi ból i przykrość. Gdybym niczego od niej nie chciał, to wtedy jej chłodne zachowanie wobec mnie nie sprawiłoby mi żadnej przykrości. Ale ja chcę czegoś od mojej żony i tak też powinno być. Jeśli nie otrzymam tego, co chcę, będzie mi oczywiście przykro. Ale w jaki sposób ból i przykrość potęgują się do tego stopnia, że stają się zgorzknieniem?

W mojej wcześniejszej książce na temat poradnictwa wysunąłem tezę, że nasza *ocena* danego wydarzenia w dużej mierze wpływa na to, jakie *uczucia* ono w nas wywoła.² Wyobraźmy sobie, że zaszło pewne wydarzenie. Jeśli jestem *przekonany*, że stanowi ono poważne zagrożenie fizycznego lub psychicznego dobra mojej osoby, *poczuję* głęboki niepokój i wściekłość. Jeśli jednak wiem, że wydarzenie to, choć bolesne, nie może wyrządzić żadnej szkody mojej osobie, będzie mi przykro i może będę poirytowany, ale w głębi serca spokojny. Do zilustrowania tej zasady wystarczy nam jeden przykład.

Kiedy lekarz wychodzi z sali operacyjnej z ponurą miną, czekający na korytarzu mąż zwykle odczuwa strach i niepokój. Ale założmy, że mężczyzna ten ma kochankę i żywi po cichu nadzieję, że jego małżeństwo zakończy się bez kłopotliwych sytuacji. To samo wydarzenie (ponura mina chirurga) wywołałoby wtedy całkiem inne uczucia - może trochę smutku zmieszanego z pełnym ulgi oczekiwaniem. O jego uczuciach w tym momencie przesądza nie samo wydarzenie (wyraz twarzy lekarza wskazujący na to, że jego żona zmarła), ale jakie znaczenie wydarzenie to ma dla tego mężczyzny (czy oznacza ono dla niego stratę ukochanej osoby, czy okazję do rozpoczęcia nowej, pożądanej relacji w mniej kłopotliwy sposób).

Choć to rodzaj wydarzenia przesądza o tym, czy reakcja emocjonalna będzie pozytywna, czy negatywna (przyjemność czy przykreść), to indywidualna ocena tego wydarzenia wpływa na to, jakie uczucie się wytworzy i jaka będzie jego intensywność.

Prześledźmy, co się dzieje, kiedy Jan zostanie urażony przez Marię. Jego bezpośrednią i nieuniknioną reakcją jest uczucie przykrości. Nazwijmy to uczucie pierwotną reakcją emocjonalną.

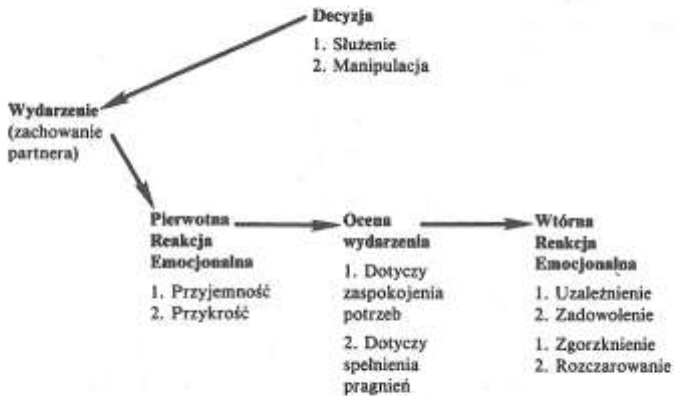
Zaraz po tym, kiedy zajdzie nieprzyjemne wydarzenie, Jan je *oceni* - często podświadomie. Zauważy, że ma ono związek albo z jego potrzebami, albo z jego pragnieniami. Jeśli Jan jest przekonany, że jego poczucie własnej godności zależy od aprobaty Marii, to przyjmie błędnie, że niemile zachowanie Marii stanowi rzeczywiste zagrożenie zaspokojenia jego potrzeby własnej wartości.

Mamy jednak nadzieję, że Jan rozumie, że zachowanie Marii nie ma żadnego związku z jego potrzebami, ponieważ Chrystus jest zdolny do ich całkowitego zaspokojenia. Jeśli Jan jest o tym głęboko przekonany, to nie będzie tak egocentrycznie pochłonięty myśleniem o tym, jak czuł się w tym przykrym momencie. Oczywiście, nadal będzie uważał zachowanie Marii za godne pożałowania i bolesne, ponieważ jego *pragnienia* nie zostały spełnione i będzie czuł pewien smutek. To czy Jan stanie się zgorzkniały, czy nie, zależy od jego oceny tego wydarzenia. Jeśli żywi błędne przekonanie, że niemile zachowanie Marii stanowi zagrożenie dla zaspokojenia jego *potrzeb*, to pierwotna reakcja emocjonalna (przykreść) zmieni się natychmiast we wtórną reakcję emocjonalną, jaką jest zgorzknienie. Ale jeśli patrzy na to wydarzenie we właściwy sposób, jako na zablokowanie spełnienia jego *pragnień*, to jego wtórną reakcją emocjonalną będzie - może pełne smutku lub gniewu - *rozczarowanie*.³

Wyobraźmy sobie zupełnie inne wydarzenie. Założmy, że Maria zrobiła Janowi bardzo miłą niespodziankę, w jakiś szczególny sposób okazała mu swoją miłość. Jego pierwotną reakcją emocjonalną będzie uczucie przyjemności. Ale jeśli ocenił on taki przejaw miłości jako niezbędny dla zaspokojenia jego potrzeb („Potrzebuję ze strony mojej żony potwierdzenia, po to, bym wiedział, że jestem szanowany”), to uczucie radości przejdzie nagle

w uczucie *uzależnienia*. Gdyby jednak Jan, podobnie, jak Paweł w czwartym rozdziale Listu do Filipian, był wdzięczny za otrzymane łaski, ale nadal liczył jedynie na Pana, to wtedy jego wtórna reakcja emocjonalna stałaby się ciepłym, nie uzurpującym sobie żadnych praw zadowoleniem.

Można to zilustrować następującymi dwoma wykresami:



Rysunek 2.



Rysunek 3.

Mając wszystkie te pojęcia jasno przed oczyma, możemy teraz zająć się naszym zasadniczym pojęciem przebaczenia. Siedemnasty rozdział Ewangelii Łukasza przytacza przypowieść Jezusa o człowieku, który darował drugiemu dług pieniężny. Opowieść ta ukazuje nam, co jest samą istotą przebaczenia: anulowanie długu.

Gdybym pożyczył od Ciebie tysiąc złotych, to muszę Ci je zwrócić. Zwrócenie długu jest moim moralnym obowiązkiem. Jeśli z jakiegoś powodu postanowiłbyś unieważnić ten dług, to już nie musiałbym zwracać Ci pożyczonej sumy pieniędzy. W rezultacie, ty sam płacisz ten dług, ponieważ godzisz się ze stratą pieniędzy.

Przebaczenie jest tym samym, co nie żądanie zapłaty od kogoś, kto nas uraził, lub jest nam coś dłużny. Zastosujmy teraz tę myśl do międzyludzkich długów. Jeśli Maria uraziła Jana, to popełniła wobec niego wykroczenie. Zaciągnęła dług, który może zostać spłacony tylko przez to, że poniesie sprawiedliwą karę. Kiedy Jan zastanawia się nad możliwością przebaczenia jej, może myśleć sobie - podobnie, jak myśli bardzo wielu urażonych małżonków - coś w tym rodzaju: „Ależ ona nie miała racji! Dlaczego ja miałbym ponosić konsekwencje jej zachowania? To jest nie w porządku! Ona popełniła grzech, a ja miałbym jej darować i wybaczyć? Ależ ona zasługuje na karę!”

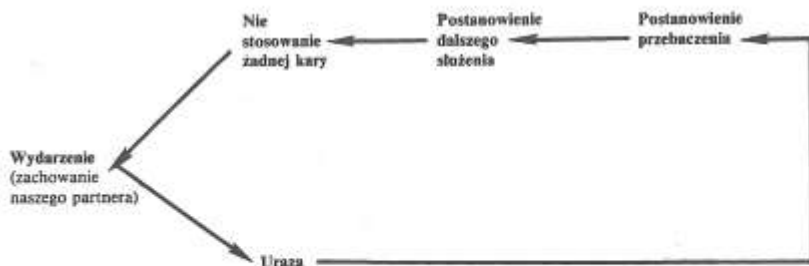
To właśnie sprawia, że przebaczenie jest zarówno taką trudną, jak i taką chwalebną sprawą. Ona zasługuje na karę. Przebaczenie wymaga najbardziej sprzecznej z naturą decyzji - zaproponowania, żeby osoba, która nas uraziła, nie poniosła żadnych karnych konsekwencji swego zachowania.

By zrozumieć, co decyzja przebaczenia tak naprawdę za sobą pociąga, pomyślimy nad mnóstwem sposobów odplacenia się, jakie urażona osoba, która nie chce przebaczyć, może zastosować wobec swego męża lub żony:

- Ciągłe wspominanie urazy wobec partnera
- Ignorowanie partnera
- Gniewna mina
- Chłodniejsze niż zwykle zachowanie wobec partnera
- Odmowa współżycia seksualnego lub chłodna postawa w czasie stosunku
- Wyeliminowanie zwykle wykonywanych przysług
- Uporczywa niechęć do wszelkiej współpracy
- Pełne wyższości uśmiechy
- Jednosylabowe, ucinane rozmowy
- Zawołowane lub jawne pogrożki rozwiązania małżeństwa
- Ośmieszenie partnera wobec innych i jeszcze całe mnóstwo innych sposobów, których może być tak wiele, jak wielka jest wyobraźnia żadnego zemsty umysłu.

Żaden doradca małżeński nie byłby w stanie przewidzieć wszystkich słodkich planów wypełniających wyobraźnię urażonego męża lub żony. Przebaczenie wymaga czegoś więcej, niż postanowienia, że nie będziemy mnożyć rodzajów kar. Przebaczący partner musi postanowić sobie, że nie będzie wyciągał *żadnych konsekwencji* z wydarzenia, które sprawiło mu przykrość. Musimy (1) podjąć decyzję, że przebaczymy, a następnie (2) odnowić postanowienie służenia, które z kolei musi (3) przynieść owoce w postaci życzliwego zachowania wobec partnera, który nas uraził.

Urażony mąż lub żona, która walczy z sobą chcąc zaakceptować swego partnera, może na podstawie tego, co do tej pory napisałem dojść do wniosku, że przebaczenie wymaga *mocnych postanowień i zmiany zachowania*. Gdyby przebaczenie składało się rzeczywiście tylko z tych elementów, to moglibyśmy je przedstawić tak, jak na następującym wykresie:



Rysunek 4.

Załóżmy, że Jan, nasz urażony mąż, który nadal walczy z sobą starając się Marii przebaczyć, próbuje wprowadzić w życie tę koncepcję przebaczenia. Czy zrobi w ten sposób krok w kierunku głębokiej, czulej *akceptacji* swojej żony? Jeśli postępując według powyższego schematu będzie czynił szczere wysiłki, by jej przebaczyć i służyć, to nie wiem, czy nie wyczuje połowiczności swego przebaczenia, jakiejś mniej wygładzonej strony swego podejścia do niej, która blokuje pełną, szczerą akceptację. Może zauważy u siebie poczucie jakiegoś irytującego przymusu, kiedy będzie starał się jej służyć.

Przy następnym spotkaniu z doradcą małżeńskim powie: „Mogę przebaczyć mojej żonie to, co zrobiła, ale nie mogę przestać o tym myśleć. Chcę nadal właściwie się do niej odnosić, choć nie żywię do niej szczególnie ciepłych uczuć. Tak, wiem, że podjęcie decyzji przebaczenia i służenia nie wymaga potoku ciepłych uczuć. Ale nie mogę przestać myśleć o tym, co Maria zrobiła. A za każdym razem, kiedy o tym myślę - ciągnie Jan - czuję na nowo złość i jest mi przykro. Czy to uczucie złości przejdzie mi, jeśli będę nadal starał się być dla niej miłym? Nie mam poczucia, że ją naprawdę akceptuję tak długo, jak długo jestem wciąż na nią wściekły. Ale ja po prostu nie wiem, co mam zrobić z moim zgorzknieniem. Próby przebaczenia jej przez to, że

zdecydowałem się jej przebaczyć i służyć nie rozwiązały tak naprawdę tego problemu”.

Jeśli mamy pomóc temu sfrustrowanemu mężowi, by szczerze zaakceptował swoją żonę, to musimy poszerzyć jego pojęcie przebaczenia. Czy można mówić o przebaczeniu wyłącznie w kategoriach *podjęcia decyzji* przebaczenia i służenia? Co mamy począć z uczuciem złości i przymusu w służeniu naszemu partnerowi, które pozostają pomimo naszych najszczerzych wysiłków, by zapomnieć doznaną urazę? Czy mamy wypierać myśli o tym wydarzeniu za każdym razem, kiedy nam się ono przypomni, w nadziei, że w końcu kiedyś całkowicie o nim zapomnimy? Czy można w ogóle coś naprawdę zapomnieć?

Wiele osób, które doznały jakiejś urazy i stawia powyższe pytania, otrzymuje jedną z dwóch odpowiedzi. Pierwsza jest całkowicie niezadowolająca, a druga niepełna:

Odpowiedź 1: Bóg zapomina nasze grzechy w momencie, kiedy nam przebacza. Zatem my także możemy i powinniśmy zapomnieć urazę, jakiej doznaliśmy od innych w momencie, kiedy im przebaczymy.

Odpowiedź 2: Przebaczenie ciągle na nowo (tzn. ciągle na nowo podejmowanie decyzji, że przebaczymy i nadal chcemy służyć nie wyciągając żadnych konsekwencji wobec tego, kto nas uraził) umożliwi nam w końcu uznanie tej urazy za nieistotne wydarzenie z przeszłości, które nie wywołuje w nas żadnych uczuć. W końcu wydarzenie to zacierza się w naszej świadomości, jako zwykła błaźnina.

W Księdze Jeremiasza 31,34 Jahwe mówi: „Odpuszczę bowiem ich winę, a ich grzechu nigdy nie wspomnę”. Niektórzy sądzą, że werset ten jest argumentem na poparcie odpowiedzi pierwszej, która mówi, że prawdziwe przebaczenie jest także zapomnieniem. Rozwiązanie tego problemu nie jest jednak tak proste.

Nie wydaje mi się, żeby werset ten sugerował, że Bóg zapomina nasze grzechy tak samo, jak człowiek cierpiący na amnezję zapomina jak się nazywa. Taki rodzaj utraty pamięci nie jest żadną cnotą. Jest raczej niezdolnością do przywołania czegoś do świadomości, niewydolnością funkcjonowania umysłu. A wszechwiedzący umysł nie ma przecież białych plam.

Werset ten mówi prawdopodobnie o tym, że nasz pełen łaskowości Bóg decyduje się nie pamiętać już naszych grzechów *na naszą niekorzyść* to znaczy, nie będzie już więcej o nich wspominał. Ze względu na zbawcze dzieło Chrystusa Bóg unieważnił nasz dług i nie wymaga już zapłaty. Dług został już spłacony. To „zapomnienie” naszych grzechów można także odnaleźć w jednym z moich wcześniejszych stwierdzeń: Przebaczenie jest gotowością zwolnienia osoby, która nas uraziła, od ponoszenia w jakikolwiek sposób

sprawiedliwych konsekwencji tej urazy. Rada, by zapomnieć urazę, podobnie, jak Bóg „zapomina” nasz grzech, nie rozwiązuje problemu uczucia złości, kiedy uraza ta staje nam ponownie przed oczyma. Nie posuwamy się ani o krok dalej, kiedy radzimy komuś, by postanowił sobie zapomnieć i kontynuować służbę wobec swego partnera. Problem pełnych goryczy uczuć pozostaje nierozwiązany.

Porada, by zapomnieć urazę, nie pomaga nam lepiej zrozumieć pojęcia przebaczenia, co jest także jej słabą stroną. Jeśliby poradę taką zastosować dosłownie, to musielibyśmy albo uszkodzić tę część naszego mózgu, która odpowiada za przechowywanie faktów w naszej pamięci, albo spowodować wybiórczą amnezję stosując proces patologicznego wypierania faktów z pamięci. Jasne jest, że nikt nie będzie zalecał podobnie absurdalnych kuracji.

A jednak są w chrześcijańskiej społeczności ludzie, którzy twierdzą, że zabijanie wieka na wulkanie złości poprzez stosowanie wybiórczego myślenia (myślenia specjalnie tylko o przyjemnych wydarzeniach) rozwiąże ten problem. Są w błędzie. Podobne wysiłki prowadzą jedynie do pogłębienia goryczy i zmiany sposobów jej okazywania na takie, które są grzeszne w bardziej wyszukany sposób niż otwarta wrogość. Wynikiem tego jest często cała gama fizycznych dolegliwości, zwiększona drażliwość, impulsywne objadanie się, czy jakiegokolwiek inne z mnóstwa symptomów gniewu, którego istnienia się wypieramy.

A druga odpowiedź? Czy prawdą jest, że urazę można zapomnieć tak łatwo, jak zapominamy, co jedliśmy na śniadanie trzy dni temu?

Porada ta ma, całkiem słusznie, na celu pozbawienie przykrego wspomnienia jego mocy wywoływania w nas negatywnych uczuć. Sądzę jednak, że nie realizuje ona swego celu. Czy nieustanne życzliwe zachowanie się w stosunku do osoby, która nas uraziła, może (nawet, jeśli towarzyszy mu mocne postanowienie przebaczenia) wytworzyć w nas w końcu ciepłe uczucia? Czy rozwinie się w nas pozbawiona goryczy akceptacja, jeśli będziemy czynić pełne miłości gesty wobec partnera, który nas uraził?

Możemy zauważyć jakie są słabe strony zasady, że „uczucia postępują za czynami”, jeśli przypomnimy sobie wykres na rysunku drugim. Obieg zaczyna się od jakiegoś znaczącego wydarzenia pomiędzy dwoma osobami i poprzez pierwotną reakcję emocjonalną przechodzi do oceny wydarzenia, a następnie do wtórnej reakcji emocjonalnej. Wykres ten ilustruje pięć podstawowych twierdzeń:

1. Ludzie reagują na znaczące wydarzenia międzyosobowe zarówno poprzez podjęcie *decyzji*, jak i poprzez *uczucie*, jakie się w nich pojawia.
2. Decyzją może być *służenie* pomimo urazy, lub *manipulacja* na skutek urazy i bólu, jaki ona wywołała. Ponieważ decyzja jest wynikiem wolnego wyboru, jesteśmy w pełni odpowiedzialni za to, co wybieramy.

3. Pierwotną (lub natychmiastową) reakcją emocjonalną na znaczące wydarzenie jest albo uczucie *przyjemności*, albo *przykrości*. Które z tych dwóch uczuć pojawi się w nas, zależy wyłącznie od charakteru wydarzenia. Ponieważ nie mamy żadnego wpływu na to, jakie uczucie się w nas pojawia, nie jesteśmy odpowiedzialni za to, co czujemy (nie jest to ani naszą zasługą, ani winą).
4. Pierwotna reakcja emocjonalna szybko przechodzi we wtórną (pośrednią) reakcję emocjonalną, w uczucie, które może być albo grzeszne, albo nie-grzeszne:
 - a) Przyjemność może się zmienić w *uzależnienie* (uczucie grzeszne), lub *zadowolenie* (uczucie nie-grzeszne);
 - b) Przykreść może się zmienić w *zgorzknienie* (uczucie grzeszne), lub *rozczarowanie* (uczucie nie-grzeszne).
5. To, czy nasze pierwotne uczucie przechodzi w grzeszne, czy w nie-grzeszne uczucie wtórne, zależy *nie* od charakteru wydarzenia, ale od naszej jego *oceny*:
 - a) Jeśli ocenimy *przyjemne wydarzenie* jako istotne dla zaspokojenia naszych *potrzeb*, to naszym wtórnym uczuciem będzie *uzależnienie*.
 - b) Jeśli ocenimy *przyjemne wydarzenie* jako istotne dla spełnienia naszych *pragnień*, to naszym wtórnym uczuciem będzie *zadowolenie*.
 - c) Jeśli ocenimy *przykre wydarzenie* jako istotne dla zaspokojenia naszych *potrzeb*, to naszym wtórnym uczuciem będzie *zgorzknienie*.
 - d) Jeśli ocenimy *przykre wydarzenie* jako istotne dla spełnienia naszych *pragnień*, to naszym wtórnym uczuciem będzie *rozczarowanie*.

Zastanówmy się raz jeszcze nad tym, co się dzieje, kiedy ktoś doznaje urazy. Wydarzenie to wymaga podjęcia decyzji (która może wydawać się odruchem) i wytwarza w nas uczucie. Załóżmy, że Jan, urażony mąż, z całego serca chce zaakceptować swoją żonę (Marię), która go uraziła. Przypuśćmy, że postanawia przebaczyć i stara się zapomnieć.

Jeśli jego postanowienie przebaczenia jest wynikiem dokonania szczerego wyboru, a nie wymuszonym spełnianiem obowiązku, to Jan nie ucieka się do żadnych świadomych środków odwetowych wobec swojej żony. Nie jest jednak łatwo podjąć takie postanowienie. Przypuśćmy, że tą urazą była wielokrotna niewierność Marii. Ponieważ okazała szczerą skruchę, Jan postanowił jej przebaczyć i dołożyć wszelkich starań, by odbudować ich małżeństwo. Podczas rozmów w poradni małżeńskiej Jan stwierdził, że często „dzielił się” z Marią tym, jak bardzo czuje się zdruzgotany, kiedy przypomni mu się jej cudzołóstwo. „Czy nie powinienem mówić Marii o moich uczuciach?” - pyta.

„To zależy od tego, jaki jest pana cel, kiedy mówi jej pan o swoich uczuciach - odpowiedziałem. Wszystko, co pan robi powinno mieć jeden główny cel, którym jest służenie. Kiedy mówi pan Marii, że walczy pan ze wspomnieniem jej grzechu, obarcza ją to poczuciem winy i potęguje jej frustrację. Przypuszczam, że tak naprawdę pańskie „dzielenie się” ma być dla niej karzącą konsekwencją tego, co zrobiła. A decyzja przebaczenia i służenia, którą pan podjął, wymaga, by nie wspominał pan więcej o swoich urażonych uczuciach”.

Pierwszym elementem przebaczenia jest mocne postanowienie nie stosowania żadnego rodzaju sankcji za doznaną urazę, a do tego potrzebna jest szczególna czujność wobec naszych najróżniejszych wyrafinowanych sposobów obchodzenia tego postanowienia.

Kiedy Jan już dobrze zrozumie i zastosuje ten aspekt przebaczenia, który polega na podjęciu decyzji, może mieć nadal trudności z tym, co czuje i z tym, że nie może zapomnieć. „Jak mam poradzić sobie z tą całą złością i urazą, które tkwią we mnie? Mogę zmusić się do tego, by iść z Marią do łóżka, ale nie mogę przestać myśleć o tym, że ona była w łóżku z innym mężczyzną. To jest ponad moje siły! Tracę przez to w ogóle ochotę na seks. Czasem tracę erekcję i nie mogę w ogóle współżyć. A nawet jeśli jestem w stanie doprowadzić stosunek do końca, to Maria wie - wie bardzo dobrze - że coś jest nie w porządku. Jak mam się pozbyć tych myśli? Dopóki nie będę w stanie przestać o tym myśleć (a przynajmniej mniej się przejmować kiedy już o tym myślę), nie wiem, jak będę mógł Marię kiedykolwiek naprawdę zaakceptować”.

Tu nasuwa mi się pytanie, czy wystarczy konsekwentnie przyjmować przebaczącą postawę wobec naszego partnera, by pozbyć się wspomnienia doznanej urazy. Rozważmy, co się będzie działo, jeśli Jan zacznie działać w przekonaniu, że kiedyś pamięć o tym wydarzeniu w końcu się zatrze.

Jeśli Jan czuje gorycz i złość, to jego problem polega na tym, że niewłaściwie ocenił wydarzenie, jakim była niewierność jego żony. Jego pierwotne uczucie przykrości zmieniło się w zgorzknienie, ponieważ Jan błędnie sądzi, że to przykre wydarzenie ma wpływ na jego wartość jako mężczyzny. Lekarstwem na jego zgorzknienie nie jest więc *wzmocnienie wysiłków*, ale *odnowa myślenia*. Jego zgorzknienie nie ustąpi tak długo, dopóki nie nauczy się uważać grzechu swojej żony za przeszkodę na drodze do spełnienia jego pragnień, a nie za zagrożenie zaspokojenia jego potrzeb. I żadne „przebaczające uczynki”, choćby nie wiem jak liczne, nie mogą same w sobie zmienić zgorzknienia w rozczarowanie, ponieważ bezpośrednią przyczyną zgorzknienia jest niewłaściwa ocena danego wydarzenia, a nie nasze niewłaściwe zachowanie w reakcji na to wydarzenie.

Załóżmy jednak, że Jan trwa w swym postanowieniu, by przyjmować wobec Marii przebaczącą postawę bez zmiany swej błędnej oceny jej postępowania. Jak wpłynie to na jego uczucie zgorzknienia? Wielu

powiedzialoby, że jego żal zostanie w końcu wyparty ze świadomości i ostrzegłoby przed możliwością ujawnienia się tych negatywnych uczuć w inny sposób. Ale w moim pojęciu psychologicznego funkcjonowania, technicznie bardziej prawdziwe byłoby stwierdzenie, że *wspomnienie danego wydarzenia* zostaje wyparte ze świadomości, a nie *uczucia, jakie ono wywołuje*. Rozróżnienie to, choć czysto techniczne, jest jednak bardzo istotne.

Uczuć nie można wyprzeć ze świadomości. Możemy nie rozładować fizycznych napięć odbieranych jako uczucia i można to nazwać „wypieraniem uczuć ze świadomości”, ale uczuć - tych nieuchwytnych, pobudzających nas stanów subiektywnej świadomości - samych w sobie nie można się pozbyć. Możemy nie poświęcać uwagi powracającemu wspomnieniu wydarzenia, które wzbudza w nas określone uczucie. Możemy unikać myślenia o tym. Możemy świadomie nie rozpamiętywać tego przykrego wydarzenia aby nie doświadczać na nowo bólu, jaki sprawia nam myślenie o tym. Jeśli będziemy się w tym ćwiczyć, to możemy osiągnąć całkiem niezłą biegłość w wybiórczym koncentrowaniu naszej uwagi na bardziej przyjemnych (lub przynajmniej mniej bolesnych) myślach.⁴

Co jednak osiągamy przez takie wypieranie nieprzyjemnych myśli z naszej świadomości? Tak długo, dopóki Jan uważa, że cudzołóstwo Marii pomniejsza jego wartość jako mężczyzny, nie pojął co to znaczy ufać Panu w takiej sytuacji. Jego nie-duchowe przekonanie, że szacunek Marii jest mu konieczny potrzebny do tego, by mógł sam siebie akceptować, nie zostaje podważone. W rezultacie, jego bałwochwalczy zamiar zaspokojenia swoich potrzeb przez kogoś innego, niż Chrystus pozostanie niezmieniony.

Doradca, który jedynie nakaze zgorzkniałemu klientowi, by postanowił przebaczyć swemu partnerowi doznaną urazę, nie przyczynia się do wzrostu jego dojrzałości wypływającej z całkowitego zaufania samemu tylko Chrystusowi. Uda mu się jedynie zachęcić go do wymuszonego służenia, co unieruchamia tę parę małżeńską na poziomie bardzo odległym od jedności w Chrystusie. Pod fasadą zwiększonych starań Jana, by ciepło odnosić się do Marii, kryje się jakieś tępe poczucie, że coś jest po prostu nie tak. Zwiększenie wysiłków niewiele pomaga w skutecznym rozwijaniu jedności, do której potrzebna jest rzeczywista akceptacja. Odnowa myślenia - zmiana naszej oceny przykrego wydarzenia - jest do tego absolutnie konieczna.

Jeśli więc sztywne trzymanie się postanowienia, że przebaczymy, nie rozwiąże problemu wypieranych myśli (myśli, które nadal mają moc wywoływania w nas pełnych goryczy uczuć), to jak możemy problem ten rozwiązać? Brakującym ogniwem jest ponowna ocena danego wydarzenia, by móc spojrzeć na nie z tej samej perspektywy, co Bóg - jako godne pożałowania, ale nie mające wpływu na nasze bezpieczeństwo i wartość. Przejście od niewłaściwego do właściwego spojrzenia na sprawę jest najważniejszym elementem przebaczenia.

Co jest potrzebne do przebaczenia

Prawdziwe przebaczenie różni się od połowicznego przebaczenia w ocenie wydarzenia, które sprawiło nam przykrość. Prawdziwe przebaczenie uznaje to wydarzenie za istotne dla spełnienia naszego pragnienia, by mieć przy sobie kogoś, kto nas kocha, a nie za istotne dla zaspokojenia naszych potrzeb, by być bezpiecznym i wartościowym. Sztuka „zapomnienia” urazy polega na ponownej ocenie tego wydarzenia tak, by można je było zakwalifikować jako niezbyt ważne dla realizacji naszych celów. Zgorzknienie ustąpi miejsca rozczarowaniu (które jest do przyjęcia), jeśli mocne *postanowienie*, że przebaczymy połączone będzie z otwarciem się na działanie Ducha Świętego przez *medytację* nad faktem, że nasze potrzeby są w pełni zaspokojone w Chrystusie.

BRAK PRZEBACZENIA



Rysunek 5.

POŁOWICZNE PRZEBACZENIE



Rysunek 6.



Musimy teraz prześledzić proces ponownej oceny przykrego wydarzenia, w wyniku którego będziemy mogli uznać to wydarzenie za bolesne, ale nie stanowiące zagrożenia. Chciałbym jeszcze raz przytoczyć zasadę sformułowaną na początku tego rozdziału.

Poczucie akceptacji wobec naszego partnera zależne jest od przebaczenia, a to z kolei zależy od tego, czy chcemy spojrzeć na rażące nas zachowanie męża lub żony z biblijnej perspektywy.

Jan, który nadal zmaga się ze swoim zgorzknieniem woła: „Chcę! Chcę ponownie przemyśleć urazę doznaną od Marii, tak bym mógł jej w pełni przebaczyć. Jak mam to zrobić?” Jan pyta przez to jak może nauczyć się nadawać jakiemuś wydarzeniu zupełnie nowe znaczenie.

Odpowiedź zawarta jest w pewnej zasadzie, która może wydawać się skomplikowana, ale tak naprawdę jest bardzo prosta: *Znaczenie danego wydarzenia zależy od kontekstu, w jakim je widzimy*. Innymi słowy, to, czy wydarzenie jest ważne, czy nie, oceniam na podstawie tego, w jakim kontekście miało ono miejsce.

Wyobraźmy sobie, że moja żona mówi mi: „Och, idź sobie!” Znaczenie tych słów dla mnie będzie zależało od tego, w jakim kontekście zostały wypowiedziane. Gdybym, na przykład, niespodziewanie wrócił do domu, a ona w stołowym pokoju akturat pakowała prezent dla mnie, jej słowa miałyby inne znaczenie, niż gdyby kazała mi odejść po jakiejś szczególnie zażartej sprzeczce między nami.

Pamiętając o tej zasadzie, zastanówmy się, jak umieszczenie przykrego wydarzenia w biblijnym kontekście może zmienić jego znaczenie. Ludzie, którzy uważają doznaną urazę za istotną dla zaspokojenia ich potrzeb osobowych, popełniają najczęściej trzy błędy, kiedy dopowiadają sobie kontekst do tego wydarzenia:

1. Nie zdają sobie sprawy (nie leży to głęboko w ich świadomości), że miłość Chrystusa zapewnia im bezpieczeństwo, a fakt, że biorą udział w realizacji planów Chrystusa, nadaje im prawdziwą wartość.
2. Mają skłonność do tego, by uważać się za godnych lepszego traktowania, niż to, którego doznali, najwidoczniej nieświadomi tego, co jest sprawiedliwe w stosunku do grzesznika.
3. Są do tego stopnia zaabsorbowani myśleniem o swoich własnych potrzebach, że w ogóle nie dostrzegają potrzeb innych.

By uświadomić sobie, że przykre wydarzenie istotne jest jedynie dla spełnienia naszych pragnień, musimy zacząć myśleć o tym wydarzeniu w kontekście, który koryguje każdy z tych błędów:

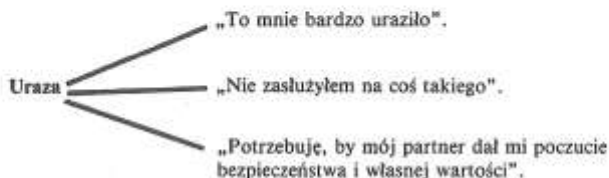
1. Musimy przyswoić sobie prawdę, że nasze potrzeby są zaspokojone w Chrystusie - rozmyślając o bogactwach, jakie w Nim mamy, konsekwentnie powtarzając sobie, że jesteśmy wartościowi, nawet kiedy czujemy się odrzuceni i bezużyteczni, i świadomie postępując w sposób, który te prawdy odzwierciedla. Bardzo ważne jest posługiwanie się przy tym Pismem Świętym i medytacja nad tym, co ono nam mówi. Kiedy staje nam przed oczami to, jak nasz partner wobec nas postąpił musimy powtarzać sobie z całą stanowczością, że cokolwiek się wydarzyło, nie zmienia to faktu, że jestem bezpieczny w miłości Chrystusa i ważny dla realizacji Jego planu. Nie możemy nigdy pozwolić, by wspomnienie doznanej urazy przeszło nam kiedykolwiek przez myśl, a nie towarzyszyło mu natychmiastowe przypomnienie sobie prawdy, że „moje potrzeby są zaspokojone w Chrystusie”.
2. Powinniśmy rozmyślać nad tym, jak wiele nam samym zostało przebaczone. W Ewangelii Mateusza 18,21-35 Pan nakazuje nam z serca przebaczyć sobie wzajemnie. Fragment ten mówi o tym, że przebaczenie drugiemu powinno w naturalny sposób wpływać ze świadomości i wdzięczności za to, że Bóg tak wiele nam wybaczył. Nie możemy nigdy żądać lepszego traktowania powołując się na to, na co zasługujemy - nasze życie zasługuje jedynie na wieczną karę. A jednak Bóg nam przebaczył i obdarował wieczną radością. Rozmyślanie o grzechach, które Bóg nam przebaczył, powinno stanowić kontekst dla myślenia o urazie doznanej od naszego partnera. Jedynie człowiek, który w pełni docenia wartość Bożego przebaczenia, może naprawdę przebaczyć innym.
3. Paweł nakazuje nam troszczyć się o sprawy innych i uważać je za ważniejsze od naszych własnych (Fil. 2,3-4). Za każdym razem, kiedy Jan przypomni sobie niewierność Marii, powinien świadomie zacząć myśleć także o jej potrzebach. Zamiast koncentrować się na tym, jak jej zachowanie wpływa na niego (troszczyć się o siebie), powinien świadomie rozmyślać o wewnętrznych zmaganiach, które Maria w tym momencie może przeżywa (troszczyć się o nią).

Jest to bardzo trudną sprawą. Ludzie bardzo szybko zauważają to, co ich samych boli, a trzymają się na niezobowiązujący dystans od bólu drugiego człowieka: „Na pewno sprawia jej to przykrość, ale czy ja się nie liczę? Mnie też to sprawia ból!”

Jakże szybko zmienia się nam nastrój, kiedy nasz partner, który wcześniej tego dnia nas uraził, zostaje odwieziony na syrenie do szpitala z silnym bólem w klatce piersiowej! Kiedy będziemy umieli spojrzeć na naszych mężów i żony nie tylko jak na ludzi, którzy sprawiają nam nieraz przykrość, ale jak na ludzi, którzy sami też doznają bólu, to nasze podejście zacznie się stopniowo zmieniać - przestaniemy myśleć o doznanej od nich urazie jako o potwornej krzywdzie, a zaczniemy uważać ją za błahostkę w porównaniu z tym, jakie możliwości zaspokajania ich potrzeb stoją przed nami.

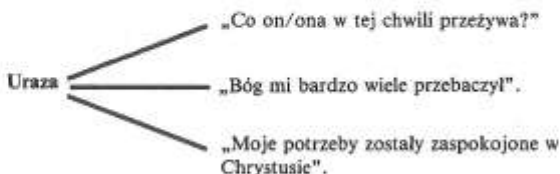
Świadomość ta nigdy się w nas nie wykształci bez mocnego postanowienia, że przebaczymy i że chcemy służyć. Przebaczenie zaczyna się od decyzji, ale potem musi nastąpić ponowna ocena tego wydarzenia. Dwa końcowe wykresy podsumowują nasze rozważania:

Niebiblijny kontekst sprzyja
niewłaściwej ocenie przykrego wydarzenia



Rysunek 8.

Biblijny kontekst sprzyja właściwej
ocenie przykrego wydarzenia



Rysunek 9.

WNIOSKI KOŃCOWE

Elementem 3 jest akceptacja. Akceptowanie naszego partnera nie znaczy, że wszystko, co on lub ona robi, musi nam sprawiać przyjemność. Akceptowanie naszego towarzysza życia jest czymś więcej, niż wytrwaniem w postanowieniu służenia mu - potrzeba do tego głębszej przemiany serca, nie tylko podjęcia decyzji, że przebaczymy, kiedy zostaniemy urażeni.

Prawdziwa akceptacja wymaga od nas gotowości otwarcia się, odsłonięcia się w taki sposób, który daje naszemu partnerowi możliwość zadania nam bólu, kiedy nas odrzuci. By móc w ten sposób akceptować, musimy wciąż na nowo przebaczać naszemu partnerowi, kiedy nas urazi. Przebaczenie wymaga, byśmy nawet najgorsze możliwe postępowanie naszego męża lub żony uważali za nie mające najmniejszego wpływu na zaspokojenie naszych podstawowych potrzeb osobowych. Pamiętając zawsze o tej prawdzie będziemy w stanie z wolnej woli służyć naszemu partnerowi, bez strachu czy przymusu, nawet, kiedy nas urazi. Na tym właśnie polega akceptowanie naszego męża lub żony.

Definiując całkowitą jedność jako wzór relacji małżeńskiej i omawiając trzy elementy, które stanowią jej fundament, pozostawiamy w dalszym ciągu wiele pytań bez odpowiedzi. Pytania te dotyczą odpowiedzialności każdego z partnerów na drodze do jedności:

Co to znaczy być poddaną mężowi?

Czy fakt, że mężczyzna jest głową rodziny, daje mu prawo podejmowania decyzji za swoją żonę?

Co można w praktyce zrobić, by polepszyć wzajemne porozumiewanie się w małżeństwie, co można zrobić, by żona czuła się bardziej kochana, a mąż bardziej szanowany?

Kiedy pomiędzy małżonkami wyrasta jakiś mur, jak można go skruszyć? Czy powinni oni przedyskutować ze sobą cały problem?

Kto powinien zrobić pierwszy krok? A co jeśli jeden z partnerów nie zechce się otworzyć?

Te i jeszcze inne pytania omówione zostaną w drugiej książce, która ma nam pomóc w naszym dążeniu do całkowitej jedności w małżeństwie.

PRZYPISY

1. Dużą popularnością cieszy się obecnie teoria mówiąca, że każde wydarzenie jest w zasadzie neutralne, a staje się przyjemne lub nieprzyjemne wyłącznie dlatego, że tak je *określamy*. Pogląd taki zakłada, że żyjemy w świecie pozbawionym sensu, celu i moralności. Dla Chrześcijanina jest to pogląd nie do przyjęcia. W świecie stworzonym i rządzonym przez osobowego Boga, który ma określony charakter, wydarzenia będące odbiciem Jego charakteru są dobre, a wydarzenia

sprzeczne z Jego charakterem, są złe. Działanie pod wpływem miłości jest przyjemne, ponieważ Bóg jest miłością; działanie pod wpływem nienawiści jest nieprzyjemne, ponieważ jest ono pogwałceniem charakteru Boga.

2. *Basic Principles of Biblical Counseling* (Grand Rapids: Zondervan, 1975) i *Effective Biblical Counseling* (Grand Rapids: Zondervan, 1977).
3. Często nie rozumiemy, jaka jest różnica pomiędzy sprawiedliwym, a grzesznym gniewem. Jeśli jakiś nieuważny kierowca wyjeżdżając z parkingu zrobi rysę na moim zaparkowanym samochodzie, to najprawdopodobniej będę zły. Jeśli jednak będę w stanie spojrzeć na to w ten sposób, że moim celem, pomimo tego, że mój samochód jest zadrapany, nadal jest przynoszenie chwały Bogu, to będę mógł opanować moją złość. Złość ta świadczy o tym, że moje całkiem normalne pragnienie (by mój samochód był bez skazy) zostało zablokowane. Moje rozczarowanie będzie miało odcień złości, ale według mnie, jeśli mój cel nie ulegnie zmianie - jeśli nie stanie się nim zemsta zamiast służenia Panu - to mój gniew jest sprawiedliwy; nie stanie on na przeszkodzie realizacji Bożych planów.
4. Być może pomocne będzie zauważyć, że kiedy treścią dokuczliwych myśli o wywołującym w nas złość wydarzeniu jest zemsta, to są one często fasadą obronną chroniącą nas przed myśleniem o samym tym przykrym wydarzeniu i o tym, jak głęboko ono nas uraziło. Złość boli mniej niż uraza.